Zdzisław Bistuła

Ostatnie lato



Zdzisław Bistuła (1943-2015)

Pisarz. Okres pierwszych lat powojennych spędza w rodzinnym mieście, a następnie wyjeżdża na tereny zachodniej Polski w poszukiwaniu pracy i lepszego życia. Po latach wrócił w rodzinne strony.

Pracował zawodowo w pobliskim Bełchatowie. Od ponad dwudziestu lat zajmował się problemami osób uzależnionych od alkoholu. Był terapeutą.

Pisał od kilkudziesięciu lat. Był autorem takich książek, jak: „Ostatnie lato" (2005), „Ucieczka donikąd" (2007), „Tryptyk wigilijny" (2007), „Rendez-vous z przeznaczeniem", „Porzucenie, miłości i...", oraz „Wędrówki z diablem. Opowiadania" (2012).

Odznaczony przez Prezydenta RP Złotym Krzyżem Zasługi (2013).

Odznaczony przez Ministra Zdrowia - Zasłużony Dla Zdrowia Narodu (2014).

Zdzisław Bistuła

OSTATNIE LATO

2019

P R O L O G

**czyli coś w rodzaju słowa wstępnego
o książce...**

Jest to powieść o walorach historycznych, której akcja rozpoczyna się jesienią roku 1938, w małym, wielonarodowościowym miasteczku w przedwojennej, zachodniej części Polski. Dzisiaj po zmianach granic, to niemalże środek naszego kraju. Miasteczko było miejscem, gdzie długo i zgodnie żyli ludzie różnych wyznań, kultur, nacji, aż do czasu, gdy nadeszła wojna...

Mieszkańcy Zelowa doskonale wiedzą, co to miasteczko... W swoim debiucie literackim, Zdzisław Bistuła połączył miejsca prawdziwe z literacką fikcją, ale większość pojawiających się tu postaci, ich opis i nazwiska odpowiadają rzeczywistości. Inne nazwy miejsc nieco mogą wprowadzać w błąd, co do miejsca akcji, ale tylko nieznacznie...

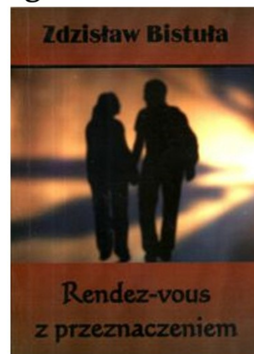
Dobrze, że powstała ta książka. Serdecznie zapraszam do jej przeczytania i polecania jej innym czytelnikom.

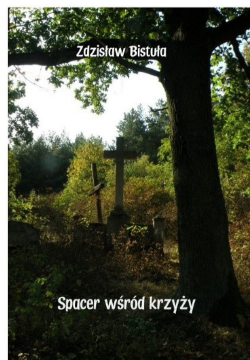
Warszawa, dn. 11.06. 2019

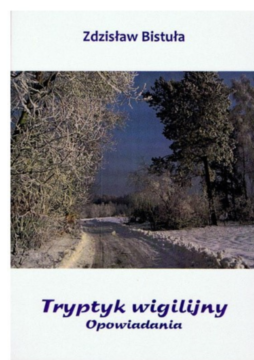
Andrzej Potempski

Inne książki tego autora:











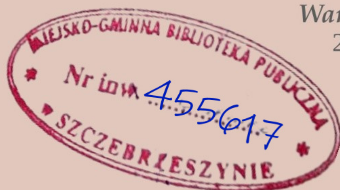


Wydanie uzupełnione
E.Book/Format PDF



ProMemoria

Warszawa
2019





Wydanie I





Jesień 1938 roku była dokuczliwie upalna, wprost dusząca swoim wirującym, gorącym powietrzem. Mimo, że słońce sięgało szczytu widniejącej ponad lasem wieży triangulacyjnej, nic nie zapowiadało zmniejszenia upału, przeciwnie, duchota wzmagała się. Wzmagała się też senność maleńkiego miasteczka, otulonego gorączką prażącego słońca. Kilku starych Żydów, jak gdyby nie zauważając tego upału, siedziało przed drewnianym, piętrowym domkiem, w cieniu czterech, smukłych topoli. Były one mniej stare, mniej pochylone ciężarem swoich lat, niż owa grupka Żydów. Tylko jedna z tych topoli zatraciła swoją smukłość i wdzięk. Stało się to wtedy, gdy w młodości, rączka maleńkiego Żydka uparcie, co dzień, pochylała ją w kierunku ulicy. Ona jedna miała w sobie dużo podobieństwa do siedzących. Pochyleni w milczeniu, zasłuchani w stukot czółenek, który dochodził z fabryki po drugiej stronie ulicy. Otwarte okna wypuszczały na zewnątrz hałas dziesiątków pracujących krosien. Ich bidła uparcie popędzały czółenka z grubymi szpulami nici. Po kilkunastu przebiegach tam i z powrotem, szpule topniały niczym wysmażone skwarki i trzeba było wymienić je na nowe, aby powstał skrawek materiału.

- No, cały ten koniec lata objawia jakieś wielkie, duże poronienie – rzucił mimochodem stary Żyd ze splecionymi, żylastymi dłońmi.

Siedział mocno pochylony do przodu. Nie patrzył na swoich sąsiadów. Wpatrywał się w czarną, wysuszoną ziemię pod jego nogami, a wypowiedziane słowa, kierował nie wiadomo do kogo.

- Oj, to będzie wielkie poronienie, albo bardzo ciężki poród – teraz dopiero prostując starczą sylwetkę, podniósł głowę.

Jego oczy powędrowały na drugą stronę ulicy w kierunku ciągle hałasującej fabryki.

- Myślę, że jednak coś się z tego urodzi i będzie to coś bardzo obrzydliwego. Coś, co przez wieki będzie bardzo śmierdziało. Ale teraz ten smród udusi niejednego Żyda, nasze żony i nasze dzieci...

Na chwilę przymknął oczy, jak gdyby chciał zobaczyć wizję swojej przepowiedni. Przekonać siebie i innych do proroctwa. Że będzie ono prawdziwe, że się spełni. Pozostali milczeli. Nie chcieli ujawniać swoich myśli, woleli usłyszeć to od kogoś. By ktoś inny wziął odpowiedzialność za wypowiedziane słowa, a gdyby się sprawdziły, niech dla niego będą ciężarem.

Coś gnębiło żydowską społeczność i nie tylko ją, pozostałych mieszkańców podobnie. Nie mogło nie gnębić, skoro radio i gazety trąbiły o zbliżającej się wojnie. O ty, że żołnierz nie odda nawet guzika, że Polska ma mocnych sojuszników. Że oni jej pomogą...

Stary Żyd ponownie spojrzał w kierunku odrapanej fabryki i znów odezwał się jak gdyby do siebie.



- Ciekawe jak długo pan Lewi będzie dawał utrzymanie, jak długo jeszcze będą hałasowały te stare krosna.
Wstał powoli, prostując swoją wysoką, starczą postać. Wypuszczone z płuc powietrze zasyczało cichutko, taj jakby wychodziło z przebitej, rowerowej dętki. Już był całkiem wyprostowany, gdy w milczeniu spojrzał na współziomków, a jego siwe, prawie mleczne oczy, były pelne smutku i bólu.
- No, może to jakoś przetrzymamy. Żyd może dużo przetrzymać. A jak Bóg da, to może i Hitler połamie nogi w swoim, wojennym galopie.
Chciał odejść, ale zatrzymał się na moment. Jego już trochę przytępiony słuch, wyłowił jednak nerwowy stukot końskich kopyt, dobiegających od strony wylotu wąskiej uliczki, nawet gdyby był ślepcem odgadłby, że to ogiery leśniczego, zdenerwowane łoskotem krosien, nerwowo przebierały kopytami, stawiając wysoko nogi. Ze strzygącymi uszami, drgającymi, błyszczącymi ciałami, spoglądały z cyrkowym dostojeństwem. Lekko skrzywione zadnie nogi stukały podkowami o kocie łby, by po chwili ucichnąć na piachu, zdeptane przez dzieciarnię podwórka. Orzechowa bryczka wjechała na podwórze i nim jszcze stanęła, na ziemię zeskoczyły dwa lśniące dobermany. Zapewne znały już otoczenie i ludzi, bo nie przejawiały żadnej wrogości. Przeciwnie, w ich szczekaniu przebijała radość z tych odwiedzin. Radość ta jednak była taktowna i umiarkowana, tuż przy nogach swojego pana. Jemu tyko ufały i wykonywały tylko jego polecenia. Nikogo innego nie słuchały, nawet jego żony i syna. On dla nich był tym jedynym, od którego przyjmowały jedzenie, pieszczoty i nagany.
- No, jeśli pan dziedzic przyjechał, to na pewno coś się w trawie poruszyło - w siwych oczach starego Żyda zabłysły iskierki radości na widok gościa.
- Pan dużo wie – podszedł do przybyłego – więc niech pan powie swoim Żydkom, jak to wszystko się skończy? Niech pan nas choć trochę pocieszy.
Leśniczy uśmiechnął się gorzko, kolejno witając się ze wszystkimi. Był barczystym, sześćdziesięcioletnim mężczyzną dwumetrowej wysokości z dłońmi podobnymi do dużych bochenków wiejskiego chleba.
- Moja mądrość mało znaczy z waszym doświadczeniem i przewidywaniami. Cóż więc mogę wam powiedzieć? Przecież widzicie co się dzieje. Widzicie i słyszycie, cóż jeszcze można dodać, chyba tylko zapłakać, skoro nasi sąsiedzi Niemcy którzy od lat tutaj żyją, zaczynają patrzeć na nas z góry. I cóż tutaj można powiedzieć? - Nieświadomie przejął od nich śpiewność wypowiadanych słów – no, cóż tu dodać, cóż tu ująć? Wszystko jest tak jaskrawe, jak to zachodzące słońce. Chociaż na nie można spojrzeć przymrużonymi oczyma. Ale na to co się zaczyna dziać dookoła, już strach patrzeć. Wszystko przewraca się do góry nogami. Zaczyna się gotować i byleby tylko nie wykipiało.
Spojrzał w kierunku fabryki, jakby ona dziś była najważniejsza.
- Pan Lewi jeszcze pracuje, jeszcze nie uciekł – odwrócił się w ich kierunku – zrobi to lada dzień. Już powinien to zrobić!
Mocniej ściągnął lejce, bo gromadka rozhukanych dzieci wybiegła z domku, strasząc konie swoim krzykiem. By móc znów podejść, odpiął konie z orczyków, a lejce uwiązał na wystającym haku, wbitym w jedną z topoli. Nie wiedział nawet, że ten hak został wbity właśnie do tego celu przez starego Żyda, który darzył go tak dużą sympatią, o którą go nawet nie podejrzewał.
Podszedł do szerokiej deski na której siedzieli, ale zamiast usiąść, oparł tylko nogę. Dobermany ułożyły się obok niego. Ich czujne, bystre oczy widziały wszystko, co dzieje się dookoła, zawsze gotowe do obrony swojego pana, na każde jego skinienie...
- Gdybyśmy mieli takich sojuszników jak moje psy, moglibyśmy być spokojni – odezwał się do wpatrujących się weń Żydów – ale nie możemy! Moje psy szczekają, ale mogę na nich polegać. My na swoich sojuszników liczyć nie możemy. Za dużo szczekają, tego Hitler się nie przestraszy. Jeśli go wcześniej nie ugryzą, on dlugo będzie gryzł ich...
No, ale nie po to przyjechałem. Opuszczając nogę na ziemię, podszedł do starego Żyda i biorąc go pod rękę, lekko pociągnął w głąb podwórza.
Po chwili zerkając za siebie stwierdził, że może mówić bezpiecznie. Zatrzymał się.
- Czy pamiętasz o naszej, ostatniej rozmowie?
- A czego ja mam nie pamiętać? Pamiętam słowo w słowo to, co mówiłem i co mówił pan leśniczy. Ja wszystko pamiętam, ale ciągle mam nadzieję, że wszystko jeszcze się zmieni, że nie będzie tak źle. Ja nie chciałbym narażać pana i pana rodziny. Bo jeśli będzie tak, jak pan to przewiduje, co nie daj Boże, to będzie bardzo źle! Może nawet gorzej niż źle... - przerwał, wyczekująco patrząc na leśniczego.
- Mosiek, czy ty już całkiem zgłupiałeś na swoje, stare lata, czy może oślepłeś? A może jedno i drugie? – leśniczy zdawał się być zniecierpliwiony. Zrobisz zresztą jak zechcesz, jak tylko rozdzielimy tych dwoje młodych, bo oni gotowi zrobić jakieś głupstwo, a my obaj będziemy potem tego żałowali. Oni gotowi bez naszego pozwolenia ruszyć w świat i co wtedy? Ani ty ani ja, nie będziemy w stanie im pomóc. Chyba, że zdecydujesz się szybko wyjechać, ale to jak najszybciej i nawet mnie nie mów, dokąd! Da Bóg i może przeżyjecie nadchodzącą pożogę. Słuchają jednak Hitlera i słysząc to, co mówi o Żydach, twierdzę, że dużo z was nie przeżyje! Teraz jeszcze możesz coś zrobić, jeśli już nie dla siebie, to dla swojej córki. Masz przecież

pieniądze, ja też dołożę! Weź córkę i wiejcie za granicę! Jeszcze jest czas. Syna wyślę zaraz za wami albo nawet razem. Bylebym go nie utracił na zawsze...
Zamilkł, bacznie patrząc w oczy swego rozmówcy.
Stukot pracujących krosien wisiał w powietrzu, gorącym i ciężkim. Monotonność tego stukotu była jakaś złowroga, niczym tam-tamy, wybijające alarm na to, co niedługo miało nadejść. Co niosło już zapowiedź złego, w co większość nie wierzyła lub nie chciała wierzyć.
- Myślę, byłoby najlepiej, byś przyjechał do mnie do leśniczówki. Tam możemy spokojnie porozmawiać. Zrób to jak najszybciej!
Puszczając jego ramię, zawrócił.
- To jest złe, to bardzo złe, co się stało – w głosie starego Żyda zabrzmiała nutka płaczu – Ty nie chcesz stracić syna a ja córki. Po co się oni w ogóle poznali, po co oni stworzyli nam tyle kłopotów, jakby mało było tego, co nadchodzi? Przecież mamy dużo własnych zmartwień, czy musimy jeszcze dźwigać zmartwienia własnych dzieci? Czy moja żona musiała umrzeć właśnie teraz, gdy taki wielki nastał kłopot? Wygląda, że ona zrobiła mi na złość – błagalnie spojrzał na leśniczego, szukając chyba potwierdzenia. - Całe nasze życie, to jedna wielka złośliwość – dodał filozoficznie. - Nie ma rady, musimy się z tym pogodzić.
Leśniczy idąc w kierunku koni, nie usłyszał ostatnich słów. Nawet gdyby słyszał, nie za bardzo wiedziałby, co powiedzieć. Cóż zresztą można odpowiedzieć, jeśli się dokładnie nie wie co należy robić, by wszystko było dobrze, by uniknąć kłopotów...
Gdy dochodzili do bryczki, na pół nagi, dziesięcioletni może Cygan karmił konie sianem, wyciągniętym spod kozła. Znał tego chłopca tak, jak znał wszystkich tu mieszkających. Dochodząc, zanurzył swoje ogromne palce w jego kędzierzawej czuprynie, delikatnie ją tarmosząc.
Jednocześni pomyślał, że to podwórze to istna wieża Babel, że całe miasteczko jest takie same. Polacy, Niemcy, Żydzi, Cyganie i Czesi. Była tu nawet rodzina Tatarów, chociaż w ich rysach, trudno już było dopatrzeć się podobieństwa do tych wolnych ludzi stepu. Doszedł też do wniosku, że chyba nigdzie indziej w Polsce, nie ma drugiego takiego miasteczka, że to jest jedyne w swoim rodzaju. Jedyne i niepowtarzalne. A jeśli znalazło by się drugie takie, na pewno nie byłoby w nim takiej harmonii współżycia, jak ta tutaj...
Podniósł tylne siedzenie bryczki, wyciągając kupioną po drodze, dużą torebkę cukierków. Zawsze ją kupował, ilekroć tutaj jechał. Całe podwórko o tym wiedziało. Podał słodycze dziecku mówiąc, co ma z nimi zrobić. Wiedział, że chłopiec sprawiedliwie rozdzieli je pośród pozostałych rówieśników.
Stary Żyd podszedł, uśmiechając się z rozrzewnieniem. Zawsze tak się uśmiechał, gdy leśniczy rozdawał dzieciom cukierki. Ten uśmiech był wierną kopią wszystkich poprzednich. Taki am. Ani odrobinę inny. Poprzez gwar uradowanych dzieciaków, usłyszał trochę zawstydzony głos Mośka. A może się mu tylko wydawało?
- Może Pan Dziedzic wejdzie na chwilę do nas. Jeśli pan dziedzic nie wejdzie, to Rajka, która teraz na pewno przez firankę na nas patrzy, urwie moją starą głowę. Musi pan dziedzic do nas wejść – delikatnie wziął gościa pod ramię.
- Jeśli będziesz mnie nazywał dziedzicem, nie wejdę – zrobił ruch udający opór – nie jestem przecież dziedzicem, tylko zwykłym leśniczym.
- Aj, panie dziedzic, niech się pan nie gniewa o małe słowo. My powinni do pana mówić nawet, Królu! Przecież pan wie, że my jego uwielbiamy. Pan też przecież dobrze wie, że są i tacy, którzy to niby w żartach, zwracają się do nas „gudłaje". Pan zaś nigdy, ani jednego razu, do nas tak nie powiedział. My już widzieli pana złego. Niech się pan nie opiera, niech pan wejdzie. Myślę, że na stole stoją już ulubione pana ciasteczka. Jestem tego pewien. Ona nikogo innego nimi nie częstuje. Tylko pana. Nawet staremu ojcu daje inne. Nie te, co jada tylko pan dziedzic.
Gdy weszli do mieszkania, na twarzy uroczej Żydówki pojawił się rumieniec i uśmiech zadowolenia. Była w wieku jego syna. Smukła, jak jedna z topoli stojących przy ulicy. Zręczna jak kozica, która skacze z głazu na głaz. Przyciągała oczy wszystkich którzy ją zobaczyli. Ale jednocześnie było w niej coś, co nakazywało zachowanie dystansu pomiędzy nią a otoczeniem. Być może jej uroda wytwarzała tą niewidzialną granicę, która strzegła ją przed zakusami wielu amatorów jej wdzięków.
Były jego ulubione ciastka i ulubiony stary, wygodny fotel, w którym siadał, ilekroć tutaj bywał. Teraz gdy tylko usiadł, młoda dziewczyna z pąsową twarzą, objęła go za szyję całując w oba policzki. Był przecież jej żydowskim, drugim ojcem, chociaż naprawdę był Polakiem. Był kimś jeszcze. Ojcem kogoś do kogo jej serce biło mocniej, gdy go zobaczyła. Nie była to jeszcze miłość tak, jak przypuszczali ich ojcowie, ale iskierki takiej miłości, która rodziła się w ich sercach. W ich młodych serduszkach...
Po muśnięciu policzków leśniczego, podeszła do ojca. Jego pocałowała w usta. Podała parującą, gorącą herbatę, której aromat wypełnił całe mieszkanie i cichutko wyszła. Oni zaś siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu, jakby nagle zabrakło im słów do tego, o czym chcieli sobie powiedzieć.
Łoskot krosien pomieszany z gwarem bawiących się dzieci, nachalnie wdzierał się do mieszkania przez otwarte okno. Zdawał się nawet poru-

szać firanką. Ten wdzierający się hałas, wchodził do środka wraz z gorącym, drgającym powietrzem. Prawie zatykał nos i usta, utrudniając oddychanie. - Mnie się widzi, że trochę przesadzamy z tą miłością młodych do siebie. Ja jednak patrząc na nich, widzę siebie w tym wieku, widzę jeszcze dzieci – stary Żyd przerwał gorącą, lepką ciszę. Jego słowa docierały do leśniczego trochę niewyraźnie, jak gdyby sklejone panującym, gorącym powietrzem, oblepiającym wszystko dookoła. Sądząc, że gość nie dosłyszał co do niego powiedział, chciał jeszcze raz powtórzyć wyrzeczone już słowa, ale zrezygnował. Zrozumiał bowiem, że one jednak dotarły do gościa. Ten zaś nie odpowiedział, bo zastanawiał się nad nimi, lub nad tym, co powinien odpowiedzieć. Żyd patrząc, cierpliwie czekał. Czekał i był pewien, że tamten potwierdzi to, co słyszał. Nie wiedział dlaczego, ale był tego pewien tak pewien jak to, że kiedy wchodzili do mieszkania, na stole będą już stać ulubione ciastka gościa, a córka poda zaraz aromatyczną herbatę.

- Chyba jednak masz rację – leśniczy dalej patrzył w okno, wypełnione firanką i stukotem czółenek. - Chyba trochę przesadzam. Moje ojcowskie uczucie przysłoniło mi oczy. Ale czyż nie lepiej być przewidującym, od razu dmuchać na zimne, niż się sparzyć?

- Nu, gdybyśmy tak ciągle dmuchali, brakłoby powietrza do oddychania. Pan tak samo dobrze o tym wie, jak wiem ja. Czy nie mam racji? No, niech pan dziedzic powie. Na pewno ją mam. My jeszcze trochę poczekaj-
my, dla nas teraz pośpiech jest złym doradcą. My trochę pomyślmy. Zastanówmy się jakbyśmy to zrobili, będąc na ich miejscu. Przecież oni też mają oczy, oni też widzą, że czasy niespokojne i z miłością trzeba trochę poczekać...

Leśniczy odwrócił wzrok od okna.

- Z miłością tak – przerwał – z tym może masz rację. Ale wy z Rajką, nie macie czasu czekać, jeszcze trochę a może być już za późno. Ty masz starsze oczy, w patrzeniu bardziej doświadczone i nie możesz nie widzieć tego, co nadchodzi – nie dokończył, bo psy leżące u jego nóg podniosły się cicho warcząc. Za oknem rozległ się krzyk dziecka, który był przepełniony bólem, krótki i ostry jak brzytwa. Byli pewni, że się powtórzy, ale nie. Utknął gdzieś w gęstej mazi gorąca. Jeszcze przez chwilę tkwił w ich uszach, drażniąc je swoim piskiem bólu.

- Tak czy inaczej byłoby dobrze, gdybyś któregoś dnia zajrzał do leśniczówki pod byle jakim pretekstem. Teraz już nie wiadomo, komu można ufać. Dlatego rozpowiadaj, że musisz wybrać się po miód. Przyjdziesz, to ci coś pokażę.

Podniósł swą ciężką, masywną sylwetkę, która przysłoniła okno i wpadające przez nie światło.

- Na nas już czas – spojrzał na psy czekające na jego ruch – w domu zastaniesz mnie zawsze. A jeśli nawet nie, to poczekasz.

Sięgnął po leżące na stole ciastka, biorąc kilka w dłoń na drogę.

Mimo dużych starań, jego żona nie potrafiła takich upiec i leśniczy pomyślał, że musiało coś w tym być. Albo żona nie miała do tego drygu, albo Rajka miała swoją tajemnicę. Na pewno coś jednak w tym było, z takim utwierdzeniem podszedł do drzwi. Nim jednak je otworzył, stała już w nich Rajka. Ten sam szczęśliwy uśmiech i te same, różowe pąsy na policzkach. Witała i żegnała go zawsze jednakowo serdecznie, ale bez jednego słowa. Gotów był przysiąc, że słowa które od niej usłyszał, mógłby policzyć na palcach obu rąk. I za to ją uwielbiał. Uwielbiał za to, że nie starała mu się przypodobać za wszelką cenę. Nie narzucała swojej dziewczęcej urody dając do zrozumienia, że jest warta jego syna. Znał ją prawie od pieluch. Jeśli wiedziała czego chce, nie głosiła o tym całemu światu. To, że go chciała, miało być tylko jej własnością i nie musiała się z tym chwalić. Miała dopiero szesnaście lat ale już wiedziała, że ludzie w swej chciwości kradną to, czym inni się chwalą... Na swój wiek miała bardzo dużo żydowskiej mądrości. Nie jeden Żyd mógł jej tego pozazdrościć, nie jeden brać u niej nauki. A była to nauka ojca, który mógł być Rabinem nad Rabinami, tylko on nie miał takich aspiracji. On kochał to, co miał w sobie dla samego... siebie. Właśnie dlatego leśniczy szanował starego Żyda i jego córkę. Zresztą w ogóle szanował ludzi i chciał, by szanowano jego. Tylko tych dwojga szanował szczególnie...

W domu zastał gościa i był to gość raczej do jego syna, niż do niego samego. Był trochę tym zaskoczony.

Młody, dwudziestoletni, wysportowany chłopak, był synem aptekarza z miasteczka. Jego ojciec był Niemcem, urodzonym i wychowanym w Polsce, matka Polka, tak samo jak on, urodzona w tym miasteczku. Syn ich był jedynakiem, podobnie jak jego syn. Tylko tamten jest cztery lata starszy od syna leśniczego i nie można było mówić o jakimś koleżeństwie tych dwojga młodzieńców. Była to raczej szkolna znajomość młodych ludzi, od czasu do czasu, czegoś od siebie potrzebujących.

Bardzo rzadko bywał w ich leśniczówce i dlatego jego przyjście zaskoczyło go. A zaskoczył go jeszcze bardziej gdy tamten oświadczył, że dawno mógłby już iść i nie przeszkadzać, ale czekał... właśnie na niego. Krótko mówiąc, chciałby się pożegnać, ponieważ ojciec nagle zapragnął wyjechać.

- Nic z tego nie rozumiem – leśniczy usiadł przy stole wskazując gościowi miejsce naprzeciw siebie. Naprawdę tego nie rozumiem – powtórzył – tak nagle i na dodatek jeszcze teraz, kiedy szykuje się wojenna zawierucha. Toż to czysty nonsens.

Młody człowiek spuścił oczy.

- Właśnie z tego powodu. Z powodu tej wojny...
- Ależ, czy twój tata nie rozumie, że wojnę łatwiej przeżyć w małym miasteczku, prawie wiosce, niż w dużym mieście?
- Nie o to chodzi – chłopak podniósł oczy, które pałały podnieceniem. Były duże, orzechowe i przebijała z nich dojrzała mądrość.
- Nie o to chodzi – ściszył głos, jak gdyby jego rodzic stał tuż obok lub był gdzieś w pobliżu – Ojciec nagle poczuł się Niemcem. Być może tak by się nie stało, gdyby nie list od stryja, który mieszkał gdzieś niedaleko Hamburga. Tak namącił ojcu w głowie, że ten uderzył matkę, gdy mu powiedziała, że prawdziwą ojczyzną jest ten kraj, w którym się urodził. Nie ważne kim był ojciec, matka czy dziadek ważne, który kraj go żywił i dawał schronienie.
Spuścił głowę jakby decyzja, którą nagle podjął jego ojciec, dopiero teraz przygniotła go swoim ciężarem.
- Ale najgorsze, że ja sam nie wiem, jak się mam zachować, kim jestem...
- Jak to nie wiesz, a to, co powiedziałeś przed chwilą? Myślałem, że po tamtych słowach ustaliłeś, gdzie masz być. Zresztą nie mogę ci niczego sugerować. Jedyne co mogę ci powiedzieć to to, że dojrzałym, mądrym, młodym człowiekiem. Podjęcie właściwej decyzji nie powinno nastręczać ci trudności. Chyba, że ten list i tobie zawrócił w głowie, zasiał wątpliwości...
- Nie, proszę pana, nie o to chodzi. Chodzi o moją matkę. Ona nie chce jechać, ale jeśli pojedzie wbrew własnej woli, ojciec który już ją raz uderzył, będzie robił to częściej. Jeśli ona pojedzie, pojadę i ja, nie mogę jej opuścić.
Teraz leśniczy podniósł głowę. Ten chłopak miał dwie miłości, miłość do matki i miłość do kraju, w którym się urodził. Nagłe zaślepienie ojca było dla niego szokiem. Szokiem, który zapędził go na rozstaje i teraz nie wie, która droga jest właściwa. A właściwie to wie, tylko trudno mu ją wybrać. Nie chce opuścić matkę, która zaszczepiła mu tę drugą miłość, teraz go zrozumiał. Nie potrafił jednak zrozumieć jego ojca i jego postępowania, dlaczego człowiek który od sześćdziesięciu lat mieszka w jednym kraju, nagle uświadamia sobie, że jego ojczyzna znajduje się trzysta kilometrów dalej i zaczyna czuć nienawiść do tej, którą przez wszystkie, dotychczasowe lata, uważał za prawdziwą. Tak właśnie działa nazizm – pomyślał z goryczą, a głośno powiedział, unosząc głowę:
- Nie mogę ci nic poradzić. Zrób jednak tak, jak ci poradzi serce. Może to będzie właściwy wybór. Jeśli nie, to nie miej do mnie pretensji, proszę. Na twoim miejscu tak bym zrobił, ty wybierz sam – wstał podając na pożegnanie rękę – Życzę ci powodzenia, bez względu na to gdzie będziesz. Nawet, jeśli obaj znajdziemy się po przeciwnej stronie...
- Przyjmę pana radę, ale też chciałbym prosić o jeszcze jedną – trzymał podaną dłoń, wpatrując się w twarz leśniczego, którą zachodzące słońce zalało purpurą swojej aureoli. Ta twarz na chwilę przybrała jakiś nimb, jakiś wyraz świętości. Twarz kogoś, kto był ponad wszystkimi...
Po ciel młodzieńca przebiegł jakiś dziwny dreszcz. Dreszcz jakiegoś niewytłumaczalnego strachu. Opamiętał się jednak szybko, chociaż ta nagła zmiana nie uszła uwadze leśniczego. Spokojnie jednak, czekał...
- Proszę mi poradzić, czy wypada mi pożegnać Żydów z placu pana Lewiego, tych co mieszkają naprzeciw fabryki, wie pan. Boję się, że oni przez mojego ojca, ostatnio nie za bardzo przychylnie na nas patrzą...
- Mój chłopcze – puścił jego dłoń – czy chodzi ci o wszystkich, czy chodzi ci o Mośka i jego córkę, Rajkę?
Leśniczy odgadł w mgnieniu oka, że chłopak ma jeszcze trzecią miłość, tylko ta jest głęboko ukryta, a mimo to, jest bardzo widoczna. Być może, kiedyś z jego synem, będą rywalami. Jeden Pan Bóg wie, co może się jeszcze zdarzyć. Westchnął. Nie czekając też na odpowiedź, odezwał się:
- Jeśli chodzi ci tylko o tych dwoje, to zrób to najlepiej, gdy będzie ciemno lub nie rób tego wcale. Jest jeszcze jedno wyjście, jeśli chcesz być mile wspominany, pożegnaj się ze wszystkimi znajomymi. Ze wszystkimi bez wyjątku. Nie ważne, czy zrobi to twój ojciec, czy też nie. Nieważne jak na to będzie patrzył. Jeśli on nie chce się już liczyć z tym miasteczkiem, zrób to ty. Zostawisz po sobie i dla siebie troszkę szacunku, że nie opuściłeś tego miasteczka bez pożegnania. Do widzenia.
Ruszył ku drzwiom, z zamiarem pójścia nad stawy rybne, aby trochę ochłonąć. Gdy jego ogromna dłoń złapała za klamkę, usłyszał głos syna:
- Jeśli się zgodzisz, mogę ci towarzyszyć. Będzie ci trochę raźniej.
Leśniczy powoli odwrócił się od drzwi i patrząc w oczy syna, odezwał się szorstko:
- Nie narzucaj nikomu swojego towarzystwa. Nazwij rzecz po imieniu albo nie mów nic i nie udawaj przyjaciela. Jeśli chcesz nim być, powiedz od razu, że widzisz w nim rywala.
Wyszedł, wypuszczając psy przodem. Obaj młodzieńcy stali naprzeciw siebie, nie bardzo wiedząc jak się zachować i co powiedzieć.
- Czy ty się w niej kochasz? - Eryk z lekką ironią spojrzał na syna leśniczego. Jeżeli tak, to chyba troszkę za wcześnie.
- Zaraz tam kocham – rumieńce na twarzy Roberta mówiły co innego
- Mój ojciec jak zawsze przesadza. Po prostu, bardzo ją lubię i myślę, że oboje lubimy ze sobą przebywać, a ty? - zapytał cicho, spuszczając wzrok aby tamten nie dostrzegł natrętnej ciekawości.
- Na początku lata prosiłem, żeby poszła ze mną na grzyby. W powrotnej drodze pozwoliła mi się pocałować, więc pomyślałem sobie, że bardzo chciałbym ją mieć za żonę. Nigdy jednak jej tego nie mówiłem i nie bardzo wiem, czy to się spełni, chociaż naprawdę bym chciał... - przerwał

obejmując młodszego kolegę.
- Jeśli chcesz, jedź ze mną. Weź rower i jedź – przez chwilę mocniej ściskał jego ramię. - Powiedz, że jak wyjadę, coś dla mnie zrobisz!
Robert ze zdziwieniem patrzył na starszego kolegę, nie bardzo wiedząc, co może dla tamtego zrobić.
- Jeśli tylko będę mógł...
- Będziesz! Po prostu ja jej dziś wszystko wyjawię a ty, gdy mnie już tu nie będzie, gdy wyjadę, przypominaj jej o tym, że kiedyś wrócę. Ale tylko wtedy, gdy ktoś natrętnie będzie się koło niej kręcił. Zgoda! - w jego głosię zabrzmiała nagle nutka serdeczności – gdy wrócę przywiozę ci pamiątkę z Niemiec. Naprawdę, będę pamietał.
- To mogę zrobić – Robert był zdziwiony swoim opanowaniem – zrobię to na pewno! Tylko teraz z tobą nie pojadę, przeszkadzałbym wam w waszej intymności – gdy wypowiedział te słowa, poczuł się jakoś oszukany przez Rajkę.
Prócz kilkunastu gorących pocałunków, nie było między nimi nic. Czuł się oszukany, bo jeśli było prawda to co mówił Eryk, że on też ją całował...
- Chodźmy, odprowadzę cię kawałek – zaofiarował się nagle, chociaż wcale nie miał na to ochoty.
By ukryć swoje podniecenie, zawołał:
- Dam ci kilkanaście pstrągów na kolację. Lubicie chyba pstrągi? Też się głupio pytam, kto może nie lubić pstrągów? - pociągnął go za rękę – chodź, są w strumyku w węciorku. Z godzinę temu złapałem właśnie, dla Rajki i jej ojca – skłamał – teraz muszę iść, a ty po prostu powiedz, że kupiłeś ryby dla nich u nas, w leśniczówce. Będziesz miał niej lepsze względy – paplał jak najęty, ale w okolicach serca czuł jakiś ból, a łzy uparcie zaczęły mu napływać do oczu.
Gdy tylko Eryk zniknął za mostem, powstrzymywane łzy trysnęły z oczu niczym tamowana woda w jazie. Nie zauważył nawet stojącej obok matki. Przytuliła go do siebie, obejmując głowę.
- Wiem, że to boli, bardzo boli. Ale pomyśl, wszystko może się jeszcze zmienić. On wyjeżdża a ty zostajesz. To ty jesteś górą. A jeśli nawet nie wyjedzie, jeśli zostanie – uprzedziła jego pytanie – wtedy i tak ostatnie słowo będzie należeć przecież do niej. Będzie wybierać i myślę, że to ty będziesz tym wybrańcem.
Odchyliła jego głowę od swojej piersi i zaśmiała się na głos:
- Pokaż mi proszę, drugiego takiego przystojniaka w okolicy, jakim jesteś ty! Na pewno nie pokażesz, bo drugiego takiego jak ty, nie ma. Dlatego jesteś górą.
Znała swojego syna, jego wrażliwy charakter i jedno, co mogła zrobić, to obrócić wszystko w żart. Miała nadzieję, że jego pierwsza miłość tak, jak każda, szybko stopnieje. Znając jednak syna, tak bardzo nie była tego pewna. Gdy mąż po godzinie wrócił, zastał ją siedzącą przy oknie i nie musiał jej o nic pytać by wiedzieć, że jego obawy o syna były słuszne.
A że był pewien rozmowy żony z synem, tedy zrezygnował z drugiej z nim rozmowy. Wychodził zresztą z założenia, że jest w takim wieku, kiedy niektóre sprawy powinien nauczyć się rozwiązywać sam. ,
Ponownie wyszedł, tym razem siadając pod pnącym się winogronem, oplatającym niemal cały dom. Krzew dawał cień w gorące dni, tak na zewnątrz, jak i w środku. Spojrzał do góry na zachodzące słońce i stwierdził, że może jeszcze posiedzieć kilkanaście minut. Potem musiał iść przerzucić resztę siana. Zamyślił się cofając wspomnienia o tyle lat, że w zakamarkach pamięci odnalazł postać ojca. To on objął posadę leśniczego w wieku lat dwudziestu kilku, pełnił ją bez przerwy przez lat pięćdziesiąt pięć. Ostatnie lata już z jego pomocą, choć jeszcze był żwawy i silny jak tur, miał kłopoty z chodzeniem. Nogi nie mogły już utrzymać potężnej postury jego ciała. Teraz i on bał się, że i jego może spotkać to co przytrafiło się jego ojcu. Chociaż dożył lat dziewięćdziesięciu dwóch, to ostatnie siedemnaście lat życia, spędził przesiadując na ławce przed domem. Przesiadywał tam najchętniej przez całe lato, kiedy nadchodziła zaś zima, siedział na wprost paleniska od pieca i łamiąc patyki, kładł je prosto w paszczę wiecznie głodnego ognia, chciwie łykającego opał – strawę, którą chętnie mu dawano. Gdy drętwiały mu nogi, brał laskę własnej roboty i szedł do obory. Ciepło i zapach dwóch koni i trzech krów, odmładzały go o parę lat.
Tak kochał to miejsce, że gdy już czuł nadchodzący kres życia – i by nie odejść na oczach kochających go osób – poszedł właśnie tam...
Kiedy syn zaniepokojony jego długą nieobecnością poszedł zobaczyć, dlaczego tak długo nie wraca, dostrzegł go. Stał, oparty plecami o chlewik. Laska trzymana w lewej ręce, głęboko wbita w słomę, dalej wiernie spełniała swoją powinność. Otwarte oczy wpatrzone były w koryto koni, pełnego świeżo nasypanego obroku. Dopiero gdy zawołał na ojca, że już czas do domu i nie otrzymał odpowiedzi, coś go tknęło. Podszedł dotknąć ojca, obudzić go z zamyślenia, ale w tej jednej chwili zrozumiał, że on nie żyje. Kiedy go dotknął, laska zastygła w ciepłej jeszcze dłoni, pochyliła się wraz z całym ciałem. Ledwo zdążył go złapać, aby nie padł na podścieloną słomę...
Uświadomił sobie, że ojciec nie żyje od kilkunastu minut. Nigdy jeszcze nie widział, by ktoś umarł na stojąco. Wziął go na ręce i potykając się na śliskim śniegu, przyniósł do domu. Jeszcze teraz pamiętał twarz matki i cicho cieknące łzy po jej ciemnej cerze, pooranej głębokimi bruzdami zmarszczek. Pamięta, że nie umiała żyć bez widoku męża. Odeszła za nim z pierwszymi promieniami wiosennego słońca, tak samo cicho jak on, klęcząc przy porannej modlitwie...

Nagle ocknął się z zamyślenia, słysząc głos żony wołającej syna, by się pośpieszył, bo czas iść do siana. Wstał, by wziąć ze szopy grabie. Idąc zastanawiał się, czy dożyje wieku ojca? Kto odejdzie pierwszy? On, czy żona i czy Robert dobrze będzie się czuł we spuściźnie po swoim ojcu i dziadku? Na razie wygląda na to, że kocha to co robi, ale czy to się nie zmieni? Nie umiał na to odpowiedzieć...

Eryk, wracając do domu, podjął decyzję. Pożegna znajomych na krótko przed wyjazdem. Miał jeszcze cichą nadzieję, że ojciec w ostatniej chwili zmieni decyzję, że nie będzie szukał drugiego szczęścia, skoro jedno już posiada i to tutaj, na miejscu.
Do Rajki postanowił jednak iść. Chciał wysondować, czy przyjęła by jego propozycję, czy zgodziłby się na to także jej ojciec. Wprawdzie nie wiedział, jak potoczą się jego losy gdy wyjedzie ale wiedział, że jeśli tylko zechce, to może wrócić. Może, jeśli będzie miał do kogo?
Rajka z ojcem byli w domu, siedząc niedaleko siebie. Ona na starej kozetce, on jak zwykle lekko pochylony, przy oknie. Dziewczyna ukradkiem spoglądała na zapatrzonego w okno ojca, starając się odgadnąć, o czym w tej chwili myśli. Czy o jej przeszłości, czy o przyszłości, którą przyniesie zbliżająca się wojna.
Tymczasem Mosiek patrząc w okno, miał przed oczami fabrykę, za dachami której skrywało się słońce, a w uszach ciągły, jednostajny stukot. Wcale nie myślał ani o przyszłości córki, ani o zbliżającej się wojnie i jej skutkach, które musi za sobą przynieść. Zastanawiał się, dlaczego Rajka przyjęła tak naturalnie śmierć matki, jak gdyby to nie była jej matka, ale ktoś z dalszej rodziny. Jak ktoś, kto bardzo mało .
dla niej zrobił
- Czy ty była dziś u mamy? - Stary Żyd nie odwracając głowy, odezwał się cicho, a jego starczy głos zaskrzypiał, jak czasem skrzypiało stare krzesło, na którym teraz siedział. - Dlaczego ty do niej nie poszła, ty zaczynasz być złą córką.
- Oj tate – Rajka drgnęła dotknięta jego wymówką i zaskoczona tym, że myślał zupełnie o czymś innym niż przypuszczała. - Tate, nie mogę przecież ciągle siedzieć przy jej szczątkach. Ty wiesz, że ja ją kochała, ale teraz tę miłość do niej, muszę dać ciebie. Ty żyjesz i ty potrzebujesz opieki, ona już nie, ona ją ma tam gdzie teraz jest, tam u góry. Przecież ty zawsze mówił, że to święta kobieta – podeszła do ojca i stojąc za jego plecami, przytuliła jego głowę do swojej piersi.
On nie odezwał się. Pomyślał tylko, że córka jest już dorosła, bardzo dorosła. Jej piersi były duże, jędrne, prawie kłujące go w głowę, sterczącymi niczym dwie szpady, sutkami. Ciężko westchnął, ona zaś pomyślała, że sprawia mu przykrość. Pocałowała go w policzek, potem delikatnie pogładziła w miejscu, gdzie jej usta pozostawiły ciepły ślad.
- Dobrze tate, pójdę teraz. Ale poskarżę się na ciebie, że nie dajesz mi o siebie dbać.
Odwróciła się kierując do drzwi, gdy rozległo się ciche pukanie.
Oboje drgnęli bo wiedzieli, że jest to ktoś, kto tutaj nie mieszka. Tutaj nikt do nikogo nie pukał, tutaj wszyscy byli swoi. Prawie jednocześnie zaprosili nie widocznego jeszcze gościa i oboje też, zdziwili się jego widokiem. Tylko zdziwienie Rajki objawiło się jeszcze zaczerwienieniem się twarzy, co przy jej kruczych włosach, było aż nadto widoczne i czego ojciec nie mógł nie zauważyć. Nie mógł też nie dostrzec tego samego u Eryka, który poczerwieniał aż po same uszy, niczym oblany gorącą wodą. Oboje z Rajką wyglądali teraz jak młoda para Indian, którzy już coś od dawna do siebie czują tylko, że dopiero teraz się to objawiło.
Starego coś ukłuło koło serca i było to tak bolesne ukłucie, że musiał usiąść na powrót. Jego przypuszczenia sprawdziły się. Dziewczyna z tych dwóch, przychylniejszym okiem patrzyła na Eryka, niż na syna leśniczego. Nie miał już żadnych wątpliwości i wiedział, że na to nie może się zgodzić. Nie dlatego chciał Rajkę wydać za syna leśniczego, że szanował tamtego za jego poglądy. Jeśli już nie było w okolicy Żyda godnego Rajki, jego córki, to z dwojga złego wolał, by złączyła się z Polakiem, niż z Niemcem urodzonym w Polsce.
To nie wchodziło w rachubę, widząc jak młodzi speszeni patrzą na siebie i ich wiele mówiące spojrzenia. W jednej chwili postanowił, że musi coś zrobić. Już postanowił zobaczyć się z leśniczym...
- Nu Rajka, ty miała gdzieś iść, więc czemu stoisz jak kołek w płocie? TY idź już, bo pan Eryk ma chyba do mnie jakiś interes. A jak on ma do mnie interes, to ty jesteś tu niepotrzebna.
Dziewczyna minęła chłopaka posyłając mu uśmiech, a on dalej stał, nie wiedząc jak zacząć rozmowę. Najchętniej poszedłby za nią, bo była to wyborna okazja by z nią porozmawiać.
- To ja przyjdę troszkę później – chciał wyjść, gdy stanowczy głos Mośka osadził go na miejscu.
_ Niech pan Eryk zaczeka – wskazał mu krzesło – Rajka nie ptak, nie odfrunie, po co więc ten pośpiech. Ona i tak wie, co pan, co ona, a to ja, co wy oboje i mogę panu powiedzieć, że z tej mąki to chleba nie będzie. Przynajmniej na razie – dodał łagodniej widząc, jak rysy chłopca stężały w jakieś nagłej złości, buncie, przeciw decyzji, którą już podjął.
Nie odezwał się jednak, czekając na wyjaśnienie, dlaczego ta decyzja jest taka a nie inna. Żyd jednak nie spieszył się z wyjaśnieniem. Odwrócił głowę do okna, jakby w nim szukając sensownego wyjaśnienia chło-

pakowi swojej decyzji. Ten patrzył na jego profil oblany czerwienią zachodzącego słońca i pomyślał, że w tej chwili wygląda tak, jakby go ktoś oblał rozpuszczoną w wodzie krwią. Za chwilę jednak poczuł wesołość, bo do głowy przyszło mu drugie skojarzenie – widok starego na tle okna, z długimi pejsami i jarmułką na czubku głowy wyglądał tak, jak gdyby malarz na ogromny kawał czerwonego papieru, rozlał czarną farbę. Ta zaś rozlewając się po papierze, przyjęła zarys postaci tego, co rysowało się teraz na tle otwartego okna. Szybko opanował się bo za chwilę parsknąłby śmiechem, przekreślając wszystko to, co jeszcze chyba nie było stracone. Przynajmniej na razie, jak to ujął stary. Czekał więc grzecznie, zachowując powagę i by nie kusić losu, odwrócił głowę w kierunku ściany, pod którą stała kozetka. W miejscu na którym zatrzymał wzrok, wisiała kolorowa makatka, robiona na szydełku. Jej kolory były jaskrawe, gryzące się ze sobą, co po dłuższym patrzeniu, drażniło oczy. Wszystkonagle zlewało się w jedną, kolorową plamę.
- Ty Eryk, jesteś roztropny chłopiec – głos starego był cichy i ciepły jak kończący się dzień, który przez otwarte okno wpływał do mieszkania, delikatnie muskając firanki w drobny, abażurowy wzorek – Nu, ja ci chyba nie muszę za długo tłumaczyć, że nie czas teraz myśleć o amorach. Ja nie chcę urazić twoje uczucia, ale wasz wielki wódz, Hitler ma duże plany tylko, że w tych dużych planach, nie ma miejsca dla Żydów! Ty mi tego nie miej za złe – zdawał się nie zauważać, że mówił do niego „per ty" – ale skąd mogę wiedzieć, czy za kilka dni ty, zamiast moim zięciem, będziesz mi wrogiem, wrogiem swojego teścia, a być może i swojej żony? Czy to byłoby dobre? Czy my bylibyśmy dla siebie ludźmi czy dzikimi zwierzętami, starającymi się zagryźć jedno, drugie? To byłoby bardzo złe. A przecież ja szanuję ciebie i twoją rodzinę. Ja szanuję wszystkich, których znam a i ty dobrze by było, aby ci wszyscy tak samo szanowali nas, Żydów. Ale czy tak jest? Ty mi powiedz! Nu, jest tak? Nie odpowiesz bo ci ciężko, więc Mosiek ci odpowie. Tak nie jest! Ty przychodził do mnie szyć garnitur, bo prawie nie ma blisko innego krawca. Ale jakby był inny krawiec twój rodak, to ty by nie przyszedł do gudłaja. A dlaczego? Czy ja inny człowiek? Dlaczego inny? Dlatego, że noszę jarmułkę, że obchodzę szabas, że inaczej się modlę? Aj, ja sobie myślę, że każdy ma prawo do wiary, w której się urodził. Ja nie wiem przecież, która wiara dobra? A w tej się urodziłem, w tej się modlę i broń Boże, żebym naśmiewał się z niej – nagle odwrócił się od okna i Eryk zobaczył łzy w jego oczach – to bardzo niesprawiedliwe. Idź już chłopcze i nie miej pretensji do starego Żyda. Jak przyjdzie czas, to jeszcze porozmawiamy...
Na powrót odwrócił się do okna, jak gdyby przypomniał sobie, że jego łzy są dowodem starczej słabości. A przecież tak nie było. One były dowodem niesprawiedliwości, która była coraz bliżej a imię miała, Hitler. Słyszał jak chłopak bąknął słowa pożegnania, ale nie odpowiedział, nie odwrócił głowy. Nie odwrócił jej nawet wtedy, gdy drzwi skrzypiąc zamknęły się za gościem. Ogarnęła go nagle jakaś pustka, pustka, która od śmierci żony coraz częściej go nachodziła. Siedząc dalej w patrzony w kończący się dzień doszedł do wniosku, że wszystko dookoła jest pustką. Pustką, która mimo tego, że tętni życiem, nie wypełnia go tak, by jej nie odczuwać. Zwłaszcza wtedy, gdy odszedł ktoś bliski i samemu też by trzeba do tego odejścia się przygotować. Znowu kogoś bliskiego zostawić. Ironia losu. Wszystko chyba jest ironią. Bo po co istnieć, kiedy trzeba będzie odejść? Czasem nawet wtedy, gdy nie nadarzy się skończyć swojej, życiowej misji. Gdy dzieci są jeszcze nieprzygotowane do życia, gdy nie znają pułapek świata. Jedna wielka ironia, jedno wielkie obłąkanie. Głupota i bezsensowność. Jak nazwać to, że miliony mądrych na ciele i umyśle ludzi, słucha jakiegoś szaleńca z wąsikami, sterczącymi jak kolce u dupy jeża? Słuchają go w ekstazie i z euforią. Poza nim nie widzą świata, a świętością jest to co mówi. Kto tutaj jest głupszy, ten jeden szaleniec czy owe miliony? Czy on ma być kimś powołanym do wypełnienia pustki wypełniającej coraz grzeszniejszy świat, czy pustką, którą ze sobą niesie ma być owa Sodoma i Gomora, którą ludzie sami sobie gotują w postaci Adolfa Hitlera?
Nawet nie słyszał powrotu córki, jego rozważania nad przyszłością tak krzyczały w jego sercu, że nie mógł słyszeć niczego innego. A ona widząc wciąż nieruchomego ojca sądziła, że jeszcze drzemie. Gdy jednak zakasłała drgnął, odwracając głowę.
- Jeszcze pan nie poszedł? - jego starcze oczy nie dostrzegły stojącej w cieniu, córki. On sam w swoim zamyśleniu, stracił poczucie czasu. Po prostu sądził, że w mieszkaniu wciąż jest jeszcze Eryk.
- Tate, do kogo ty mówisz? Czy nie jesteś czasem chory? Przecież to ja, twoja Rajka – wyszła z cienia podchodząc do niego.
- Aj, ja się tak zamyślił, że całkiem zapomniał o świecie. Myślałem, że to Eryk jest tutaj, a on już przecież poszedł. Czy ty go jeszcze widziałaś drugi raz, bo wygląda na to, że on miał interes do ciebie a nie do mnie?
Chciała skłamać, że nie, że już się nie widzieli, ale nagle zrobiło się jej żal ojca, którego przecież tak bardzo kochała.
- Poszedł za mną na kirkut i nawet pomodlił się przy mamy grobie – umilkła nagle wystraszona, że przecież nie powinna tego robić, nie powinna nikogo obcego ze sobą zabierać. - Czy tate się gniewasz? - przytuliła swój policzek do jego – ja już więcej tego nie zrobię, nie gniewaj się tate na mnie. - uśmiechnęła się gorzko, bo była pewna, że jeszcze nie raz okłamie go w swoim życiu.

- Nu, czego ja mam się gniewać. Może i ty go nie powinnaś ze sobą brać, ale żeby się zaraz gniewać? Jak twój stary tate może się na ciebie gniewać? Gdyby ty z nim zrobiła coś bardziej gorszego, aj wtedy byłoby źle i mogłoby moje serce nie wytrzymać. Ty nie jesteś dla niego, ty posłuchaj, co na świecie się dzieje. On niby Polak, on tutaj urodzony, ale w jego krwi jest trochę Niemca, a to źle, aj bardzo źle. Zresztą ty masz jeszcze dużo czasu, bardzo dużo – pogłaskał ją po głowie – Ty na razie o tym nie myśl. Zresztą może my wyjedziemy. Zobaczym co zrobią inni Żydzi, co zrobi pan Lewi. To mądry Żyd, bardzo mądry. Jeśli on zostawi swoją fabrykę i wyjedzie, znaczy to, że i nam nic tu szukać. My też weźmiemy maleńki tobołek i też gdzieś pójdziemy. Tylko ty bądź dla swojego tate posłuszną, a tate wszystko ułoży. Wstał ciężko, jakby już gniótł go ciężar tego, co miało nastąpić...
- Ty zrobisz kolację, a twój tate pójdzie do fabryki. Zobaczę, czy pan Lewi ma dla... No, mniejsza z tym – nie powiedział, co ma mieć dla niego pan Lewi.
W ogóle nie powiedział, że jego wizyta u Fabrykanta ma całkiem inny charakter. Było to ciche spotkanie, na które przyjechał nawet Naczelny Rabin z Ł... a na którym było dziewięć osób, które miały znaczący głos w całej, żydowskiej Gminie. A cała gmina jak na małe miasteczko, liczyła około stu osób. Wiodła ona prym w tym, małym zakątku. Teraz tutaj jak zresztą przez całą Europę, przelewały się złowróżbne krzyki Hitlera. Krzyki popierane nieświadomie przez małe dzieci, które w swoich zabawach, niemniej buntowniczo pokrzykiwały „haj Hitla”.
Pałacyk fabrykanta stał blisko fabryki, cały z drewna, a jego trochę góralski styl, wcale nie pasował do otoczenia. Nie wiadomo było dlaczego stary pan Lewi budując go, wybrał taką architekturę. Mówiono, że to przez sentyment do Krynicy Górskiej, w której leczył wrzody jelita grubego. Tak czy inaczej, nie dość, że bardzo mało tutaj przebywał, to zepsuł cały urok dolinki i jej miasteczka. Syn w przeciwieństwie do nieżyjącego już ojca, tylko w zimie, na miesiąc, opuszczał swoją fabrykę. W jego zastępstwie, sprawował rządy ojciec Rajki, który przepracował tutaj więcej niż pół życia. On też przyszedł jako ostatni.
- Aj, pan Bauman nam się spóźnia! - Na jego widok fabrykant Lewi podniósł się szybko ze swojego miejsca, podążając w stronę gościa.
- Cóż to mojego wspólnika tak długo zatrzymało, że nam się spóźnił? Poprowadził gościa do miejsca, gdzie sam siedział, czyli przy samym środku dużego, dębowego stołu. Gdyby zaszła konieczność, mogło przy nim zasiąść ze dwadzieścia osób.
- Panie Lewi, pan to mnie onieśmielasz – przystanął widząc, że ma zająć zaszczytne miejsce gospodarza. - Ja tu tylko gość, to pan jest u siebie, ja usiądę gdzieś z boku – bezradnie machał rękoma, nie wiedząc co z nimi zrobić.
Jak się obronić, by nie zająć miejsca, w którym chciano go posadzić?
- To byłoby bardzo niegrzeczne, gdybym ja usiadł tam, gdzie nie moje miejsce.
- Może pan, może – fabrykant delikatnie popchnął wspólnika – przecież to pan w trosce o naszą Gminę, o wszystkich Żydów, zwołał ten Wiec. Ja tylko pomógł jego zorganizować i dałem miejsce na to spotkanie.
Niech się pan nie wzbrania i niech pan usiądzie. Zresztą nie raz pan tu siedział w moim zastępstwie...
Mosiek Bauman usiadł, gdzie go posadzono, ale przez chwilę zachowywał się jak paź na tronie, nie król. Gdy już oswoił się z zaistniałą sytuacją i minęła go trema, bez skrępowania rzucił pytanie:

- Mnie o nic innego nie chodzi, tylko o to, co dalej mamy robić? - jego wzrok zatrzymał się na Rabinie, jakby to on był przyczyną tego spotkania. - Czasy są niespokojne, a my sobie cicho siedzimy udając, że nic wielkiego się nie dzieje, a przecież się dzieje! Ty Rabi, jesteś wielki, mądry Żyd, ty nam powiedz co powinniśmy robić – bo nic nie robić, to robić źle! Ja myślę, że Hitler na próżno nie krzyczy, on wie, że jego krzyk czyni Niemców wielkimi. On wie, że oni wierzą we wszystko, co on krzyczy. Aj, mnie się wydaje, że za niedługo, cały świat będzie krzyczał, ale już z rozpaczy. Nic innego zrobić nie będzie mógł. To wtedy będzie najgorsze. Może ja się mylę, ja nie mówię, że się nie mylę, ja nawet chciałbym się mylić, ale się boję, że nie.
Zamilkł, dalej patrząc na Rabina, a gdy tamten milczał, powoli jego wzrok przechodził kolejno na każdego, jakby tym spojrzeniem chciał ich zmusić do wyjawienia swojego osądu.
- Ja myślę tak – fabrykant sięgnął po kruche ciasteczko, których cały stos, królował na srebrnej paterze – że najlepiej... nie dokończył
- w każdym razie... ja nie będę uciekał, tylko wyślę rodzinę...
Jego słowa wyjaśniły prawie wszystko i on o tym wiedział.
Wiedział, że oni chcą wiedzieć, co on zrobi. Wszystko inne co by chciał powiedzieć, nie miało by sensu. Przecież nie mógł brać za nich odpowiedzialności, podpowiadać, co mają zrobić. Tym samym – wziąć na siebie odpowiedzialność. On mógł im tylko powiedzieć, co on zrobi – oni sami mogą wybrać najlepsze wyjście. On na ich miejscu by został, głośno jednak tego powiedzieć nie chciał.

- Zawsze mówiono, że strach ma wielkie oczy – naczelny Rabi też sięgnął po ciastko – a jak on ma wielkie oczy, to po co się jego bać? Czy Żydzi mało cierpień już przeżyli? Jak trzeba będzie, przeżyją jeszcze jedno...

Żyd dużo może, on dużo wytrzyma – nie zdawał sobie nawet sprawy, że przytoczył słowa wypowiedziane przez Baumana w rozmowie z leśniczym. Czy powtórzenie ich miało być jakimś proroczym osądem, ile Żydzi są w stanie wycierpieć i co ich czeka?
- My, tutaj w Polsce mamy dużo wolności, dużo więcej niż gdzie indziej moglibyśmy mieć, więc po co mamy ją opuszczać, skoro nikt nas nie wygania. A też myślę sobie, że Polacy tak szybko do siebie Hitlera nie wpuszczą, bo oni przecież jak nikt inny, kochają swój kraj. Mają też sprzymierzeńców, którzy im na pewno pomogą. Chociaż z tym to różnie może być. Ale też różnie może być z Hitlerem. Co ja chcę przez to powiedzieć? Ano to, co nie powiedział pan Lewi. Niech każdy robi to, co uzna za stosowne, a ode mnie wszelką pomoc otrzyma. Zwłaszcza taką, gdyby chciał wyjechać. Co ja mogę więcej powiedzieć? Ja nic więcej nie powiem, ja mogę być mądry, ale ja nie jestem prorokiem. Ja swoją mądrość już powiedziałem...

Obecni, jak gdyby przytłoczeni wypowiedzianymi słowami opuścili głowy, tylko Bauman nie spuszczał oczu z Rabina tylko, że teraz jego wzrok zdawał się być jakiś twardszy, zdawał się mówić – taki mądry, to i ja jestem! Ale to ty jesteś Rabinem, ty powinieneś wiedzieć, co twoi Żydzi mają robić!? Co powinni zrobić?
Pod tym wzrokiem Rabin spuścił głowę. Odczytał, co mówiły tamte siwe, starcze oczy które nie jedno widziały, ale cóż mógł im odpowiedzieć? Nic, oprócz tego co powiedział. Wiedział, że to bardzo mało, ale on tak samo jak fabrykant, nie chciał brać odpowiedzialności za rady, które im by dał i które mogły być złe. Wolał nie dawać żadnych rad, wolał pozostać Mądrym Rabinem. Oni nie byli głupcami i widzieli to samo co on, więc niech oni sami według tego coś zrobią. On wie co ma zrobić. On zostanie z tymi, co zostaną. On nic innego zrobić nie może. Gdyby nie został, byłby złym rabinem. A czując, że oni chcą wiedzieć co on zrobi, odezwał się podnosząc głowę.
- Co by nie nastąpiło, ja zostaję do końca – jaki by on nie był. Żyd dużo wytrzyma – dodał Mosiek ciszej – może i więcej niż mu się zdaje...
Wstał od stołu i zdawał się być zmęczony tym, krótkim spotkaniem. Tak jednak nie było, nie był zmęczony, był zawiedziony. Nie tak bowiem wyobrażał sobie całe to konspiracyjne spotkanie i nie to chciał usłyszeć.
Gdy wolno zmierzał ku drzwiom, zatrzymał go głos fabrykanta.
- Panie Bauman, ja chciałbym szczerze porozmawiać, pan przecież się nie spieszy – podszedł do drzwi salonu, wychodzące na taras ogrodu. No, my możemy chwilę porozmawiać na zewnątrz – puścił gościa przodem, potem wziąwszy go jak poprzednio pod rękę, poprowadził w głąb zaniedbanego ogrodu, gdzie stała maleńka altanka. Swoim wyglądem nie pasowała do całości, była bowiem schludna i odmalowana. Prawie ginęła w dziko rosnących krzakach malin i tylko utrzymana ścieżka wskazywała kierunek, gdzie się znajdowała. Lewi nie dbał o ogród, bo nie miał na to czasu. Żona ciągle jęcząca, udając chorobę, nie była mu pomocna ani w domu ani w pomnażaniu majątku. Jeśli już, to raczej w jego trwonieniu na rozrywki. Nie miała w sobie ani trochę żydowskiej chytrości i przedsiębiorczości.
Córki siedziały w Ł... udając, że się uczą, ale miały charakter swojej mamy, bardzo chętnie przepuszczały fabrykanckie pieniądze. A ojciec tłumił swoją zgryzotę z powodu braku syna i posiadania dwóch, hulaszczych córek... Ale właśnie dzisiaj doszedł do wniosku, że miarka się przebrała i że nadszedł czas by zmusić młode łajduszki do oszczędzania. Miał już dość tego, że jego ciężko zarabiane pieniądze, córeczki przeznaczają na utrzymywanie swoich gachów, kupując im coraz droższe prezenty i zmieniając ich niczym przysłowiowe rękawiczki. Czasem z zazdrością patrzył na roztropną Rajkę i gdyby miał syna, tylko ją widziałby za synową.
Gdy zasiedli w wiklinowych fotelach, fabrykant położywszy delikatnie dłoń na kolanie gościa, spojrzał mu w oczy.
- A ty, Bauman, co zamierzasz? - Zapytał, chociaż wydawało mu się, że zna odpowiedź. - Przecież tobie grozi to samo co nam, co wszystkim Żydom. Jeśli nie daj Bóg, Hitler wejdzie do Polski, ty nie będziesz wyjątkiem. On ani ciebie ani Rajki nie oszczędzi, on nie zrobi dla was wyjątku. ... - zamilkł, opuszczając oczy, a Mosiek zatrzymując wzrok gdzieś nad jego głową, milczał.
Myślę, że myśmy zrobili coś bardzo grzesznego, coś bardzo złego, że Bóg się na nas pogniewał, tylko ja nie wiem, co to takiego jest. Ty Lewi, też chyba nie wiesz, my nic wiemy i to jest najgorsze. Najgorsze dlatego, że nie wiemy, za co go przeprosić, za co przebłagać. Ja myślę że Hitler to najgorsze zło, jakie przyjdzie przeżyć Żydom. Dopiero ci, co przeżyją mogą powiedzieć, że Żyd może dużo wytrzymać. Teraz to tylko puste słowa tych, którzy jeszcze nie przeszli cierpień...
- Zamilkł nagle, jakby się bał, że za dużo powiedział, że wcale nie powinien mówić tego. - Chyba już pójdę - powiedział cicho i bez przekonania. - Rajka miała zrobić kolację...
- A daj ty spokój z tą Rajką! - W głosie fabrykanta zabrzmiało zniecierpliwienie. - Ty mi jeszcze nie powiedział, co ty chcesz zrobić? Ty nie musiałeś tego mówić tam, ale możesz powiedzieć mnie. Przecież jesteśmy wspólnikami, masz u mnie dużo, bardzo dużo. Czy chociaż wiesz ile? A złota, wiesz ile masz złota? Oj, ty jesteś taki mądry, mądrzejszy nawet od naczelnego rabina, ale nie wiesz, jakie masz

zasoby? Bo ty mi wierzysz. Ale, po co ja cię pytam, co ty zrobisz, kiedy nic nie możesz zrobić beze mnie – wstał, opierając łokieć o listewkę okna.
- Nu, ja właśnie...
- Co właśnie - Lewi odwrócił się od okna - co właśnie? - patrzył na lekko wystraszonego wspólnika. Ty właściwie nie masz nic, bo mi wierzyłeś na słowo. Czy ty masz jakieś kwity, jakieś moje pisemko. Nie, ty nie masz nic. Chyba, że ja ci dam. Dam tyle, ile zechcę. Ty tak samo dobrze wiesz, że moje córki puszczają pieniądze niczym wodę z kranu, a skąd mam tyle wziąć. Tylko z tego, co ty mi zawierzył - usiadł na powrót, patrząc na osłupiałego Mośka.
Potem nagle wybuchnął śmiechem i zarzucając mu prawą rękę za szyję, mocno potrząsnął, lewą mocno waląc w kolano:
- Oj, Bauman, tyś już całkiem nagle zgłupiał. Tyś to pomyślał, że ja cię oszukam, że ja coś takiego mógłbym zrobić!? Ty nie masz żadnych moich kwitów, ale masz każdy grosz z procentem, co włożyłeś w interes. - Jak ty się mogłeś bać? Już po raz drugi w ciągu tego dnia Mosiek z ciężkim westchnieniem wypuścił z siebie powietrze. Tylko to westchnienie było westchnieniem ulgi. W tej jednej chwili poczuł się o parę lat młodszy, bo właśnie jeszcze przed chwilą pomyślał, że los bardzo go każe za jego łatwowierność. Że po tylu latach pracy został bankrutem - jego białe oczy z wielką wdzięcznością patrzyły na fabrykanta, bo przecież tu wcale nie chodziło o niego, tu chodziło o Rajkę. On oddałby te wszystkie pieniądze bez reszty, by tylko ją uratować z nadchodzącej pożogi. Teraz już mógł być spokojny. Tylko, że ten żart fabrykanta o mało nie przyprawił go był o zawał...
- Dziękuję - powiedział prawie szeptem. - Ja naprawdę uwierzył, że już ze mną koniec. Ale ty zamiast narzekać na córki, po prostu im zakręć ten kran. Ściągnij je do domu, postaw za krosnami i naucz pracy. Wtedy będą prawdziwymi córkami prawdziwego fabrykanta. Ty powinien już dawno to zrobić - zamilkł nagle, bo uświadomił sobie, że znowu chyba za dużo powiedział, a na dodatek już nie pamiętał od jak dawna nie mówił do Lewego po imieniu lub po prostu na Ty. Szybko też zmienił temat.
- Co ja zamierzam zrobić, jeszcze, nie wiem. Ale teraz, kiedy się wzbogaciłem nie tylko w pieniądze, ale też o prawdziwego przyjaciela, jestem podwójnie bogaty.
Gdy wstali, mocno uściskał wspólnika, a że był o głowę od tamtego wyższy, wyglądało to tak, jakby ojciec synowi dawał swoje błogosławieństwo.
- Nu, ja nie wiem, co zrobię mówił dalej, trzymając fabrykanta, naprawdę nie wiem. Wiem tylko jedno, że coś musimy zrobić dla naszych dzieci. Możemy umrzeć, ale one, one jeszcze za młode - odsunął go od siebie, jakby nagle zawstydził się swojej słabości i teraz on podszedł do okna, które składało się z małych, pociętych kwadracików. - Czy nasze życie to już taki zmierzch, jak ten zachodzący dzień, czy może przedłużymy go o kilka następnych. Ale czy wtedy nie będą tak szare, jak zapadający dzień, który się właśnie kończy? - odwrócił się do Lewiego, a jego smutną twarz rozjaśnił nikły uśmiech. Rabi dobrze powiedział, że nie jesteśmy prorokami. Gdyby tak było, też byłoby źle. Nie chcielibyśmy pogodzić się z tym, co miało nadejść. - Jego uśmiech się powiększył, ale był to uśmiech smutku, że źle, że nie wiedzą, co ich czeka i tak samo byłoby źle, gdyby wiedzieli. Chyba jednak lepiej nie wiedzieć.
- Jeśli ty byś chciał swoje pieniądze, ty mi powiedz wcześniej. Ja takiej sumy w domu nie mam, ja mam wszystko w banku. By zatracić oficjalność rozmowy, tak jak za dawnych czasów, zaczął mówić per ty.
- Ja bym się cieszył i żona by się cieszyła, gdyby ty został u nas na kolacji. Ja nawet myślę, że i Rabi by się ucieszył, gdyby ty został. On cię bardzo lubi i on chyba zostanie do jutra. Moglibyśmy jeszcze coś niecoś poradzić. Nu, daj ty się namówić pociągnął gościa za ramię - ty swoją kolację zjesz na śniadanie.

Rajka czekając na ojca, siedziała w mrocznym pokoju, nie zapalając światła marzyła. Dziś, gdy Eryk dogonił ją, kiedy szła na cmentarz i potem, gdy była już przy bramie, szybko, tak jak wiosną w lesie, przyciągnął ją i pocałował, była taka wtedy szczęśliwa. Potem jeszcze szczęśliwsza, gdy zapytał czy będzie na niego czekała, gdyby musiał wyjechać. Odparła, że tak i lepiej, żeby nie wyjechał, bo tate wyda ją za innego. Nie chciała powiedzieć za kogo, chodź się tego domyślał. Teraz przyznawała, że młody leśniczy jest może bardziej przystojny, ale Eryk jest taki męski, taki muskularny, silny i tak gorąco, namiętnie całuje. Najpierw jej marzenia tonęły w mocnym uścisku Eryka, by zginąć w ramionach przystojnego Roberta, z którym tańczyła na jakimś wymyślonym balu. Jeden zajął połowę serduszka, drugi drugą i biedna dziewczyna nie za bardzo wiedziała, którego chciałaby za męża. Gdy jednak jej marzenia zaczęły być bardziej śmiałe, Eryk z drugiej połowy Roberta ukradł kawałek, a po jakimś czasie Robert gniótł się już w jego maleńkiej połowie. Przynajmniej na razie nie miał szans. Jeśli nie była to jeszcze eksmisja w połowie części przez Roberta, to biedny chłopak nie wiedząc nawet o tym, był w miłosnych opałach w konfrontacji z Erykiem...
Duży zegar stojący na szafie wybił dziesiątą wieczorem, raptownie wybudził ją z marzeń...
Zaniepokoiła się nieobecnością ojca. Kolacja, która przezornie, wstawiła do piekarnika, dawno już wystygła, bo i piec był zimny. Zamknęła okno,

chcąc zapalić światło gdy w sieni rozległo się szuranie, a potem czyjaś dłoń po omacku szukała klamki To nie mógł być nikt iny, jak tylko jej tate i w tej samej chwili, gdy rdzawa żarówka rozjaśniła mrok panujący w mieszkaniu, on stanął w jego drzwiach. Jej słaby promień natrętnie usiadł na jego szarej twarzy, czyniąc ją tak samo rdzawą jak padające światło. W tym świetle wydawał się jeszcze starszy, jeszcze bardziej zniedołężniały i Rajka ze strachem pomyślała, że on niedługo umrze. A on dla niej był jeszcze wciąż młody, bo miał dopiero siedemdziesiąt lat i ona chciała, by on umarł wtedy, gdy ona już nie będzie żyła. Bo chociaż nie pokazywała tego po sobie, to śmierć matki była dla niej ciosem, ponieważ wydawało się jej, że widzi, jak ta śmierć wynosi matkę z mieszkania. I chociaż ją dalej widziała leżącą bez ruchu, z nikłym uśmiechem na ustach, nie chciała, by ktoś drugi raz zostawiał ją samą. Nie mogła zrozumieć jak mamele mogła odejść z tym uśmiechem szczęśliwości na twarzy, skoro zastawiła swojego męża i córkę. Jak w takiej chwili można się śmiać, skoro już może nigdy nie zobaczy się swoich najbliższych?! Tate mówił, że oni się jeszcze zobaczą, tam na górze, ale ona za bardzo w to nie wierzyła. Często, jako małe jeszcze dziecko, słyszała, że wszyscy się tam zobaczą, coś się w niej buntowało. Nie mogła sobie wyobrazić, że przez te wieki umarło miliony ludzi, to jak w takiej masie zdołają się odnaleźć: ona, mame, tate i mała siostrzyczka, która umarła, gdy jej jeszcze nie było na świecie. Dalej się to w niej buntowało i nie wierzyła w te słowa, ilekroć ktoś umierał, w niej pozostało dziecinne przekonanie, że jeśli się raz zgubi ziarnko piasku na brzegu rzeki, to nie ma możliwości odnalezienia go. Podobnie jest z najbliższymi, którzy odeszli. Oni też są już raz zagubionymi ziarnkami piasku i nic ma możliwości ich odnalezienia. Nigdy nie mówiła tego głośno, ba, nie chciała się narazić na gniew ojca, ale też nie przeszkadzało jej mieć na ten temat swoje ciche zdania. Skoro mówią z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, to jak w tym prochu szukać mamy czy siostrzyczki. Proch to proch i trzeba by następnych wieków, by się odnaleźć, jeśli przyjąć za prawdę to, co mówi tate. On jest bardzo mądry, ale w tej sprawie to on chyba przesadził. Tak czy inaczej wolała odejść pierwsza, niż znów patrzeć, jak odchodzi ktoś bliski, ktoś, kogo się bardzo kocha.
- Tate, ty chcesz bym zrobiła kolację, a ty na nią nie przychodzisz - odezwała się z wyrzutem otrząsając się z wizji śmierci ojca.
- No, czemu ty nie przyszedłeś - udawała bardzo zadąsaną, ale on już wiedział, że to tylko gra, że ona chce, by ją chociaż pogłaskać, tak całkiem, jak głaszcze się małe dzieci i on to zrobił.
- Do pana Lewiego przyjechał naczelny Rabi i on chciał troszkę pogadać, nie mogłem być niegrzeczny.
- A czy Rabi był grzeczny zatrzymując ciebie, czy on by chciał jeść zimną kolację? On by nie jadł zimnej kolacji i jeszcze byłby zły, że ona jest zimna, ja też jestem zła, że od nowa na wieczór muszę palić ogień, bo zimna kolacja, jest jak zimna kobieta w łóżku.
- Oj, Rajka, ty bój się Boga, co ty mówisz? Co ty zrobiła się taka mądra i skąd ty wiesz, jak smakuje zimna kobieta w łóżku? Ja cię naprawdę nie poznaję. Czy to nie aby młodego aptekarza szkoła? Czy może on już cię uczył, jaką być w łóżku? - spojrzał na córkę srogo i pytająco.
- Oj, tate. Zaraz tam uczył - Rajka zarumieniła się pod czujnym okiem ojca. - Ja go bardzo lubię i on mnie, ale my się niczego nie uczyli. Ani on mnie, ani ja jego.
- To będzie dobrze, jeśli ty go tak nie będzie lubiła. Złe czasy nadchodzą, a on to trochę Polak, a trochę Niemiec. Ale chyba więcej Niemiec, skoro chce wracać z ojcem tam, gdzie Hitler krzyczy: „Niemcy, Niemcy ponad wszystko"! Przecież oni są stąd i tutaj się urodzili, po co więc chcą wracać tam, do wylęgarni zła? Ja ich nie rozumiem i lepiej będzie, jak ty teraz będziesz za nim płakała, niż wtedy, gdy on tutaj wróci w mundurze jakiegoś oficera. Ty lepiej o nim zapomnij! - podszedł do stołu i siadając na krześle, posadził ją sobie na kolanach, jak robił to często, gdy była jeszcze malutka.
Zawsze bardziej garnęła się do niego na kolana, niż do matki i by jej wynagrodzić jej brak, zapragnął jak dawniej, chociaż troszkę potrzymać na słabych już kolanach. Chwilę milczał, bo szukał słów, które by jej uświadomiły zło czyhające na nią w tym lubieniu kogoś, kto już jest po innej stronie i chce, by za nim czekano. Tylko, co on z sobą przyniesie? Jeśli to, co wykrzykuje ich wielki Führer, to już lepiej, żeby ona już teraz umarła, żeby tego nie doczekała. Jak jej potulny jeszcze baranek, nagle, przemieni się w wilka. Tylko jak jej to wytłumaczyć, skoro ona i tak pomyśli, że jej tate czegoś jej zabrania, czegoś, co ona być może już kocha.
- Tate ja myślę, że on nie jest taki zły, on jest inny niż ty myślisz - przerwała jego tok myśli. - On tylko wyjeżdża, bo musi. Bo tak chce jego ojciec. Aj, on wcale go nie musi słuchać, on jest dorosły, on może robić, co chce.
- A czy ty, tate byłbyś zadowolony, gdybym ja robiła to, co chcę, gdybym cię nie słuchała - przerwała mu szybko. - Ty zawsze mówił, że dzieci powinni słuchać rodziców, dlaczego ty teraz mówisz inaczej? Ja teraz tego nie rozumiem. Nu, czy mają to robić, czy nie mają? - patrzyła z uśmiechem na zakłopotanie ojca, bo wiedziała, że go przechytrzyła.
- Ty mi teraz powiedz tak raz na całe życie.

- No, Rajka, ty nie bądź za mądra, ty dobrze wiesz, co ja wiem i co ja ci powiem. On jest już dorosły i on nie musi jechać z ojcem, on nawet powinien go od tego powstrzymywać. Jeśli Hitler chce zatracić swój naród, to przynajmniej niech robi to bez ich udziału. Ja nie wiem, czy jego ojciec, to taki wielki Niemiec, skoro urodził się tutaj, w tym miasteczku i to miasteczko dało mu to, co teraz ma, co mu się tu urodziło. Można kochać swoją prawdziwą ojczyznę, ale nie wolno sprzedawać tej, która przez pół wieku żywiła i nigdy nie wypominała pochodzenia...
- Nu, tate, ja znów nie rozumiem. Jeśli jest tak jak mówisz, to dlaczego Polacy mówią na nas gudłaje, czy to nie jest wypominanie - znów mu przerwała, ale tym razem nie zrobiła tego złośliwie.
Ta rozmowa ją wciągała.
- To nie jest wypominanie naszego pochodzenia. Ja to traktuję jak coś zdrobniałego. Czy my Polaków nie przezywamy? My też mamy swoje za uszami. Ale czy ty kiedy usłyszała, by ktoś w tym miasteczku powiedział ci: - Ty jedź sobie do Izraela, bo jesz nasz chleb, zabierasz nam pracę. Nie, Rajka, tego ci nikt nigdy nie powiedział. Ty nie krzywdź tych, z którymi tyle przeżyłaś. My nie róbmy tego, co robią inni. Myśmy zdobili tu nasz mały Izrael i nikt nam tego nie zabraniał, czy ty to zrozumiesz? Czy kawałek spodni przewróciło ci w głowie i pod majtkami?
Zobaczył, że Rajka zapłonęła niczym słomiany dach po uderzeniu pioruna. - Taty, ty mnie zawstydzasz, ty mówisz bardzo brzydkie rzeczy...
- A czy moja córka nie myśli o brzydkich rzeczach - przerwał jej. - Ile ty razy myślała o brzydkich rzeczach, czy ty powiesz swojemu ojcu. Ty nie powiesz, albo skłamiesz. Więc lepiej ty nie mów nic. A teraz zejdź z moich kolan, bo za chwilę one się złamią i nigdy na nich już nie usiądziesz. A ognia ty nie pal, ja jadłem już u pana Lewiego. No, a teraz chodź, przed snem posiedzimy jeszcze z naszymi sąsiadami. Jest tak ciepło i tak miło - wstał i usiadł nagle z powrotem.
Jakiś nagły ból w okolicy serca przykuł go krzesła. Jednak po chwili wszystko przeszło, a widząc pytające spojrzenie córki, uśmiechnął się.
- Oj, coś mnie bardzo zabolało, o tutaj - wziął jej rękę, pokazując, gdzie go zabolało. - To chyba z powodu tej gorączki, a moje serca już stare. On wiedział, że ono nie tylko jest stare, ale też chore, one mu coraz więcej dokuczało i on to krył, by nie martwić swojej córki. Tylko, że dziś to mu się nie udało i ona zobaczyła, że jej taty jest chory, ale bardzo to kryje.
Gdy usiedli na ławce pod swoim oknem, milczeli wsłuchani w zapadający ciepły wieczór. Każde z nich myślało o czym innym: Mojsze, że załatwił z panem Lewim wszystko, co powinien załatwić, gdyby musiał odejść. Rajka z ogromnym strachem myślała, co pocznie, gdy jej tate zachoruje i ona będzie musiała przy nim chodzić. Czy sobie poradzi? Myśli, że on może umrzeć, ani na chwilkę do siebie nie dopuszczała. Tak stać się nie mogło, bo jej Bóg byłby strasznie dla niej niesprawiedliwy. Nie dawno zabrał jej mame, a teraz tate by chciał za nią iść... Nie, tak stać się nie mogło! Bóg przecież widzi, że ona by tego nie przeżyła, że chyba by ogłupiała jak stara Żydówka pod lasem na końcu miasta. Przecież Bóg wie, że ona go bardzo kocha no, że może czasem zaniedbuje swoje obowiązki względem niego, ale to tylko czasem. Inni robią jeszcze gorzej, a mimo to Bóg ich obdarza szczęściem, daje prawie wszystko, co oni chcą. To chyba Bóg mając ich tyle, zapomina, co komu dał. Myli się. Jednym daje po kilka razy, innych po kilka razy karze. Znów coś się w niej zaczęło buntować przeciw takiej niesprawiedliwości, ale szybko stłumiła to w sobie. Przestraszyła się, że może rozgniewać swojego Boga przeciw sobie i on za karę zabierze jej ojca. A wtedy, co? Musiałaby chyba iść tam, pod las, do starej Żydówki, którą nazywają starą babą i wszyscy się jej boją. Jeszcze bardziej się wystraszyła, że nagle, gdyby to nie był wieczór, poszłaby do bożnicy się modlić. By dodać sobie otuchy włożyła swoją malutką dłoń w starą kościstą rękę ojca. Była bardzo gorąca i lepka od potu. Spojrzał na nią, czego ona w ciemności nie mogła dostrzec i pomyślał: - Oj, byłoby lepiej, gdyby mogli my odejść razem. Mocniej ścisnął jej drobną dłoń, bo tym chciał dodać jej otuchy.
Spora gromadka Żydziątek ganiając się zaczęła niemiłosiernie hałasować, a stary Mosiek pomyślał z rozrzewnieniem, że przecież jeszcze nie tak dawno jego Rajka też tak biegała. W bardzo krótkiej sukience, z pupą ubraną w jaskrawe, kolorowe majteczki, o które często były kłótnie z żoną. Zawsze krzyczał na żonę, że córkę ubiera jak małą ladacznicę, a wtedy ona śmiejąc się mówiła: Jesteś Mosiu głupi. To właśnie już teraz chłopcy powinni zapamiętywać, jaką która ma pupę, by za parę lat wybrać sobie ją za żonę. A ty musiał przyznać, że nasza córka już teraz ma ją zgrabną, okrągłą i kiedyś nie jeden będzie chciał ją chociaż poklepać. Nóżki też ma zgrabne, niczym te aktorki, które pokazują w gazetach. Oj, Mosiu udała ci się ta córa. Nie na próżno ty mnie mordował pół nocy i drugą połowę szeptał do ucha, że będzie chłopak na medal. A Bóg ci dał córę, ale za to jaką. Ty dla niej możesz wybierać nawet wśród wielkich fabrykantów. Za nią żaden się nie zawstydzi, ty się ciesz, co masz...
Tak przekomarzając się z mężem osiągała swoją rację, po której Mosiu mocno przytulał do siebie żonę, całując jej zawsze gorące, wiśniowe usta. Ona też była piękną Żydówką i on też się za nią nie wstydził. Ona była piękna i Rajka jest piękna. Byle mógł ją upilnować, by za wcześnie nie ściągnęła komuś, jak zawsze, jaskrawych majtek...
Choćby takiemu Erykowi - pomyślał. On będzie musiał jej bardziej pilnować, bo ona teraz jest w tak bardzo głupim wieku, że gotowa by

jeszcze chodzić i bez nich.
Plac, na którym bawiły się dzieci, był kiedyś sporym laskiem, po którym teraz zostało zaledwie kilka drzew i sporo drewnianych domków, z drugiej strony łączył się z ulicą. Nie tą, na której stała fabryka, ale tą, która zakręcając szerokim łukiem dochodziła do rynku miasteczka.
Właśnie od tej strony zbliżał się jakiś mężczyzna, którego Rajka poznała pierwsza. Nie dlatego, że miała młodsze oczy, bo to nie go poznały, to poznało jej serce, a jej dłoń drgnęła w dłoni ojca. On to odczuł i odczytał jak odczytać powinien troskliwy tate. Gdy przechodzień był o kilkanaście metrów od nich i on go poznał. To był Eryk i we wnętrzu starego Żyda zapaliła się złość.
- Rajka, ty zaraz idź do mieszkania! - odezwał się głosem nie znoszącym sprzeciwu, takim, którego rzadko używał. - Ty idź do mieszkania i nie wychodź!
Gdy Eryk był zaledwie parę kroków od nich, Rajka posłuszna ojcu, zniknęła w drzwiach sieni...
Tak jak przed chwilą Mosiek, tak teraz chłopak poczuł złość na Żyda. Nie dlatego, że jej kazał odejść, ale dlatego, że on nie wierzy w jego szczere zamiary. Chciał ją zawołać, lecz zrezygnował. Wiedział, że nie zawróci, dlatego, że boi się ojca, ale i dlatego, że jest dobrze wychowana. Może się nawet buntuje w środku przeciw jego nakazom, ale będzie robiła, co jej każe.
- Czy aż tak się pan boi o córkę, że myśli, że w jego obecności coś jej z mojej strony grozi - stanął naprzeciw i chociaż tamten nie mógł widzieć jego wzroku, wiedział, że w oczach są błyskawice złości. O tym świadczył jego głos.
- Nu, a czego ja się mam bać, czego ma się bać Rajka? Pan jesteś na tyle dobrze wychowany, że my nie musimy się niczego bać - uśmiechnął się w ciemność, bo wiedział, że tamten też niczego nie może zobaczyć.
- Czy ja nie mam racji? Ja ją wysłał do domu, bo myślał, że pan mi wszystkiego jeszcze nie powiedział i przyszedł dokończyć.
A jak rozmawia dwoje mężczyzn, tam baby nie potrzeba.
Wiedział, że tamten zgubił swoją pewność siebie, że jego złość się urwała - jak koło zamachowe w starym młynie – które dopiero co naprawili, pochylonym przy rzeczce za miastem, pochylonym ze starości i chyba z tego, że woda zaczęła podmywać grunt, na którym stał. Ale stał, dalej mieląc wszystko, co mu młynarz Żyd wsypał do jego gardzieli.

- Niech pan usiądzie i się nie gniewa na starego Żyda - jeszcze trochę się odwrócił w jego stronę - Czy ja nie mam racji? - Dalej się uśmiechał, po- sunął chociaż miejsca było dość. - Niech pan usiądzie – powtórzył.
- Wieczór tak piękny i ciepły jak tylko może być młoda żona...

- Właśnie pomyślałem, że z tego powodu, przyjdę jeszcze raz, żeby przy panu, prosić Rajkę...
- Cicho młody człowieku - przerwał mu swoim zwyczajem, kładąc rękę na rękę i głaszcząc jedną o drugą.
Robił to zawsze, gdy czuł się zakłopotany lub nie mógł sobie z czymś poradzić. - Nie wystrasz szczęścia, którego jeszcze nie masz całego. Czy ja ci nie mówiłem, że teraz, jeszcze nie pora, że idą złe czasy?
Poczekaj, ty nie rób czegoś, czego byś mógł potem żałować. Ty posłuchaj starego, mądrego Żyda. On już niejedno widział i niejedno przeszedł. Niejedno też wycierpiał. Ale nie wiem czy bym przecierpiał, gdyby mojej córce miała stać się krzywda?
- Ale przecież ja jej nie zrobię...
- Dlaczego ty zawsze mówisz to, o czym nie wiesz? - przerwał mu znowu.
- Ani ty, ani ja nie wiemy, co będzie, nie możemy wiedzieć. Więc lepiej poczekajmy aż czasy będą spokojniejsze. Nu, a tak naprawdę to wy nie jesteście dla siebie stworzeni. Ona jest Żydówką, ty Niemcem. Czy ty myślisz, że twój ojciec ją zaakceptuje? Nie, on tego nie zrobi, on tobie tego nie da zrobić. Czy ty chociaż z nim rozmawiałeś? Nu, ja myślę, że nie!
- Jaki ze mnie Niemiec?! Ja się tutaj urodziłem i tu urodził mój ojciec - teraz chłopak mu przerwał - moja matka jest Polką i więcej w nas Polaków, niż Niemców.
- Może w tobie i twojej matce, ale czy w ojcu, tego ja nie wiem. Ja sobie myślę, że jeśliby i w nim było dużo z Polaka, to on by nie chciał wyjechać, on by został i was nie zostawił! A tak, czy ja wiem... - Chwilę milczał, a gdy się znów odezwał jego głos był ciepły i miękki, niczym ciasto na pączki.
- Ty mnie posłuchaj - Żyd w jednej chwili znalazł rozsądne wyjście, jak mu się przynajmniej zdawało. - Porozmawiasz ze swoim tatą i jeśli ci on da swoje błogosławieństwo to i ja nie będę robił wielkich sprzeciwów.
Zaraz jednak pożałował tego, co powiedział. Bo co będzie, jeśli stary Müller wyjdzie z założenia, że jego syn jest już dorosły i niech robi, co chce? Nagle poczuł się zły na siebie, że nie zastanowił się nad tym, co wydawało mu się zbawieniem, dobrym wyjściem z trudnej sytuacji.
Szybko jednak się uspokoił, bo jeśli stary nagle poczuł w sobie zburzoną krew Niemca, zew, którym wołał go wielki wódz narodu, to on nie pozwoli synowi Niemcowi wziąć Żydówki. To było przecież sprzeczne z tym, co propagował ten ich wielki Hitler. Jest tylko jedna krew, krew aryjska. Każdą inną trzeba upuścić, zlikwidować każdego kto ma inną, bo tylko wtedy mogą istnieć wielkie Niemcy. Tylko wtedy oni mogą zapanować nad światem i inną krew zrobić krwią niewolniczą, pracującą na rzecz tych Wielkich Niemiec.

- Nie – pomyślał - stary Müller na pewno nie pozwoli na ślub syna z Żydówką, o to mógł być całkiem spokojny.
- Panie Bauman, dlaczego pan sądzi, że ja muszę pytać ojca o pozwolenie - chłopak nie dawał za wygraną. - Ja wcale nie muszę pytać. Skończyłem dwadzieścia lat.
- I ty jesteś jeszcze głupi, mimo tego wielkiego wieku. Ja ciebie przepraszam za to, co powiedziałem, ale czy ty myślisz, że ja wydam córkę za kogoś, kto nie otrzymał błogosławieństwa swoich rodziców. Nie, ja jej nie wydam. Ty musisz mieć ich błogosławieństwo i ja muszę słyszeć zgodę Rajki, a ja jej jeszcze nie słyszałem, bo ja ją o to jeszcze nie pytał. Ja dalej myślę, że na to jeszcze nie czas.
- Dobrze - chłopak dał za wygraną. - A jeśli zgodzi się na to Rajka i ja przyjdę z rodzicami to wtedy pan się zgodzi?
- Nu, wtedy ja myślę, że i Pan Bóg się zgodzi. Ale to jeszcze dalekie i ja nie jestem tego całkiem pewien - wybrnął dyplomatycznie.
- O jakim, boskim błogosławieństwie pan mówi, co do kochających ma Bóg...
- Ty strasznie grzeszysz - Mosiek szybko wstał wymachując rękoma. Ty strasznie grzeszysz - udawał bardzo wystraszonego. Ja nie mogę wydać córki za bezbożnika, ty nie mów przy mnie takich rzeczy, bo nic z tego nie będzie – usiadł. - Ty nie bądź w tak gorącej wodzie kąpany. Rajka nie przejdzie na twoją wiarę i ja nie jestem pewien czy ty przejdziesz na naszą! Jak my to wszystko pokonamy, to wtedy zobaczymy. Nu, to my wtedy pomyślimy o ślubie. Ale to wszystko róbmy wtedy o rozważnie... No, a teraz już idź, bo bardzo mi w mojej siwej głowie namieszałeś - wstał, podając mu rękę na dobranoc.
Rajka szybko odbiegła od okna, przy którym słyszała wszystko przez otwarty lufcik. Jeśli odchodzący Eryk był przekonany, że Żyd da mu córką za żonę, Rajka tego wcale nie była tak bardzo pewna. Przeciwnie, z tych wykrętów ojca zrozumiała, że Eryk jej chyba nie dostanie...
Siadając przy stole doznała olśnienia. Tate mówił, że on zawrócił jej nie tylko w głowie, ale i pod majtkami, to może by tak - nim wyjedzie - na krótko te majtki zgubić!? Oj, wtedy tate byłby bardzo zły, ale nie miałby wyjścia i musiał by ją wydać za Eryka. Tylko, czy wtedy tate nie wyśle jej gdzieś daleko, do ciotki, żeby ten wstyd nie obnosiła po miasteczku? I wtedy co, nigdy go nie zobaczy i nikt jej nie zechce, zwłaszcza Robert. Kto weźmie Żydówkę z dzieckiem, nawet ładną Żydówkę? Oj, chyba nikt nie weźmie i lepiej niech ona tych majtek nie gubi. Niech ona nie gubi majtek i zachowa rozum. Przecież tate nie jest taki zły i jak się wszystko uspokoi, wyda ją za Eryka.
Ich dom, w którym mieszkali, był z grubych bali i desek. Na dole mieściły się kuchnia i jeden pokój, na górze były sypialnie. Długi taras miał oparcie z desek rzeźbionych w przemyślne listki. Był tak stary, jak Mosiek, a może jeszcze ciut więcej, ale on dokładnie o tym nie wiedział. Jak tylko zaczął pamiętać i chodzić do szkoły, ten domek już istniał. Chyba istniał od zawsze, a on nigdy nie pytał ani swojej mamy, ani taty, jak długo. Odziedziczył go po ich śmierci i dbał, jak o jakąś relikwię, którą miała zapisana Rajka. Teraz szła do góry po skrzypiących schodach do sypialni, w której spała sama. Gdy tylko umarła mame, tate nie przychodził już na górę spać. Od tego czasu spał na dole, a Rajce źle się spało samej. Spało się źle, bo tak bardzo lubiła podsłuchiwać jak tate kochał mame, jak się oboje kochali. Ona zawsze jak tylko się położyła od razu udawała głęboki sen i nie mogła wprost doczekać się, kiedy oni zaczną to robić. Ich pocałunki, pieszczoty, a potem szybkie sapanie taty, bardzo ją podniecało. Czasem się pociła, nie mogąc się doczekać na miłosny okrzyk mamy, a potem taty. Czasem oni robili to razem, tłumiąc w sobie ów krzyk spełnienia, by czasem nie obudzić, prawie dorosłej córki. Kiedy oni czekali, aż ona zaśnie, wkładała rękę pod kusą piżamę i kładąc ją na mocno owłosionym już miejscu, sama czekała, aż zaczną swój miłosny akt. Czekała drżąca i niecierpliwa, a gdy oni zaczynali, ona także zaczynała swój własny akt. Jej paluszek zaczynał delikatnie wędrować to w dół, to w górę, równo, wraz z oddechem swojego taty. Ani trochę wolniej i ani trochę szybciej. A gdy tate przyspieszał już wiedziała, że zbliża się ów kulminacyjny moment i jej paluszek zagłębiał się w maleńką dziureczkę. Ale nie na tyle głęboko, by ją zabolało, jak to się kiedyś zdarzyło i potem rano musiała skłamać mamie, że coś bardzo strasznego się jej przyśniło i może dlatego, w tym strachu krzyknęła. Wkładała go tylko na tyle, by nie czuć bólu i szybko nim poruszając. To, co zrobiło się jej pierwszy raz, nie umiała określić. Ale było to coś zawstydzająco przyjemnego, że o mało nie krzyknęła razem z tate i tego już na pewno nie umiałaby wytłumaczyć, ani jemu, ani mamie.
Teraz, odkąd spała sama, spała już całkiem nago. Obojętnie czy była to zima czy lato i prawie codziennie robiła to, by doznać owej niewytłumaczalnej rozkoszy. Wyobrażała sobie rodziców, a pomocne też w tym były jej myśli albo o Robercie, albo o Eryku. Ostatnio, już chyba od miesiąca, przywoływała w pamięci pana Lewiego. Jaki on był przystojny, taki męski, a do tego jeszcze bardzo nieszczęśliwy. Jego żona nie chciała z nim sypiać, bo ciągle udawała chorą i Rajka chcąc mu ulżyć w jego i swoich cierpieniach, „oddawała" mu się każdej nocy. A wiedziała to, od córki ich pokojówki, dwunastoletniej Esterki, która nawet kiedyś usłyszała, jak Pan Lewi krzyczał, że jeśli jego żona nie będzie konsumowała z nim małżeństwa, on będzie zmuszony poskarżyć się Rabinowi. A jeszcze lepiej będzie jak nikomu nie będzie się skarżył, tylko w każdy szabas pojedzie sobie do miasta, a tam już zadbają by on, wielki

fabrykant tak rozporkowo był nie cierpiał! Chyba jednak te groźby nie za bardzo skutkowały na jego żonie, bo fabrykant - chcąc nie chcąc - nawet o tym nie wiedząc, przychodził do Rajki, a ona dawała to spełnienie sobie i jemu. Ale po skończonej przyjemności, tylko ona bywała zadowolona. On szybko wychodził nie doznając całkowicie tego, co ona. Ona szybko zasypiała, lekka jak piórko, od razu, o nim zapominając. Jej samolubstwo dotyczyło także i Eryka i Roberta. W tej całej ekstazie uczestniczyła przeważnie ona sama, bo gdy do niej dopuszczała któregoś z nich, coś jej nie wychodziło. Gdzieś się gubiła i cała rozkosz nie wypływała na zewnątrz, część zostawało gdzieś w jej środku i wtedy ona czuła się tak źle, że nie mogła zasnąć. Gdy próbowała zrobić to jeszcze raz, nic z tego jej nie wychodziło. Więc chcąc nie chcąc, stała się bardzo samolubna i gdy dochodziła do owej rozkoszy, szybko któregoś z nich wyrzucała z swego łóżka. Ostatnio jednak zaczęła miewać wstydliwe wyrzuty sumienia ze swoich paluszkowych rozkoszy i z tego, że popełnia jakiś grzech. Szybko się jednak rozgrzeszała. Dochodziła do wniosku, że skoro w świecie starszych taka rozkosz nie jest grzechem, to dlaczego ona, która skończyła swoje szesnaście lat ma z niej rezygnować. Niektóre jej rówieśniczki w tym wieku, powychodziły za mąż. No, może nie tak dokładnie, ale coś koło tego.
Dziś, jak zawsze naga, wsunęła się pod pierzynę. Tylko, że przedtem, będąc już całkiem naga, z lubością oglądała swoje ciało w dużym lustrze, umieszczonym nad toaletką. Nie musiała się bać, że ktoś ją podejrzy, bo okno od strony ulicy zasłaniała zasłona i firanka, a drugie wychodziło na plac.
Nikomu z podwórkowych podlotków nie przyszłoby do głowy, by wejść na któreś z drzew i tak jak ona z lubością oglądać jej młode, jędrne ciało. Stwierdziwszy, że jest zgrabna i ładna, zgasiła światło. Chęć rozkoszy była tak natrętna, że wolała to drugie, niż ciągłe potwierdzenie tego, o czym już wiedziała, gdy tylko zaczęła chodzić, bo mama ciągle powtarzała, że mają bardzo piękną córkę. Tę piękność Teraz, gdy jej dłoń delikatnie dotykała, wędrując po kędzierzawych włoskach, ulegała mrówkom na swoim ciele, które po chwili doprowadzały ją do drżenia. By nie przedłużać swojej męczarni, szybko zrobiła to, co robiła już z rutyną ogarniętego przez nią nawyku. Gdy po chwili cichutki jęk owej rozkoszy uleciał w powietrze razem z marzeniami, jej ciało przedtem napięte jak struna, teraz zwiotczało. Jeszcze chwilkę trwała, potem z lubością, jak stara kotka podwórkowa, przeciągała się z rozkoszą i wtulając w poduszkę czarne jak heban włosy, za chwilę zasnęła. Tylko, że jej sen przemienił się w wizję drugiego świata, w który ona, chociaż religijnie wychowywana, nie za bardzo wierzyła. Może właśnie dlatego się jej mogło to przyśnić, by swoje wątpliwości mogła zrewidować do poziomu wiary, że ON naprawdę istnieje! Pierwszą wizją jej snu było niebo. Chodziła po nim w obłokach, unoszącej się mgły, po jakichś rajskich ogrodach z ciżbą ludzi. Zajęci chyba swoimi tylko myślami chodzili, rozglądając się dookoła. Ale wszyscy byli ogromną rzeszą niemych... Mijali się, przyglądając sobie, ale nikt się do nikogo nie odzywał. Zaczęło ją ta fascynować, ale też trochę niepokoić. Gdy zobaczyła obok siebie swoją rówieśniczkę, którą dotknęła, by tamta się zatrzymała, była zdziwiona i troszkę przestraszona, bo choć gotowa była przysiąc, że tamtą na pewno dotknęła, nie czuła tego dotyku i chyba tamta też nie. Nie zatrzymała się, chociaż jak się jej wydawało, spoglądając na nią, na jej bladej twarzy pojawił się uśmiech. Ale był zbyt krótki, by mogła być pewna, że go naprawdę widziała. Szła więc dalej, dając się ponieść temu cichemu pochodowi, chociaż po chwili uświadomiła sobie, że to nie żaden pochód, bo każdy idzie, gdzie chce, lub po prostu nagle znika z jej oczu, a w jego miejsce pojawia się ktoś inny, kogo jeszcze nie widziała. Nagle, uświadomiła sobie, że miała rację, że jeśli to jest ten inny, drugi świat, to jak w tej ciżbie, w tym tłumie ludzi, znaleźć swoją mame czy maleńką siostrzyczkę, którą nawet nigdy wcześniej nie widziała. Jak znaleźć, gdy, jedni znikają, a w ich miejsce pojawiają się inni, tak samo zamyśleni, prawie tak samo unoszący się, jak owe obłoki, po których stąpali. Zaczęło się jej wydawać to całkiem groteskowe, śmieszne samo w sobie. To wszystko podobne było do lekkiego puchu, który tylko przybierał ludzkie rysy, lub coś całkiem podobnego do ludzi. Ale dała się unosić temu czemuś, ogarnięta ciekawością tego, co dalej się stanie. Gdzie dojdzie, kto ją sprowadzi z powrotem na dół. Bo przecież musi tam wrócić, bo przecież żyje, pamięta, jak kładła się spać. Jak szukała swojej grzesznej rozkoszy. Musi więc tam wrócić do żyjących, skoro sama jest żyjąca i nie wiedzieć czemu się tutaj znalazła. Nagle gdzieś w tym tłumie dostrzegła znajomą twarz i po chwili była pewna, że to praczka, która mieszkała zaraz za fabryką, a umarła z miesiąc temu. Krzyknęła na nią, ale choć słyszała swój głos, nikt inny z tych, co ją otaczali, nawet się nie obejrzał na to wołanie. A więc nie dość, że nikt tutaj nie mówi, to jeszcze na dodatek nikt jej nie słyszy.
To po co ona pragnie znaleźć mame i swoją siostrzyczkę. jak oni jej nie usłyszą, nie podejdą. Zrobiło się jej smutno, że ten inny świat to naprawdę świat umarłych na którym wszyscy się nie mogą porozumieć, że się nawet nie widzą. Jeśli ma tak wyglądać ten raj, o którym mówił Rabin, to ona nie chce w nim być, ona woli jakiś inny. Zamyślona nad tym, co widzi nie zauważyła, że praczka stoi przy niej i teraz była tego pewna, uśmiecha się. Po chwili zauważyła, że ten uśmiech jest jakiś przynaglający. Dojrzała wyciągniętą do niej rękę. Włożyła swoją dłoń w dłoń tamtej, ale nie czuła żadnego dotyku. Nic. Jakby po prostu trzymała

w dłoni fruwającą dookoła mgłę. Mimo to czuła, że ją prowadzono, tylko jak długo, nie wiedziała. Gdy stanęli, zauważyła, że owa mgła gdzieś zanika. Powoli, bardzo powoli, ale znika, a ona już sama stoi przed jakąś zasłoną z cienkiego, nieprzezroczystego materiału. Falował delikatnie, jak pieszczony przez wiatr, którego ona wcale nie czuła, ale była zafascynowana maleńkimi zmarszczkami, które, układały się na materiale. Były niczym miniaturowe fale na ogromnym oceanie, tak maleńkie, że prawie niewidoczne. Nawet nie wiedziała, kiedy i jak, to falowanie wciągnęło ją do swojego wnętrza i znalazła się po drugiej stronie tej zasłonki. Jakże tu było inaczej, jak odmiennie. Niesamowita jasność, jasność, która nie oślepiała, która pozwalała widzieć wszystko, całe otaczająca piękno rajskiego ogrodu. Był to ogród, którego nie można sobie wyobrazić nie widząc go, bo mimo całej swojej wielkość wprost niewyobrażalnej, wszystko się widziało i słyszało. Ona też słyszała. Słyszała piękny śpiew ptaków ukrytych gdzieś w gałązkach przepięknych drzew, szum potoczków spadających w dół po maleńkich skałach...
Słyszała szum wszystkiego, co tutaj żyło, co ją otaczało, słyszała i widziała. Góry doliny, rzeki i jeziora. Morza i oceany, wszystko to, co jest w jej świecie. Tylko, że tam tego nie mogła zobaczyć, ogarnąć wzrokiem wszystkiego na raz. Tutaj tak, tu było to możliwe. A na dodatek, pośród tego piękna, tuż przed nią, stała jej mamy, a obok niej jej mała siostrzyczka, tak bardzo do niej podobna. Obie otoczone aureolą jakiejś poświaty, piękne i uśmiechnięte.
- Nu, Rajka, tobie Bóg na moje prośby pozwolił przyjść do nas, żeby ty uwierzyła, że istnieje drugi świat, żeby ty nie była takim niedowiarkiem! Bóg też pozwolił dlatego, żeby ja tobie powiedziała, żeby ty spokojnie kładła się spać, żeby ty nie swawoliła swoim paluszkiem. Ty jeszcze jesteś młoda i ty musisz jeszcze poczekać! - Spostrzegła, że na ostatnie słowa ich mamy, starsza siostrzyczka, szelmowsko się uśmiecha, nie bardzo się przejmując karcącym spojrzeniem.
- A więc nie jest tu aż tak źle, skoro moja siostra chyba też sobie swawoli. Widać to w jej oczach. Przecież od jej śmierci tak długo upłynęło i ona musi być o wiele, wiele starsza, chociaż ani trochę po niej tego nie widać. Ale tutaj widocznie zostaje się takim, jakim się przychodzi, a potem się dojrzewa.
Chciała wziąć siostrzyczkę na stronę i zapytać czy ma swojego chłopaka, al wzrok mamy wciąż był srogi i karcący. Przemogła się postanawiając rozmowę z siostrzyczką odłożyć na później.
- Mame, ty mi powiedz, dlaczego ty odeszłaś tak nagle?...

Matka uśmiechnęła się, a jej uśmiech i głos były tak anielskie. Tak sobie pomyślała bo przecież nigdy nie widziała anielskiego uśmiechu, ani też anielskiego głosu.
- Oj, córko, jak tyś jeszcze, niemądra, chociaż nie zupełnie tak we wszystkim, Pan Bóg tak chciał i tak musiało się stać. Wszystko od niego przychodzi.
- Mame, to dlaczego ty mówisz, że ja grzeszę, skoro Pan Bóg to widzi i nic mi nie mówi, a tylko ty mnie karcisz - jej bunt był niepoprawny, nawet tutaj.
- Bo ty powinnaś odróżniać zło od dobrego, na to Pan Bóg dał ci rozum. A ty go obrażasz grzechami.
- Mame, a jaki to grzech skoro ja nie robię tego ani z Robertem ani z Erykiem. To chyba wtedy byłby to grzech!?
Za nic nie mogła ujarzmić swojego upartego buntu, on był od niej silniejszy nie miała na niego żadnej rady.
- Rajka, ja ci mogę tylko tyle powiedzieć, że jeśli dalej taką będziesz, to tutaj się nie dostaniesz i pójdziesz do innego świata, dużo gorszego.
A przecież ty byś chciała być ze swoją mame?
Chciała powiedzieć, że nie jest tego taka pewna, bo choć matkę kochała, za bardzo za nią nie przepadała, a co gorsza nie znała tego przyczyny. A z drugiej strony, jeśli ma przyjść tutaj i nie mieć swoich żadnych przyjemności, jakich w myślach nie wyszczególniła, to już lepiej być gdzieś indziej. Nie powiedziała jednak nic, bo nie chciała, by mame zbyt nie krzyczała i zamąciła tego piękna, błogiej, rajskiej ciszy. Siostrzyczka jednak chyba odczytała jej myśli, bo znów filuternie się uśmiechając, odezwała się tym samym anielskim głosem, co mame.
- Rajka, ty z góry nie zakładaj jak jest, ani tam w dole, ani tutaj. Oj, wszędzie jest dobrze, jeśli wiesz jak to robić. Trzeba umieć się znajdywać i tutaj i tam. Matka uznała chyba, że nie poradzi sobie z siostrami żadnym upominaniem, udała, że nie słyszy to, co powiedziała ta starsza.
- Ja nie pytam o tate, bo ja wiem jak on się o ciebie martwi, ty o niego dbaj, bo on jest bardzo chory.
Chciała jeszcze coś dodać, ale umilkła wystraszona, że za dużo powiedziała. Dotknęła tylko Rajki głowy, a ona poczuła ciepło, które przeszło, przez jej ciało.
- Musisz już iść - powiedziała cicho a Rajka wyczuła smutek w jej głosie. Musisz już iść - powtórzyła, tobie jeszcze nie czas tutaj, ale dużo ty... nie dokończyła biorąc za rękę jej siostrzyczkę. - Musimy już iść i ty też musisz odejść. Idź już Rajka, idź! - Powoli oddalały się od niej, aż zniknęły jej z oczu. A ona na próżno rozglądała się dookoła...
Widziała całe poprzednie piękno, ale w tym pięknie nigdzie nie dostrzegła ani mamy, ani siostrzyczki. Teraz jej zrobiło się strasznie

smutno, teraz chciałaby być z nimi. Nawet wtedy, gdyby nie mogła robić tego, co dotychczas, swawolić paluszkiem i brzydkimi myślami. Wyrzekłaby się wszystkiego, byle by być z nimi.

Tutaj było tak przepięknie. Ale mame powiedziała, że jej jeszcze nie czas tutaj. W nagłej rozpaczy drugiego rozstania i wielkiego bólu zaczęła krzyczeć. Krzyczeć, aby nie odchodziły, by jeszcze zostały, bo przecież ona ma do nich tyle pytań.

Ten krzyk wypełnił sypialnię, bezgłośnie odbijając się od ścian pokrytych tapetą w wielkie czerwone róże i tak samo bezgłośnie, miękko opadł na pierzynę i jej dłonie na niej zaciśnięte. Usiadła na łóżku drżąca i półprzytomna, wpatrzona w ciszę, którą noc ułożyła do snu. Gdy oprzytomniała jej oczy wpatrzone były w okno wychodzące na plac, za którym królowała tylko czerń nocy, chyba trochę zła, że ktoś przerywa spokój przeznaczony do snu i że ktoś miał tyle odwagi, by ten spokój zakłócić. Dłuższą chwilę nie wiedziała gdzie jest, co się z nią dzieje, a stopniowo, gdy wracała jej świadomość, jej mózg odtworzył taśmę, na której nagrał sen, w którym odwiedziła Raj, spotkała swoją mamę i siostrzyczkę, którą zobaczyła po raz pierwszy. W tym obudzeniu czaił się strach, którego nie mogła sobie wytłumaczyć, ale był w niej, tkwił i czekał na chwilę, by wyjść na zewnątrz, otoczyć ją całą. Nie mogła sobie wytłumaczyć skąd się w niej wziął, czego dotyczył i czego się boi. Czy samotności w środku ciemnej nocy, w której królują złe duchy i demony, o których tyle naopowiadała jej mame, czy po prostu był to tylko strach przestrogi, który brzmiał w ustach mamy, by przestała swawolić w swych wieczornych igraszkach sama z sobą. Na powrót opadła na poduszkę, tylko że o zaśnięciu nie mogło być mowy. Jak przedtem chciała być z nimi, zostać tam, tak teraz bała się zamknąć oczy, by sen nie powrócił. Bo, że był to tylko sen, nie musiała siebie przekonywać. Teraz, przewracając się z boku na bok, rozpamiętywała go w każdym szczególe, by znaleźć coś, co jeszcze mame chciałaby jej przekazać. Nad ranem, gdy już zaczynało świtać, przetłumaczyła sobie, że nic takiego nie było. Bo ona, by nie powiedzieć za dużo, szybko odeszła z siostrzyczką. Chyba nie wolno jej było nic więcej powiedzieć. To, co powiedziała jej, Rajce, powinno wystarczyć. Przecież mame jej powiedziała coś takiego, zastanowiła się, nie mogąc przypomnieć sobie jej słów, chyba coś takiego przypomniała sobie nagle, jak gdyby podpowiedź nadeszła tam z góry:

... Pan Bóg na to dał ci rozum, byś mogła odróżnić zło od dobrego. No tak, tylko że Rajka, wszystko zło tłumaczyła na swój użytek i wtedy ono przestawało istnieć. A jeśli nawet nie całkowicie, to było takie maleńkie, że prawie nic nieznaczące.

Wreszcie zmęczona rozmyślaniem o tym, co grzeszne, a co nie, zasnęła. Gładziły ją ciepłe promienie słońca, uparcie zaglądające przez zasłoniętą firankę, która równie uparcie wchłaniała je w siebie i tylko to, co nie mogła już zmieścić, przepuszczała do mieszkania. Właśnie te ciepłe, błyszczące resztki, zmusiły Rajkę do otworzenia oczu, by po odsłonięciu zasłony prawie zapomnieć o sennych majakach. Piękny, słoneczny dzień, bez jednej chmurki na niebie, bez najmniejszego podmuchu wiatru rozbudził w niej radość młodzieńczego życia. W tak piękny, letni poranek nie sposób myśleć o niczym innym, jak o czymś radosnym, o czymś co napełnia człowieka lekkością i pełnią szczęścia. Gdy już ubrana i rozpromieniona zeszła na dół, by przygotować śniadanie, ono już na nią czekało. Jej kochany tate, tylko czekał, by dziś on mógł ją obsłużyć żeby była bardziej radosna i jeszcze bardziej szczęśliwa, że to ktoś o nią zadbał. Jej dziewczęca wyobraźnia podsunęła jej obraz Eryka. Patrząc na ojca krzątającego się przy piecu, widziała jego. Widziała z jaką miłością i przejęciem jej usługuje, z jaką miłością patrzy na jej pół nagie ciało, okryte tylko jakąś przezroczystą materią. Połyka to wszystko zgłodniałymi od pieszczot oczyma...

- Rajka, ty się obudź! - głos ojca wyrwał ją raptownie z przyjemnych marzeń tak brutalnie, jak brutalnie w jej śnie odeszła mame.

- Tate, ja wcale nie śpię, ja tylko patrzę jak ty ładnie wyglądasz przy tym piecu. I ja ci chciałam powiedzieć, że ty dostałeś pozdrowienia od mamy. Ona cię bardzo mocno pozdrawia i ściska, i ona mi mówiła, że bardzo za tobą tęskni, a ja mam bardzo o ciebie dbać, bo ty jesteś bardzo chory. Tate, czy ty naprawdę jest bardzo chory? - patrzyła pytająco na zdziwionego ojca, który podszedł do niej, kładąc dłoń na jej czoło.

- Rajka, ja sobie myślę, że to ty jesteś bardzo chora, chodź ty czoło masz zimne. Co też ci przyszło do głowy, że ja mam być chory? Aj, a nawet bardzo chory. Co tobie strzeliło do tej małej głowy? A może w niej coś się stało i jest coś nie po kolei... Bo co ty bredzisz o swojej mame, przecież ona już nie żyje, czy ty o tym zapomniałaś Rajka, co tobie jest, ty szybko mi powiedz, żebym ja wiedział, co mam z tobą zrobić... Może pójdziemy do...

- Oj, tate, my nigdzie nie pójdziemy, ty tylko spokojnie usiądź i posłuchaj wszystkiego, co ja tobie chcę powiedzieć. Ty wtedy zrozumiesz, że mnie nic nie jest.

Stary Żyd usiadł na przeciw córki, dalej niespokojny, poprawiając jarmułkę, jakby od tego zależało, co ona chciała mu powiedzieć. Dalej miał obawy, że jej coś dolega. - Nie daj Boże, żeby to samo, co starej babie spod lasu - pomyślał ze strachem, bo byłby pośmiewiskiem na ustach wszystkich dzieciaków z okolicy i musiałby czym prędzej wyjeżdżać. A on nie za bardzo tego chciał.

Gdy jednak córka skończyła opowiadać swój dziwny sen, odetchnął z ulgą. Był to dziwny sen, a on w sny, przynajmniej trochę, wierzył. Kiedy jednak Rajka zapytała go dlaczego jej nie powiedział, że jest bardzo chory, ofuknął ją zły.
- Czy ty gdzieś widzisz u mnie chorobę? - wstał szybko, chodząc po mieszkaniu, jak gdyby chciał jej pokazać, jaki to jeszcze sprawny. - Nu, ty mi pokaż, gdzie ty u mnie widzisz tą chorobę. Ty albo musiałaś się przesłyszeć, albo twojej mame, po tamtej stronie, przewróciło się w głowie. Może od tej jasności, jaka tam panuje, jeśli ty mnie nie kłamiesz, jeśli ty tate mówisz prawdę.
- Oj, tate, ja nie sądzę, żeby akurat wtedy, kiedy ja tam byłam, nagle wzeszło słońce. Ja myślę, że tam zawsze jest tak jasno. Tate, przecież to wyglądało na raj, a jak w raju może być ciemno. W raju nie może być ciemno, bo wtedy to by nie był raj, to by było piekło, a ja tam żadnych ogni nie widziała. To musiał być jednak raj.
- Jak mame jeszcze raz załatwi mi odwiedziny, to ja jej zapytam, czy to jest raj czy coś innego. Ale tate, to na pewno raj, bo przecież moja siostrzyczka umarła tak czysta, ona przecież nie miała na sobie żadnego grzechu, więc jak by mogła się dostać do piekła? Tate, to był na pewno raj - siebie już przekonała, tylko nie była pewna czy przekonała swojego, upartego ojca.
- Nu, ty na pewno masz rację, ty jesteś mądra niczym Rabin, czy ja ci to już kiedyś mówiłem? Ty jednak lepiej nie bądź za mądra - popatrzył na córkę badawczo, a jego brwi uniosły się tak wysoko, że Rajka wystraszyła się, że jego duże, siwe oczy wpadną do mlecznej zupy. Jakoś nie wpadły i ona odetchnęła z ulgą. Gdyby wpadły, byłyby chyba jeszcze bielsze, niż są...
- Tobie znów coś chodzi po głowie... - dalej przyglądał się jej podejrzliwie.
- Mnie się wydaję, że ty kiedyś przeholujesz, a wtedy twój tate nie będzie żałował kary. Wtedy twoja pupa będzie czerwona, jakby się wstydziła, co paple twoja buzia. Więc ty uważaj, żebyś to ty nie przeholowała!
Wstał wolno od stołu, a ona pomyślała, że chyba mame miała rację, że tate jest bardzo chory, bo on tak wolno się podnosi.
- Ty obiad zrób trochę później, bo tate idzie załatwić sobie większy interes i to może trochę potrwać - a widząc nikły uśmiech Rajki, zapytał:
- Co ty znów wymyśliła?
- Oj, tate, nic nie wymyśliłam - odwróciła się do pieca, by tate nie zauważył, ona kłamie. Bo tak naprawdę to psotliwie pomyślała, że po co jemu załatwiać sobie większy interes, skoro mamy nie żyje...
- Jeśli on sobie go załatwi, to co on z nim będzie robił - parskała śmiechem, którego on już nie dosłyszał, bo wyszedł z mieszkania, a ona nie mogła się powstrzymać. Potem się zawstydziła, że tak niepoważnie myśli o ojcu. Ten piękny dzień nie zapowiadał niespodzianek, które jednak wisiały w powietrzu, tylko kto o nich mógł wiedzieć. Pierwsze, co się zdarzyło, to idąc ulicą w kierunku miasta stary Mojsze zahaczył butem o jakiś wystający kamień i chodź się nie przewrócił, to jarmułka spadła mu z głowy, tocząc się daleko od niego. Gdy ją już podniósł i włożył na powrót, mała grupka wyrostków, idąc za nim w przyzwoitej odległości, wrzeszczała wniebogłosy:
- Krowi placek spadł mu ze łba, krowi placek spadł mu ze łba...
A ten krzyk gonił go jeszcze daleko, nawet wtedy, gdy już nie widział bandy wyrostków. Ze złości cały się spocił i klął na swój żydowski sposób, że zachciało mu się z swoich pejsów zrobić piękne warkoczyki i niosło go do Rabina. To miał być ów wielki interes, o którym mówił Rajce, to miała być niespodzianka. Jednak nie zawrócił. Jeśli chciał zrobić niespodziankę, to ją zrobi, a jarmułki nosić nie będzie i to też będzie duża niespodzianka.
Rajka po prawdzie, ale też naprawdę była ciekawa, co to miał być za wielki interes, o którym on mówił. Porobiła przygotowanie pomyślała, że będzie najlepiej, jak zrobi tarte placki, bo to szybko i bez wysiłku. Wyszła przed dom rozglądając się dookoła, by spotkać kogoś do spędzenia wolnego czasu. Jej wzrok spoczął na młodych Weissach siedzących na wysoki krawężniku rynsztoka, a na przeciwko nich Esterka i jej o rok młodsza siostra, patrzące w ich kierunku, wiedziała, że chcą ściągnąć całą gromadę pętaków z okolicznych podwórek, na grę....
Była to gra w plucie, po jednym groszu za strzał, a wygrywał ten, kto najdalej umiejscowił swoją ślinę. Najstarszy z Weissów zawsze, ale to zawsze – wygrywał! Był o rok młodszy od Rajki i gdy wygrał, nadskakiwał jej, kupując lody, po których nieodmiennie namawiał ją, by poszła z nim nad rzekę za fabryką. Zgadzała się, bo wiedziała, że część tej wygranej powędruje do jej stanika, który krył swoim wnętrzu już ponętne i jędrne piersi. On szedł pierwszy a ona dla niepoznaki, kilkanaście minut po nim. Potem skrywali się w swoim tylko sobie znanym miejscu, żeby dobijać targu.
Icek Weiss nie był na tyle głupi, by za darmo trwonić wygrane grosiki, Rajka nie na tyle głupia, by za dwa lub trzy grosze pozwolić mu na zbyt wiele.
Czasem pozwoliła mu dotknąć przez stanik, którąś z piersi, czasem, gdy miał do wydania więcej grosików, pokazywała. Wtedy Icek, gdy ciemna brodawka wyślizgnęła się na zewnątrz spod stanika, mlaskał i ślinił się jak niemowlak. Zakładał nogę na nogę, trąc kolanami, jakby miał świerzb. Rajka, by go całkowicie pognębić, wypuszczała na wolność

drugą pierś. Wtedy on już nie tarł kolanami, ale prawie dusił się z braku tchu, widząc to, co czasem udało mu się podejrzeć u mamy. Ale gdy miał około złotówki, wtedy Rajka była jeszcze hojniejsza w swoim obnażaniu. Tylko, że zawsze przed tym brała pieniądze, by on w swoim podnieceniu nie chciał czegoś więcej. Mając pieniądze mogła uciec, zostawiając go z duszącym podnieceniem. A więc, gdy miał około złotówki, Rajka kazała mu usiąść około dwu kroków dalej, na przeciw siebie. Powoli rozchylała kolana i potem tak same powoli uchylała na bok nogawkę swoich kolorowych majtek, bo nigdy innych nie miała. Wtedy biedny Icek przechodził istne katusze. Kładł się lub klękał na trawie by ciut, ciut więcej zobaczyć. Wtedy robił wszystko na raz. Mlaskał, ślinił się leżąc tarł nogami. To, co robił dalej, Rajka nie widziała, bo gdy on zaczynał prawie sztywnieć z rozkoszy, ona odchodziła zadowolona z lekko zarobionymi grosikami. Teraz widząc braci od razu wyczuła koniunkturę, łatwość lekkiego zarobku, bo tego lata uskładała od niego, prawie dwa złote. Podeszła bez słowa siadając obok Esterki i jej siostry, dokładnie na przeciw Icka, by mógł się powoli rozpalać widząc jej pstre majtki. Tylko, że albo Icuś nie miał dziś humoru, a może ubiegła ją Esterka pokazując mu już swoje małe, co nieco, bo prawie nie zwrócił na nią uwagi. Nie zwracał jej także, gdy szerzej rozchyliła kolana. Mało, że nie zwrócił uwagi, to wstąpiło w niego takie coś, że postanowił się z niej pośmiać, czego nigdy nie robił. W pewnej chwili spojrzał pomiędzy jej rozwarte kolana:

- No, Rajka, a co ty masz za pstrą papugę między nogami?

Ona zaskoczona jego nagłym pytaniem, spojrzała pod kusą sukienkę, patrząc między nogi.

Wtedy zrozumiała, że z niej żartuje, a gdy dwaj bracia wybuchnęli śmiechem, powiedziała:

- Oj, Icek, żebyś ty wiedział jakiś ty głupi, to ty by się wcale nie odzywał. Taki głupi, że ty nie odróżniasz papugi od czegoś, co ci zapiera dech.

Ale on śmiał się dalej. - Przecież ja wiem, że to, co ty masz, to to jest czarne. Tylko ja nie mógł zrozumieć, że ty z tego robisz papugę. W tych pstrych majtkach wygląda to tak pstry pajac w mojej książce, którą dostałem na gwiazdkę.

Takiej obrazy Rajka już nie mogła ścierpieć. Czerwona ze złości zacisnęła nogi i po chwili wstała wściekle, patrząc na Icka.

- Ty jeszcze nie raz będziesz chciał popatrzeć na moją papugę.

- Mnie się wydaje, że nie, bo Esterka ma dużo ładniejszą i... nie przykrywa ją tak kolorowo - dokończył ze śmiechem, a bracia mu zawtórowali. Spojrzała zdziwiona na młodszą koleżankę. Od razu zrozumiała, że nie będzie już łatwego zarobku. Tamta zawstydzona spuściła oczy, a czerwień wstydu pokryła nawet uszy.

- Esterka, ty mała bezwstydnico, ciekawe, co powie na to twoja mame, gdy się o tym dowie?

- A ciekawe, co powie twój tate, gdy dowie się o tobie! - Icek przerwał jej, biorąc w obronę swoją nową kochankę od pokazywania.

- Nie bądź Rajka taka mądra, ty była pierwszą bezwstydnicą. Ona nas podglądając, od ciebie się nauczyła nią być.

Pogrążona tym trafnym stwierdzeniem z łzami w oczach, szybko odeszła. Tylko, że te łzy nie były łzami wstydu, a złości. Nie na swoją koleżankę, która dmuchnęła jej z przed nosa zarobek i przyjemność patrzenia na męki Icka. Była zła sama na siebie, że teraz ona, Rajka, tak głupio została na lodzie i była to nauka na przyszłość, że nie wolno przeciągać struny, że nie wolno być za chytrą. Ta złość ją tak rozsadzała, że postanowiła zemścić się za to na swoich wszystkich kolorowych majtkach i spalić wszystkie do ostatniej pary. I zrobiła to bez żadnego żalu, ale jakby było tego mało, postanowiła, że odtąd, w każde lato nie będzie zakładała żadnych majtek. Ani kolorowych, ani żadnych innych.

Gdy siedząc przy stole, jeszcze nie mogła ochłonąć, strawić obrazy, postanowiła też zemścić się Icku. Nie wiedziała jeszcze jak, ale wiedziała, że musi to zrobić, że nie może za nic mu tego darować. Musi popamiętać, że ją, Rajkę, nie można obrażać bezkarnie.

Gdy obmyślała zemstę, ktoś cicho zapukał do drzwi i nie czekając na poproszenie wszedł do mieszkania. To była Esterka. Jej drobna postać, teraz była jeszcze szczuplejsza, jeszcze mniejsza. Skurczona stała przy stole i szukając wybaczenia, bez słowa włożyła dłoń tam, gdzie zaczęły rysować się zalążki piersi, wyciągnęła lokówkę. Taką zwykłą metalową, którą można było układać fale we włosach. Wystarczyło tylko podgrzać ją nad ogniem i układając, uważać, by nie poparzyć sobie skóry. Przyniosła ją podkradając swojej mamie, w formie przeprosin.

Ona ją przecież kiedy prosiła, by Esterka ją przyniosła, to Rajka zrobiłaby sobie fale. Teraz ona sobie bym przypomniała i przyniosła, by Rajka zrobiła sobie te fale i by się na nią nie gniewała już więcej, bo już nie pójdzie z Ickiem, by za grosz pokazać mu maleńkie śliweczki, które ukrywała pod nie mniejszym staniczkiem. Już więcej nie uchyli ani tego staniczka, ani nogawki majteczek. Ona nie wie nawet, dlaczego ona to zrobiła, ale teraz już więcej tego nie zrobi i niech Rajka się na nią nie gniewa...

Paplała w kółko to samo, obracając nerwowo lokówkę, którą w pewnej chwili upuściła na podłogę. Schyliła się szybo i podając ją Rajce, powiedziała: - Nu, zrób sobie te fale. Zobaczysz, że będziesz jeszcze ładniejsza. Masz bardzo długie, ładne włosy, więc tobie się ułożą. Ja mam jeszcze taki meszek, tak sam jak tam - nie powiedziała jednak

gdzie, tylko zarumieniona spuściła głowę.
Rajka zaśmiała się, widząc jej zażenowanie tym, że ma jeszcze meszek i tym, że odbiła Icka swojej dobrej koleżance.
- Ty, Esterka, nie przejmuj się tak tym. Ja sobie zrobię fale, ale ty nie musiałaś tego przynosić, bo ja się na ciebie nie pogniewałam. A za to, co on mi zrobił, ja się na nim zemszczę. Bardzo zemszczę. Jeszcze nie wiem jak, ale on będzie bardzo mocno tego żałował. Tak mocno, że do końca życia mnie nie zapomni.
- To będzie bardzo fajnie - Esterka ciągle się podlizując, sama też zapaliła się do tego pomysłu.
Zrobiłaby wszystko, by tylko jej nie stracić, by dalej mogła z nią przebywać.
- Jeśli ty będziesz chciała, to ja ci w tym pomogę - zaofiarowała się z ochotą. - Naprawdę - dodała. - Nic a nic też mu o tym nie powiem.
- Już dobrze - Rajka chciała uspokoić koleżankę, bo zaczęła ją denerwować służalczość Esterki. - Daj spokój, ja ci przecież mówiła, że ja się nie gniewam. A jak będę potrzebowała cię do pomocy, to ci powiem. Teraz ty siedź spokojnie, bo ja poparzę sobie głowę i na potwierdzenie swoich słów, syknęła nie wypuszczając z ręki, rozgrzanego narzędzia jej tortur. - To wcale nie jest takie łatwe - z większą ostrożnością powróciła do ponownego układania. Kiedy skończyła, Esterka, która cały czas patrzyła na koleżankę z największą uwagą, nagle wykrzyknęła z zachwytu:
- Rajka, ja mam wspaniały pomysł - zapiała swoim cienki głosem. - To jest taki fajny pomysł, że ty musisz go spróbować.
- Jak ja mam go spróbować, jak nie wiem, co ty wymyśliłaś?
Może ty znowu wymyśliłaś coś podobnego, tak jak wymyśliłaś ty z Ickiem? - nie mogła zapomnieć jej zdrady.
Widząc jednak, że tamta o mało się rozbeczała, szybko dodała uspokajająco:
- Oj, ty się czasem nie marz. Nie wypada to takiej pannie jak ty. Masz już tam meszek, a chcesz się zachowywać, jakbyś nosiła pieluchę.
- Ja sobie pomyślałam, że skoro ty tak cudownie wyglądasz, to może pójdziesz do miasta i pokażesz się Erykowi... - jej głosik był już prawie całkiem normalny. - On o tej porze jest sam w aptece. Ty idź i mu się pokaż. Zobaczysz, co on zrobi...
- A co on może zrobić? - Rajce pomysł nawet się spodobał. - On nic nie zrobi. To, co on by chciał zrobić, to ja za bardzo nie chcę, by on to zrobił. No, może kiedyś... - A wiesz co, Esterka, ty czasem naprawdę coś wymyślisz i ja naprawdę to zrobię - zapalała się coraz bardziej do pomysłu koleżanki.
Oczyma wyobraźni widziała się idącą w tej ślicznej sukience w duże, czerwone róże. Do niej nową białą bluzeczkę, którą tate nie dał jej zakładać, bo twierdził, że spod jej wycięcia wychodzą jej różowe cycki. To znaczy raz tak powiedział, gdy wypił za dużo koszernej wódki u pana Lewiego, z powodu jego urodzin i potem się tego trochę wstydził. No, nie dlatego, że się upił, tylko, że jej ładne, jędrne piersi nazwał cyckami.
Ale chociaż ją przeprosił, bluzki nie dał zakładać. Rajka postanowiła, że dziś ją założy, nawet gdyby tate miał się bardzo gniewać, a maże nawet przeciągnie pasem, chociaż nawet już nie pamiętała, kiedy to zrobił ostatnio. Szybko podbiegła do szafy i w kilka minut później nie tylko sama nie mogła się poznać, ale i Esterka znów zapiała głosem zachwyconego koguta:
- Gdyby ty nie miała czarnych włosów, to ty byś była anioł. Może nie tak całkiem, ale na pewno bardzo podobna!
- Estera, czy ty kiedy widziała Żydówkę z białymi włosami, no, ty mi powiedz? Widziałaś? Na pewno nie widziałaś, bo takich Żydówek nie ma, w każdym razie ja nie widziałam. - Jeszcze raz spojrzała w lustro, strzepnęła z sukienki coś niewidocznego, ale tak bardzo delikatnie jakby się bała, że spadną też piękne ogromne róże. Potem tak samo delikatnie, palcami przeciągnęła po lewej, potem prawej stronie bluzki, dotykając do mocno już rysujących się piersi. Przy tym dotyku doznała, przyjemnego dreszczyku, który przeleciał jej po krzyżu, od początku szyi, aż do końca pleców. Zginął tam, gdzie zaczynała się jej zgrabna, krągła pupa, nieco za bardzo odgięta do tyłu, ale za to bardzo widoczna, przyciągająca oczy okolicznych chłopaków w jej wieku i tych dużo młodszych.
Gdy miały już wychodzić Elstera stanęła i nieśmiało dotykając ręki Rajki zapytała:
- A dlaczego tyś nie założyła majtek, czy ty zapomniała?
- Nie, nie zapomniałam - fuknęła zła, że ją zatrzymują, bo już chciała widzieć wrażenie, jakie będzie wokoło, gdy będzie ona szła ulicą.
- Wcale nie zapomniałam ja nie założyłam, bo ja nie chcę, by mówiono, że mam kolorową papugę - szybko podniosła sukienkę, odsłaniając swoją nagość. Ty się dobrze przypatrz, czy ona jest kolorowa, ona nie jest kolorowa, ona jest czarna jak kruk. To we łbie Icka jest kolorowo. On już niczego więcej u mnie nie zobaczy i niczego nie dotknie. Ty też nic mu nie dawaj - dotknęła mocno palcem jej ramienia. - Jeśli ty mu cokolwiek dasz, lub pokażesz, to możesz więcej do mnie nie przychodzić, my już nie będziemy koleżankami!
- Rajka czy ja mogę z tobą iść - Esterka była zakłopotana swoją prośbą.
Widząc jednak wahanie w oczach Rajki, dodała szybko:
- No, nie tak całkiem z tobą, ja będę szła z tyłu. Albo jeszcze lepiej przejdę na drugą stronę ulicy, przecież wszystkiego nie będę widziała,

nie będę miała czasu na rozglądanie się. Więc ja ci potem wszystko opowiem - dalej uśmiechała się chytrze Esterka.
- Nu, dobrze - Rajka postanowiła być wspaniałomyślna. Przecież nic ją to nie kosztowało, przeciwnie, zyskiwała darmowego informatora. Może mało bezstronnego, ale zawsze co cztery oczy, to nie jej dwa.
Gdy koleżanka przeszła na drugą stronę ulicy, Rajka ruszyła w kierunku Rynku, gdzie było najwięcej sklepów i gdzie była też apteka pana Müllera. Najgorsze było, że musiała przechodzić koło Bożnicy, a tam obok mieszkał miejscowy Rabi, a jego ona się bardzo bała. Teraz miała tylko cichą nadzieję, że jej nie zobaczy. On jeden nie powinien jej widzieć, bo o obecności swojej koleżanki, już całkiem zapomniała. Po chwili zapomniała i o Rabinie, przypominając sobie, że miała kręcić kuprem jak gęś kopnięta przez konia. No, może nie przez konia, ale małego źrebaczka, chociaż chyba i takie kopnięcie byłoby bardzo bolesne. Ale tak czy inaczej tyłeczek zaczął kręcić jakieś niezgrabne piruety, by już po kilku minutach osiągnąć podniecającą technikę. Rajka była pojętą Żydówką. Osiągała nawet to, czego nie wiedziała, uczyła się sama z siebie i to ją czyniło niedoścignioną w tym, co chciała robić. Już z daleka zobaczyła stojącego obok apteki pana Müllera, który rozmawiał z panem Swobodą - rzeźnikiem. Miał obok sklep z wędlinami, od apteki dzieliła go tylko wąska brama, za którą była rzeźnia. Nie była tam nigdy, ale czasem w targowe dni, czyli środę, dochodził zza bramy kwik świń, przeznaczonych na rzeź. A w takie targowe dni wszystkie dzieciaki z okolicy zlatywały się na Plac, bo wtedy można było zarobić jakiś grosik. Czasem jakiś gospodarz poczuł ochotę na kieliszek gorzałki po dobitym targu i wtedy potrzebował kogoś do przypilnowania, znowu jakaś bardziej bogata wieśniaczka nie mogąc udźwignąć zakupów, rozgadała się za nosicielem. Był to dzień targu, zarobków i kradzieży.
Dziś panował spokój, bo nie było targu. Ludzi też nie było za dużo, chociaż nastrój wiszącej jeszcze, gdzieś wysoko wojny, już się udzielał grupując ludzi, teraz bardziej skorych do pogaduszek. Przechodząc przez mały park minęła grupę wyrostków, która stanęła otwierając ze zdziwienia buzie na całą szerokość...
Mężczyźni zajęci rozprawianiem, zapewne też o wojnie, bo machając rękoma starali się jeden drugiemu udowodnić swoją rację, która chyba - jak zawsze - była gdzieś po środku - nie zauważyli jej. Dopiero gdy podeszła całkiem blisko, spostrzegli je obecność.
- A gdzież to panna Rajka się wybiera? - pan Swoboda, mężczyzna wysoki i barczysty, niczym legendarny Wyrwidąb, o twarzy czerwonej i zdrowej, uśmiechnął się przyjaźnie. - Jeśli szukasz ojca, to widziałem go z godzinę temu, jak wchodził do Rabina, ale czy wyszedł, tego nie wiem.
Rajka odpowiedziała uśmiechem, ale nie uszło jego uwagi, że na jej widok, twarz pana Müllera prawie zbladła i ona się tym zaniepokoiła.
Gdy zrobił ruch, jakby chciał odchodzić - odezwała się:
- Przepraszam panie Müller - jej głosik był uprzejmy i cichy. - Czy może zastałam Eryka? Jeśli można ja bym chciała się z nim zobaczyć...
Dojrzała jak resztki krwi odpłynęły z jego bladej od gniewu twarzy i jak prawie nie mogąc wymówić słowa - wyjąkał:
- Eryk, ty się pytasz o Eryka? - nagle odzyskał mowę. - A co ty możesz chcieć od mojego Eryka, ty cholerna gudłajko, wywłoko wyklętego żydowskiego plemienia!
- Won mi stąd, pókim dobry!
Rajka zamieniając się w słup soli - zaniemówiła. Stała jak sparaliżowana nie mogąc ruszyć się z miejsca, mimo ciągle padających pod jej adresem wyzwisk. Masarz też zaniemówił, ani trochę nie mogąc zrozumieć, co się stało z sąsiadem, którego znał dobre pięćdziesiąt lat. Co go tak poruszyło, bo chyba nie grzeczne pytanie o możliwość zobaczenia się z jego synem. Szybko jednak zrozumiał, przypominając sobie ich rozmowę, którą przerwali z nadejściem Rajki. Rozmowę o fanatyzm wiary w Hitlera, który jego zdaniem zrobi prawdziwy porządek na tym świecie!
Patrzył z politowaniem na miotającego przekleństwa Müllera i patrzył na przestraszoną tym wybuchem Rajkę. Stała dalej nic nie mogąc zrozumieć, ruszyć się z miejsca, bo nogi miała jak wmurowane w chodnik.
Eryk, który siedział u siebie w pokoju na górze, słysząc jakąś awanturę, wybiegł na balkon. Wybiegł w chwili, gdy jego ojciec całkiem nie panując już nad sobą, otwartą ręką uderzył w twarz stojącą wciąż Rajkę.
Uderzenie było tak mocne, że z rozbitego nosa dziewczyny, trysnęła krew.
- Ty cholerna, pieprzona Żydówo, jeszcze trochę, a nie będzie po was śladu, nasz Führer się o to postara! - zamachnął się do ponownego uderzenia, ale jego ręka uchwycona w jakiś żelazny uścisk nie osiągnęła celu.
Mocne uderzenie w szczękę zamigotało mu tysiącami gwiazdek w oczach i szumem w głowie, jakby przeleciała przez nie eskadra myśliwców. Nie przewrócił się od razu tylko dlatego, że syn, który zbiegł na dół uratował go przed tym upadkiem, łapiąc go prawie w locie.
Uderzenie jednak było tak silne, że nie utrzymał ojca i oboje odbiwszy się o oparte o ścianę kraty, z ich rumorem padli przed wejściem. Eryk z trudem wydostał się spod ojca, podnosząc i jego. Musiał jednak go trzymać silnie pod rękę, bo chwiał się na nogach, tak mocno, jakby razem wypili co najmniej litra bez zakąski. Eryk oparł ojca o ścianę, dalej będącego na pół przytomnym. Takie uderzenie powaliłoby byka.
Odwrócił się w kierunku Rajki, ale usłyszał tylko szybki tupot jej nóg...

Gdy tylko odzyskała jako tako świadomość tego, co się stało, upokorzona jak nigdy w życiu, nie miała innego wyjęcia, jak tylko ratować się myślą o tym, że Eryk nie da jej więcej skrzywdzić. Biegła przed siebie nie zdając sobie nawet sprawy dokąd biegnie. A biegła w stronę... katolickiego kościoła i zatrzymała się dopiero, gdy wpadła na zdziwionego proboszcza. Na chwilę spojrzała na jego czarną sutannę, zawróciła na pięcie, tym razem wpadając na Esterkę. Ta, biorąc ją za rękę pociągnęła do dalszej ucieczki w drugą stronę, krzycząc jej prawie do ucha:
- Ty głupia, co ty mu powiedziała, że on cię tak wyrżnął. Ty mu musiała powiedzieć coś bardzo strasznego.
Teraz dopiero Rajka oprzytomniała całkowicie. Stanęła, ocierając jeszcze lecącą krew z nosa i patrząc na prawie czerwoną od krwi bluzkę, wybuchła:
- Esterka, Bóg mi świadkiem. Ty będziesz świadkiem, że ja podpalę tego cholernego Wilusia! - Dotknęła obolałego nosa. - Jak on wygląda?... - zapytała.
- Tak jak i jego Hitlerek, nawet takie same wąsiki zapuścił - Estera myślała że pyta ją o Müllera. - Nie, ja cię nie pytam o tego niemieckiego fanatyka, tylko o swój nos.
Buzia Esterki rozdziawiła się tak, że weszłaby do niej cała brytwanna z plackiem. Ona nie znała takiej Rajki, ona znała inną: cichą i pogodną, skorą do żartów i zabaw. Tej Rajce, po uderzeniu, musiało się na pewno coś przesunąć w głowie, że ona mówi całkiem innym językiem.
Ksiądz dalej stał przy kościele, patrząc z zaciekawieniem na obie dziewczyny, a Rajka widząc jego zaciekawioną minę, bez żadnego skrępowania pokazała mu koniuszek różowiutkiego języka. Zbaraniał. Zbaraniał, bo miał ją za jedną ze spokojniejszych i grzeczniejszych dziewczyn, które znał. Nawet bardzo ją lubił bo mimo, że była Żydówką, to gdy była sama, pozdrawiała go: ...niech będzie pochwalony.
Nie mówiła wprawdzie, kto ma być pochwalony, ale on sam dopowiadał i był zadowolony, mając nawet nadzieję, że może ona kiedyś przejdzie na katolicyzm.
Maleńkie zadatki już widział. Teraz one prysły wraz z końcem jej różowiutkiego języczka i tego jej zachowania. Obrócił się na pięcie, szybko kierując się ku drewnianej, starej plebani.
Rajka też ruszyła do przodu, teraz jednak obierając właściwy kierunek. Szła szybko, nie zważając ani na zdziwione wejrzenia, ani na to, że Esterka nie może za nią nadążyć. Mimo że przebierała swoimi cienkimi, jak patyczki, nóżkami, najszybciej jak umiała, nie mogła jej dogonić. Gdy Rajka postawiła jeden krok, ona musiała postawić dwa, a i tak zostawała w tyle. Co chwilę więc podbiegała, nie chcąc całkiem zgubić koleżanki, która coś mamrocząc pod obolałym nosem, obcierała go co chwilę. Była zła, że ciągle jeszcze kapała z niego krew i gdy dochodziły do poczty, przy której stała drewniana pompa, Rajka stanęła, pochylając głowę:
- Pompuj mocno - wsadziła głowę pod zimny strumień jeszcze więcej się lejącej , zimnej wody.
Teraz jej wzorzysta, kusa sukienka odsłoniła wszystko, co pod nią miała i to wszystko było teraz tak widoczne, jak na wystawie sklepowej. Kępka czarnych włosów pośród szeroko rozstawionych nóg, wyglądała tak jak gniazdko ptaka umieszczone pośród złączonych ze sobą drzew. Młody piekarz, Bartek, który wiózł zamówiony chleb do organisty, widząc tak cudowny obrazek, stracił poczucie rzeczywistości, zapomniał, że jest na rowerze, że jedzie. Po prostu chciał stanąć, jak gdyby szedł ulicą i pochylić się nisko tak, by zobaczyć wszystko bardziej dokładnie, jak zwykł robić to Icek. I właśnie w chwili, gdy pochylił głowę, wyrżnął kołem w krawężnik, przelatując głową przez kierownicę roweru. Trzask upadającego roweru i brzęk tłuczonej butelki o bruk, kazał się dziewczynom obrócić, by zobaczyć przyczynę owego hałasu. Widok leżącego ogłupiałego Bartka, wciąż z zadartą do góry głową, wyzwolił w nich salwę śmiechu. Odbiegły od studni i nie zwracając więcej na niego uwagi, z tym samym gromkim śmiechem pobiegły ku domowi. Gdy były już na placu przy domu, Rajka prawie zapomniała o całym zajściu i tylko bolący nos jej o tym przypominał. Gdy usiadły zmęczone biegiem, ona jak gdyby zapominając o tym, że idąc, nie założyła stanika, zdjęła zakrwawioną bluzkę, obnażając nagie piersi.
- Ty, zobacz, ty nie masz nic pod spodem - Esterka chciała maleńkimi dłońmi zakryć sterczące sutki.
- No, to co - wstała z ławki ze śmiechem. - Moja mame też je wyciągała, gdy mnie karmiła i jakoś nikt na to nie zwracał uwagi. Nie chcieli mnie podziwiać na mieście, to niech podziwiają tutaj - popatrzyła w okna domu, w których też prawie nikogo nie było.
- Co ty mówisz, że nie podziwiali, czy ty nie pamiętasz jak Bartek wpadł pod studnię. Chyba za bardzo podziwiał, gdy ty stałaś pochylona i o mało nie wjechał ci w środek poszła za wchodzącą do korytarza Rajką, a gdy ta się przebierała, zaofiarowała się:
- Ty jesteś taka obolała, to może ja tobie w czymś pomogę. Może przy obiedzie? - Jeśli ty tylko chcesz – Rajka dotknęła ponownie obolałego nosa. - Jak on wygląda? - spytała, pamiętając, że wtedy nie otrzymała odpowiedzi i by ją skonfrontować, sięgnęła po lusterko.
- Jak on wygląda?... - Esterka zastanowiła się chwilę, szukając właściwego określenia. - Myślę, że on wygląda jak mały balonik odpustowy, ale zupełnie taki mały - dodała bojąc się znów obrazić przyjaciółkę.

która coś mamrocząc pod obolałym nosem, obcierała go co chwilę. Była zła, że ciągle jeszcze kapała z niego krew i gdy dochodziły do poczty, przy której stała drewniana pompa, Rajka stanęła, pochylając glowę:
- Pompuj mocno - wsadziła głowę pod zimny strumień jeszcze więcej się lejącej , zimnej wody.
Teraz jej wzorzysta, kusa sukienka odsłoniła wszystko, co pod nią miała i to wszystko było teraz tak widoczne, jak na wystawie sklepowej. Kępka czarnych włosów pośród szeroko rozstawionych nóg, wyglądała tak jak gniazdko ptaka umieszczone pośród złączonych ze sobą drzew. Młody piekarz, Bartek, który wiózł zamówiony chleb do organisty, widząc tak cudowny obrazek, stracił poczucie rzeczywistości, zapomniał, że jest na rowerze, że jedzie. Po prostu chciał stanąć, jak gdyby szedł ulicą i pochylić się nisko tak, by zobaczyć wszystko bardziej dokładnie, jak zwykł robić to Icek. I właśnie w chwili, gdy pochylił głowę, wyrżnął kołem w krawężnik, przelatując głową przez kierownicę roweru. Trzask upadającego roweru i brzęk tłuczonej butelki o bruk, kazał się dziewczynom obrócić, by zobaczyć przyczynę owego hałasu. Widok leżącego ogłupiałego Bartka, wciąż z zadartą do góry głową, wyzwolił w nich salwę śmiechu. Odbiegły od studni i nie zwracając więcej na niego uwagi, z tym samym gromkim śmiechem pobiegły ku domowi. Gdy były już na placu przy domu, Rajka prawie zapomniała o całym zajściu i tylko bolący nos jej o tym przypominał. Gdy usiadły zmęczone biegiem, ona jak gdyby zapominając o tym, że idąc, nie założyła stanika, zdjęła zakrwawioną bluzkę, obnażając nagie piersi.
- Ty, zobacz, ty nie masz nic pod spodem - Esterka chciała maleńkimi dłońmi zakryć sterczące sutki.
- No, to co - wstała z ławki ze śmiechem. - Moja mame też je wyciągała, gdy mnie karmiła i jakoś nikt na to nie zwracał uwagi. Nie chcieli mnie podziwiać na mieście, to niech podziwiają tutaj - popatrzyła w okna domu, w których też prawie nikogo nie było.
- Co ty mówisz, że nie podziwiali, czy ty nie pamiętasz jak Bartek wpadł pod studnię. Chyba za bardzo podziwiał, gdy ty stałaś pochylona i o mało nie wjechał ci w środek poszła za wchodzącą do korytarza Rajką, a gdy ta się przebierała, zaofiarowała się:
- Ty jesteś taka obolała, to może ja tobie w czymś pomogę. Może przy obiedzie? - Jeśli ty tylko chcesz – Rajka dotknęła ponownie obolałego nosa. - Jak on wygląda? - spytała, pamiętając, że wtedy nie otrzymała odpowiedzi i by ją skonfrontować, sięgnęła po lusterko.
- Jak on wygląda?... - Esterka zastanowiła się chwilę, szukając właściwego określenia. - Myślę, że on wygląda jak mały balonik odpustowy, ale zupełnie taki mały - dodała bojąc się znów obrazić przyjaciółkę.

Teraz dopiero Rajka spojrzała w lusterko, sprawdzając, ile w tym prawdy.
- Masz tylko trochę racji. On nie wygląda jak mały balonik, on wygląda jak burak i to taki po ugotowaniu - jeszcze raz delikatnie dotknęła przyczyny swojego nieszczęścia, która na pewno będzie widoczna przez kilka dni.
Nie to jednak najgorsze, najgorsze to, co powiedzieć tate? On będzie bardzo zły i ona nie wie jak to się może dla niej skończyć.
Estera, czemu ja ciebie słuchałam, czemu ja się dałam namówić tobie na ten pomysł? Ja czułam, że on jest głupi, bo ty innych nie mieć, ja ciebie i tak posłuchałam, ty na mnie sprowadzasz same nieszczęścia! Najpierw był Icek, teraz ty mnie napuściłaś na Eryka. Tamten nazwał to moje coś, papuga, a teraz dostało mi się w nos. Ty mi naprawdę przynosisz pecha.
- Ja myślę, że zawsze tak nie będzie - już drugi raz dzisiaj musiała ją uspakajać, bo grymas płaczu znów pojawił się na jej ładnej, pyzatej twarzy. - Ty się uspokój i trzyj te placki. Przecież ja ci mówiłam, że zawsze tak nie będzie, tylko Ty, jeśli będziesz mi chciała coś powiedzieć, to ty się zastanów, żebym ja przez twoje pomysły nie była tak krzywdzona. Najpierw mi coś przechrzczono na papugę, potem ja postanowiłam nie nosić majtek, potem ty znowu miałaś dobry pomysł i potem... - nie dokończyła bo broda Esterki zaczęła niebezpiecznie drżeć
- Jeśli ty o byle co będziesz stroiła głupie miny, to po co mi taka koleżanka potrzebna. Ty już masz co dać chłopakom, a ciągle się krzywisz. A może ty od urodzenia masz taką buzię udała, że się jej przygląda, potem machając lekceważąco ręką, oznajmiła:
- E, nie. Wszystko masz w porządku. Chyba, że pod twoją sukienką jest coś nie tak, pokaż! - zażądała nagle. Gdy Estera stała zgłupiała i nie wiedząc, co ma zrobić, czy to żądanie nie jest żartem, ponaglała ją:
- No, pokaż, chyba mnie się nie wstydzisz? Tyś przecież nie wstydziła się Icka, to mnie nie powinnaś - podciągnęła jej długą sukienkę, pod którą widniały szare, brudne majtki. - Ty je ściągnij i wyrzuć albo dobrze wypierz. Jak można coś takiego nosić! Jak Icek na coś takiego mógł patrzeć. Ty musisz być czystą Żydówką, bo żaden chłopak cię nie zechce. No, ściągnij to szybko i spal. - Wzięła w dwa palce majtki Esterki i wrzuciła pod blachę. Potem nalała wody na miskę i podsuwając ją w jej kierunku, powiedziała:
- Umyj dobrze tą swoją sroczkę, by pachniała, a nie rozsiewała odór. Pod takim brudem nawet meszek nie chce rosnąć i nigdy ci takie włosy nie urosną, jak u mnie, gdy nie będziesz ty o nie dbała i myła - postraszyła z poważną miną potem jakby nigdy nic, zajęła się dokończeniem placków, nie zwracając już żadnej uwagi na koleżankę.
Z powagą doświadczonej kucharki usmażyła po trzy placki, częstując swojego gościa. Gdy się najadły i miały wyjść, drzwi otworzyły się bez

pukania, a Esterka zobaczywszy Eryka pomyślała ze strachem, co by było, gdyby wszedł parę minut wcześniej. Rajka też była zdziwiona jego nagłym wejściem.
Był czerwony jak oblany gorącą wodą, tylko ona nie wiedziała czy było to ze wzburzenia czy z gorączki. Tak czy inaczej, nagle poczuła do niego złość. Nie za to, że jego ojciec tak ją potraktował, nawet nie za to, że tak natrętnie wszedł, tylko za to, że jej nie dogonił, nie zawrócił i nie powiedział ojcu, że ona będzie jego, czy on na to pozwoli czy nie. Teraz by mu dokuczyć, nie dając mu nic powiedzieć, odezwała się:
- No, Eryk, może u was w aptece się nie puka, ale u nas w domu tak, zwłaszcza ktoś obcy - patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby między nimi nigdy nic nie było. Jakby ani razu jej nie pocałował i jakby nigdy nie prosił, by na niego czekała, gdyby miał wyjechać.
Jej oczy były zimne, nawet lodowate. I to było coś, co go zupełnie onieśmieliło. Rozmowę, którą przygotowywał całą drogę idąc tutaj, prawie zapomniał. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, stał więc tylko i patrzył. Raz na małą Esterkę, jakby u niej szukał pomocy, to znów na nią, spodziewając się przebaczenia za to, co zrobił jego ojciec. Nie dostał ani jednego, ani drugiego. Esterka po prostu bała się otworzyć usta, by znów nie przynieść pecha, Rajka czuła jeszcze bolący wciąż nos i jej duma, przynajmniej na razie, nie przewidywała jakiejś ulgowej taryfy, jakiegoś choćby małego przebaczenia.
- Nie wiem, co mam powiedzieć - jego cichy głos trochę wzruszył Rajkę, lecz ani trochę nie dała tego po sobie poznać.
- Więc lepiej ty idź do domu i się zastanów. Potem ty przyjdź ze swoim tatą i niech on mnie przeprosi.
- On nie przyjdzie - wyszeptał zbolały tym, że tego, czego się obawiał, ona zażąda. A w zamian niczego innego dać jej nie mógł.
- Więc i ty nie przychodź - wyminęła go, a Esterka szybko podążyła za nią. Gdy były kilkanaście kroków od domu, zobaczyły jak wychodzi z nisko opuszczoną głową. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wraca z całodziennej pracy z kamieniołomów, zmęczony od wciąż gniotących go skalnych bloków, półślepy z wykonywanej pracy.
Rajce zrobiło się go żal. Była podwórkową rozrabiarą, którą jej tate musiał często napominać, lecz serduszko miała wrażliwe. Nie bolała ją jej własna niedola Żydówki. Nie bolały częste wyzwiska rówieśników i całej wieży Babel. Tylko na początku, słowo „gudłajka" wyzwalało w niej najpierw dziewczęcy płacz, potem bunt i na koniec odpłacaniem się pięknym za nadobne. Jeśli komuś wolno było ją obrażać, dlaczego ona nie miała robić podobnie. Z biegiem lat, wszystko się dotarło i już tylko sporadycznie ktoś na kogoś rzucił jakieś obelżywe słowo. Ta specyficzna społeczność pomieszana niczym groch z kapustą, z czasem zrozumiała, że są skazani na siebie i obok siebie muszą żyć.
Polak koło Żyda, Żyd koło Czecha, Czech koło Niemca i tak dalej, dalej... Nie było więc sensu skłócać się między sobą, skakać do oczu, o byle potyczki ich dzieci. Malce się godzili, a starsi nie biorąc udziału w tych sporach, pozostali na tej samej stopie przyjaźni, którą wyznaczył czas ich wspólnego bycia obok siebie. Jedni żyli z sobą bardzo blisko, inni na tyle blisko, że obecność bliskości zamieszkiwania nikomu nie przeszkadzał. Teraz Rajce, zrobiło się żal Eryka, że tak się z nim obeszła. Miała ochotę pobiec za nim, krzyknąć, by się zatrzymał, ale stało się coś co na chwilę powstrzymało ją od tego. Mały Salomon, który bawił się z innymi w berka, całkiem niechcący na niego wpadł. Eryk, któremu malec zatrzymał się na kolanach, odepchnął go z taką siłą, że tamten upadł parę metrów dalej. Krzyk bólu rozległ się na go całe podwórko, ale ten krzyk, krzyk skrzywdzonego dziecka, nie poruszył żadnego, dorosłego Żyda. Ani kilku matek wyglądających w słońcu przez okna, ani siedzących pod domem ich mężów. Poruszył Rajkę. W jednej chwili podbiegła do Eryka, który troche przyspieszył i łapiąc za wzorzystą koszulę, obróciła twarzą do siebie. W jej oczach była wściekłość, a usta nie wypowiadając żadnych słów syczały, jak u podrażnionego, rozgniewanego węża. Wreszcie, nie mogąc tej nabrzmiałej wściekłości utrzymać, zaczęła swoimi piąstkami, okładać go po jego rozrośniętej gimnastyką, klatce.
- Ty cholerny Wilusiu, odrobino wielkiego narodu, który nie wiadomo czemu się nim okrzyknął... ty, ty - nagle zabrakło jej słów, albo fala wściekłości, nie pozwoliła wymówić dalszych słów. Chwilę stał bez ruchu ogłupiały jej nagłą reakcją na to, co zrobił i z czego nie zdawał sobie nawet sprawy. To ona uświadomiła mu, że zrobił coś, że zrobił prawie to samo, co zrobił jego ojciec Rajce. Co nigdy nie powinien zrobić!
Delikatnie złapał ją za bijące dłonie i przytrzymał, by się uspokoiła, a on mógłby jej wytłumaczyć się ze swojego postępowania. Ale wtedy ona odzyskała swój głos i nowa zaczęła krzyczeć:
- Ty zafajdany aptekarzyno, poskramiaczu bawiących się dzieci. Jesteś tak.. taki sam, jak twój tatuś... Taki sam, nic nie wart - nagle zwiotczała i wybuchając płaczem jakby i ją teraz skrzywdzono.
Tylko, że u niej skrzywdzono uczucie, które w niej było, tliło się, by teraz nagle przygasnąć. Zrobił to ktoś, do kogo to uczucie było przeznaczone. Nawet nie zdając sobie sprawy, z tego, co robi, oparła głowę na jego wysportowanej piersi i już nic nie mówią płakała. Jej gorące łzy zmoczyły koszulę i po chwili prawie parzyły swoją żałością. W tej jednej chwili gotów był walczyć nawet z samym diabłem, by odzyskać jej dawne uczucie, które a zdawał sobie z tego sprawę, przez jego

nieobliczalny postępek musiał zmniejszyć płomyk uczucia. W tej chwili jego ból nie był mniejszy, niż jej.
- No, czemuś ty to zrobił? - usłyszał jej ciche pytanie. Czemu tyś go uderzył? - podniosła głowę i nawet nie patrząc, w jego twarz, odeszła. Szła wolno, ale nie w kierunku, czekającej i zdumionej tym, co się stało Esterki, ale w kierunku strumyka za fabryką. Wolno krok za krokiem, jak gdyby szła za pogrzebem. W jej głowie kołatała tylko jedna myśl, boląca swoją jasnością tego, co się stało a w rezultacie tego, że to już koniec, że Eryk już dla niej nie istnieje. Gdy była już niewidoczna, przysiadła na soczystej, zielonej trawie, nie wiedząc czemu poczuła do siebie żal, żal do tego, że niepotrzebnie wyszła, gdy przyszedł on, że mały Salomon nieopatrznie się napatoczył i ona niepotrzebnie się za nim ujęła.
- Mógł gówniarz uważać, gdzie biegnął - przekonywała siebie samą, bo nagle strata Eryka mocno ją zabolała. On był jej pierwszą cichą miłością, jej pierwszym dziewczęcym marzeniem, które legło w gruzach przez coś, co nie powinno się stać. Po chwili jednak, gdy już całkiem ochłonęła, górę wzięł trzeźwa ocena całego czynu i charakteru, który głęboko w nim tkwił. Przekonywała sama siebie, że dobrze się stało, bo lepiej go poznała, poznała takiego, jakiego jeszcze n znała i że nie może mieć złudzeń, że i kiedyś mógłby tak postąpić i z nią. To przekonywanie nie za bardzo jej wychodziło, bo za chwilę wkradała się obrona tego, co zrobił. Pomyślała, że ona w jak takiej chwili też by się zdenerwowała i zrobiła podobnie zrobił on. Być może nawet ostrzej. Sprzeczne myśli kołatały się w jej główce...
Eryk siadając na pierwszej napotkanej ławce, przyrzekł sobie, że już nigdy więcej nie zrobi nic takiego, co mogłoby ją urazić. Że nigdy w życiu jej nie skrzywdzi, nawet gdyby miał ponieść najgorsze tego konsekwencje. Jakie? Nie za bardzo wiedział, ale miał na myśli ojca. Że jeśli z jej powodu musiałby się z nim rozstać, rozstanie się. To znaczy jeszcze z nim wyjedzie, ale gdy tutaj wróci, będzie kimś, a on nic mu nie będzie mógł nakazać, zabronić. To co zrobił z Rajką napawało go obrzydzeniem do niego. Było tym większe, gdy mu powiedział, że najlepiej byłoby taką od razu powiesić, bo wszyscy Żydzi, to złe nasienie tego świata. Gdy wściekły zapytał, dlaczego on uważa się za tak dobre nasienie, dlaczego przez cały ten czas nie przeszkadzały mu wszystkie narodowości tego miasteczka, odparł, że musiał ich tolerować, bo nie miał innego wyjścia. Teraz może, bo Hitler dał mu taką szansę, otworzył mu oczy na prawdę, której dotąd nie widział. Zapytał go wtedy, dlaczego Żydzi pomogli mu otworzyć jego aptekę, dając kredyt na niewielki procent i zrobił to pan Bauman, a nie jego zafajdany Hitler, ojciec podniósł na niego rękę. Co prawda szybko ją opuścił, ale fakt zaślepienia ojca wielkim Führerem, i to nie ulegało wątpliwości, jak to, że on już tego nie zmieni. Wiedział też, że mógłby tutaj pozostać, nie jechać z ojcem, ale wtedy na pewno ojciec za nic w świecie nie dałby mu apteki. Nie dałby nawet na czas jego nieobecności. Wiedział, że jeśli wyjedzie, wróci tutaj kimś, albo nie wróci wcale. Nawet ze względu na Rajkę. Nie poddanie się woli ojca, oznaczało wydziedziczenie, chociaż był jedynakiem. Ale że tak będzie, był pewien jak tego, że dwa dodać dwa, jest cztery. A więc żeby nie być zależnym od ojca musiał coś osiągnąć. Pozostając w tym miasteczku nie miał żadnych szans. Górnolotne słowa Hitlera nie przekonywały go. Czuł więc coś, czego nie umiał nazwać. Oboje z Rajką byli na rozdrożach, nie wiedzieli tylko, dokąd ta sytuacja ich zaprowadzi. Eryk bardzo się jej podobał, był kimś, z kim chciałaby pozostać już do końca życia. On też nie widział innej kandydatki na żonę. Gdyby taka była, byłby ustawiony na całe resztę życia. Wybrałby chyba to, a nie Rajkę. No, może jeszcze całkowicie, bo nagle przyszło mu do głowy, że jej ojciec jest bardziej bogaty.
Chociaż apteka przynosiła niezłe dochody, na pewno nie mogli się równać z Baumanem. Wstał. Że też wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Po chwili usiadł na powrót. No i co z tego, że bogatszy, jak mu jej nie chce dać - odezwał się sam do siebie i to na głos. Może jednak mówi prawdę i by dał, gdyby nie wisząca od dawna w powietrzu wojenna zawierucha. Ale teraz. To, co zrobił ojciec, na pewno zmieniło wszystko. Mało tego, stary Bauman ma świadka w postaci Swobody i ciekawe, czy nie będzie chciał założyć staremu sprawy. Na pewno by mu się przydało, wstał po raz drugi, już kierując się ku domowi.
Dziwnym zbiegiem okoliczności, ona też wstała, bo nos znów zaczął jej dokuczać, gdy nim poruszyła, zaczął krwawić od nowa. Nie mocno, ale na tyle, że musiała pochylić głowę, by znów nie poplamić świeżo co założonej bluzki.
- Zasrany szwab - pomyślała otrzepując sukienkę - tylko po co ja tam polazłam, głupia?
- Esterka, to wszystko jej wina - szukała dla siebie rozgrzeszenia. Co tam Estera, gdyby mnie się jej pomysł nie podobał, to ja by nie poszła - skierowała się ku rzece, oddalonej o kilka kroków. Nie miała ochoty iść do domu, bo była pewna, że jej tate już wszystko wie i chyba nie obędzie się bez pociągnięcia paskiem. Wpatrzona w wolny nurt płynącej rzeki, poczuła nagle ochotę oddalić się z nim tam, dokąd on podąża. Oddalić się od tego, co ją tutaj spotkało i jeszcze spotka. Oddalić się od tego niedobrego miasteczka, które, nagle uparło się jej dokuczać, chociaż ona nic nie jest mu winna. Ani ona, ani jej tate. Więc co się ono tak na nich uwzięło? Czemu tak na nią zawziął się pan Müller i czemu taki zły jest Eryk? Patrzyła w czystą, leniwą wodę, której cichutki szum przyciągał ją jak magnes. Miała ochotę zanurzyć się w tej chłodnej

wodzie i powiedzieć, by zabrała ją tam, gdzie om zmierza, że zostanie jej rusałką.
Nie wiedziała jaka ona jest głęboka, ale nie miało to dla niej większego znaczenia, byleby stąd jak najdalej, powoli, nie czując żadnego strachu, zanurzyła najpierw jedną nogę wraz z sandałem, potem drugą. Teraz już wiedziała, że ona ją chce, bo jej ciepły prąd jak gdyby radośnie obmył jej stopy, zdając się mówić: - „Chodź, nie bój się. Poniosę cię do krainy szczęśliwości. Tam nie będzie złych ludzi, w moich wodach, doznasz szczęścia.” - Ciepła, radosna woda dochodziła jej do kolan, gdy gdzieś od brzegu rozległ się błagalny, płaczliwy głos Estery.
- Rajka, ty wróć. Ja nie chcę być bez ciebie, przecież ty nie umiesz pływać Nu, co się z tobą dzieje - już prawie płakała.
Nagle zbawienna myśl wpadła do jej dziecinnej główki.
- Rajka, ciebie woła tate, on mnie przysłał po ciebie... Ty szybko wracaj...
Do tej chwili nie słyszała małej Esterki, ale gdy dobiegł do niej rozpaczliwy głos, nagle przypomniała sobie, że ona zrobiła mu tartych placków i że one leżą zimne, a ojciec zimnych nie lubi. Zrobiła krok by zawrócić, a woda jak gdyby rozzłoszczona tym, że ktoś chce ją jej zabrać, zaczęła płynąć jakby szybciej. Już nie była już tak przyjemnie ciepła. Stała się zimną, nieprzyjemną, prawie lodowatą. To ta nagła lodowatość, kazała jej zawrócić i zrobiła to, widząc, że jest już kilkanaście kroków od jej środka i jeszcze trochę, a nurt porwie ją jak kawałek słomki. Zakręci dookoła, ściągnie pod wodę i uniesie zanim zdąży krzyknąć. Głos ciągle wołającej z brzegu koleżanki, obudził ją z letargu do tego stopnia, że przyspieszyła chociaż wydawało się jej, że woda nie chce jej puścić, że stoi w miejscu. Zrozpaczony głos z brzegu, już prawie płaczący, sięgnął po ostatnią deskę ratunku.
- Jeśli ty nie zawrócisz, ja zaraz pójdę do Icka, ja jestem umyta i on mnie weźmie. On o tobie całkiem zapomni - rozpłakała się.
Nagle uświadomiła sobie, że taki strach nie ma znaczenia, kiedy Rajkę porwie woda, jak tamtego lata porwała Icka. Rzeka tak nim obracała, że ledwo zdołał jakoś dobrnąć do brzegu. Potem taka woda leciała z niego, że wiadrami można było nosić Prawie jak ze studni. Płakała z zamkniętymi oczyma i uspokoiła się dopiero pod ciepłym dotykiem palców Rajki. Gdy ją zobaczyła z półprzymkniętych powiek, zaczęła ryczeć, jakby jej zabrano grosiki od Icka. Tylko, że był to teraz płacz ze szczęścia. Nie mogła się jeszcze uspokoić, gdy byli już blisko ulicy, tam, gdzie kończyła się już łąka, a zaczynała rozkopana glina, która kiedyś była potrzebna do fabryki. Ojca jeszcze nie było i nie mógł jej wołać. Estera kłamała, kłamała po to, aby w jakiś sposób zmusić ją do powrotu na brzeg. Teraz, gdy to się stało, uszczęśliwiona poszła do domu...

Rajka napaliła ogień, by mieć go do odgrzania placków, bo taty bardzo lubił odgrzewane i czekała wpatrzona w okno zastanawiając się, co ją podkusiło tak daleko wejść do wody, co ją tak gnało, by wejść jeszcze dalej. Gdyby nie głos, Estery, teraz by tutaj nie siedziała, przecież nie umiała pływać. Kiedyś Eryk obiecał jej, że ją nauczy, ale jakoś do tego nie doszło. Ona sama nie miała na tyle odwagi, by to zrobić. Do wody wchodziła najdalej do kolan, aż do dzisiejszego dnia. Wzdrygnęła się na myśl, co by było, gdyby nurt porwał jej ciało...

Taty zjadł podane placki i Rajka już była pewna, że pas trochę połaskocze jej plecy, bo cały czas od powrotu się nie odzywał. Teraz, gdy umył palce w podanej wodzie, milczał dalej, przyglądając się jej spuchniętemu nosowi. A ona wolałaby już dostać czekające ją lanie, niż tą ciągłą obserwację, która niczego dobrego nie wróżyła.
- My, Rajka, pójdziemy do sądu - odezwał się wreszcie. Ja nie mogę pozwolić, by ktoś ciebie bił. Ja na to nigdy nie pozwolę... Nie wiem, po co ty tam poszła i ja nie chcę wiedzieć. Ale wiem, że ty źle zrobiłaś tam idąc, ja ci przecież tłumaczył, że Niemiec zostanie Niemcem, jak Żyd zostanie Żydem i że on nie dla ciebie. Ty się jednak chciała przekonać, czy twój tate mówi prawdę i ty się o tym przekonała. Oj, ty się bardzo boleśnie o tym przekonała. No i dobrze. Miała ty i ode mnie jeszcze dostać, ale już za swoje dostała... Masz ty mnie słuchać, bo inaczej będziesz dostawała od innych, a potem ode mnie. Czy ty mnie rozumiesz? - podszedł do okna opierając się o parapet. - To, co stało, stało się źle. Jedno dobre to to, że tystanęła w obronie małego Salomonka. Ty mi się za to bardzo podobasz. Na dodatek wszystkie Żydy patrzyły, jak ty go biła. Ty mu wiele nie mogła zrobić, ale ty pokazała, że słabych ludzi nie wolno krzywdzić - dalej patrzył w okno. Ja przez to jestem bardzo dumny z ciebie, dumny jest pan Lewi i dumni są wszyscy Żydzi w miasteczku. Oni wszyscy o tym mówili. Nawet proboszcz, którego musiałem przeprosić, bo ty jemu pokazałaś język. Nu, czemu ty mu jego pokazała?
Nie czekając aż odpowie, mówił dalej, a ona dopiero teraz zauważyła, że jej tate nie ma na głowie swojej jarmułki, a tylko duży czarny kapelusz. Nawet nie słyszała, co mówi, tak była zaskoczona. Jak ona mogła nie zauważyć, gdy on jadł. Chyba z tego strachu przed szerokim pasem, który zawsze wisiał na gwoździu przy drzwiach. Mało tego, że taty miał czarny kapelusz, to zamiast swoich pejsów, z których był tak dumny, miał zaplecione warkoczyki. Jej tate tak bardzo się zmienił, a ona tego nie zauważyła!? Ten dzień naprawdę był pełen niespodzianek i miała już go dość.

- Nu. Rajka, czy ty już dziś całkiem ogłuchła? - głos ojca spod okna brzmiał niecierpliwością czy ty słyszy - co ja do ciebie mówię - odwrócił się od okna pociągając za sobą firankę, która zahaczyła o rączkę do zamykania okna, drąc się... - mówię, że jutro jest szabas i żeby ty nie zapomniała iść do Bożnicy, i żeby ty nie zapomniała, że pójdziesz tam ze swoim tate.
- Tak, ja to słyszała - patrzyła ze smutkiem na podartą firanę.
Tyle dni robiła ją na szydełku i teraz wygląda na to, że musi zrobić drugą.
- Ja pójdę do Bożnicy, tylko to nie wypada, by ty dorosłą córkę prowadził za rączkę. Żydzi będą się z ciebie śmiali, że ty pilnujesz moich majtek, że ja ich sama nie umiem upilnować. Czy ty chcesz, żeby wszyscy się z ciebie śmiali? Jeśli ty chcesz, żeby tak było, to ja do buzi wezmę jeszcze smoczek i wtedy pomyślą, że ty masz drugą, małą córkę i nie będą się i z ciebie śmiali?
Popatrzył na nią kochającymi oczami, bardzo kochającymi, bo musiał jeszcze dołożyć kochanie za swoją żonę i już nic nie mówiąc, wyszedł.
Zatrzymał się jeszcze w drzwiach, mówiąc:
- Ty weź, przyłóż do nosa coś zimnego, bo do jutra on będzie jak kalafior.

Od pamiętnego dnia upłynęły cztery dni i gdy piątego dnia Rajka wyspana rześka schodziła na dół, do kuchni, usłyszała na podwórku wielki raban. Zaciekawiona ogólnym poruszeniem przyspieszyła zapominając, że jest tylko w krótkiej, nocnej koszuli, sięgającej jej ledwo za pupę. Uświadomiła sobie to dopiero, gdy zbiorowisko na jej widok przywitało ją gromkim śmiechem. Szybko się wycofała, by coś na siebie włożyć. Gdy stary Mosiek wszedł do mieszkania, stała do niego tyłem, całkiem naga, pochylona nad kuferkiem. Chciał się wycofać, ale ona odwróciła się ze sweterkiem w jednej, a spódnicą w drugiej ręce. Widząc speszonego ojca, zaśmiała się wdzięcznie:
- Nu, taty, twoje rumieńce widać nawet pod brodą, a przecież ty mnie tyle razy widział, że nie powinien się wstydzić widoku swojego dziecka.
Rajka trochę wstydziła się swojego taty, ale tak jak każda dziewczyna w jej wieku, chciała, by podziwiano jej zgrabne, młode i piękne ciało. Ona jak dotąd nie za bardzo miała je komu pokazać. A tak bardzo by chciała. Jej mame w tym wieku już spała z jej tate i oni oboje już wiedzieli, po co mają przy swoich udach takie wstydliwe coś. Rajka też wiedziała, ale nie mogła zrobić z tego użytku.
- Czy ty wiesz, co się stało - jego speszenie już minęło. - Czy ty już wiesz? Nie, ty jeszcze nie wiesz, skąd ty miałabyś wiedzieć. To ja ci powiem. Pan Müller, chyba bojąc się wezwania do sądu o twoje pobicie, w nocy wyjechał. Wyjechali wszyscy, Eryk też - dodał. - Aptekę zostawił pod opieką swojego szwagra, który czasem mu pomagał i który coś tam kończył o lekach. Może to i lepiej, nie będzie żadnej sprawy. Ty się ubierz, bo ja jadę do pana leśniczego i nie wiem, kiedy wrócę.
Był już w drzwiach i na moment się w nich zatrzymał, patrząc na córkę. Chciał zapytać dlaczego ona nie zakłada majtek, ale zrezygnował. Pomyślał, że zrobi to, gdy on wyjdzie, bo teraz po prostu ona się wstydzi. Ona już duża pannica i ona powinna się wstydzić tylko, że jakoś tego u niej za bardzo nie widać. Wyszedł. Tak, tego u niej nie za bardzo widać... Wsiadł z ciężkim westchnieniem na przygotowany uprzednio rower i pojechał do leśniczówki. To, co miał tam załatwić, było ważne, bardzo ważne. Od tego zależało bardzo wiele. Nie był jeszcze pewien, czy podjął mądrą decyzję, ale była ona nieodwołalna. On postanowił pozostać tutaj, bez względu na to, co by się stało. Był może już z dobry kilometr od domu, gdy zawrócił. Pomyślał, że teraz pan Müller wyjechał z rodziną, dobrze by było, by Rajka jak najszybciej zapomniała o Eryku, a by mogła to zrobić szybko, on musi o to zadbać. Była zdziwiona jego nagłym powrotem i zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy powiedział, by poszła i pożyczyła drugi rower od pana Weissa i z nim pojechała. Ona się trochę rozerwie i pochodzi z młodym paniczem. Przejrzała grę ojca i była mu za to bardzo wdzięczna. Rana, jaką pozostawił po sobie Eryk była jeszcze świeża, jeszcze boląca i choć nie okazywała tego, serduszko bolało. Liczyła, że nie odjedzie tak bez słowa, że po cichu będzie się starał jeszcze z nią zobaczyć, a wtedy ona by mu wszystko wybaczyła. Może by mu o tym nie powiedziała, ale gdyby przeszedł, nie tylko by dała mu to przebaczanie, ale też na pewno czekała na jego powrót.
Czekała, nieczuła na niczyje propozycje. Nawet młodego leśniczego. Teraz, gdy jej taty zawrócił, by ją ze sobą wziąć, nie mogła się nie ucieszyć. Jeśli Eryk wyjechał po kryjomu, nie przyszedł się pożegnać, ona była prawie pewna, że już jej nie chce. Że on tylko chciał to, co nosiła pod sukienką i tate miał rację, że on tylko tego chciał. Troszkę w swoim wnętrzu skrywała nadzieję, że tak nie jest i on wróci. Jeśli on do niej wróci, to ona pójdzie za nim. Nawet wtedy, gdyby tate był bardzo zły. Ale teraz, kiedy go nie ma, dlaczego ona nie ma rozmawiać z panem Robertem, ona z nim rozmawiała nawet wtedy, gdy był Eryk. A teraz może jeszcze bardziej. Po co on ją zostawił, po co nie przyszedł, nie powiedział, że po nią wróci i żeby ona na niego czekała. Wtedy ona wiedziałaby, co ma robić. A teraz...
Jechała w małym oddaleniu za ojcem, bo bała się go najechać. Jechał tak jakoś chwiejnie, przeginając się z boku na bok, jakby nie jechał po leśnej dróżce, ale po jakiejś lepkiej mazi, rozgrzanej gumie. Ze strachem pomyślała, że jeśli tak wygląda starość, ona jej nie chce dożyć. Nie chce wyglądać tak jak tate. Być tak bardzo pomarszczona jak on, z wiotką, zwisającą skórą na policzkach i szyi. Wszędzie. Ona widziała jego

pośladki, gdy się kąpał, a musiała mu podać ręcznik, bo zapomniał. One były jak drgająca na talerzu galareta, Obwisłe, pomarszczone i jakieś żółte, tak żółte, jakby je ktoś przemalował. Przemalował, a on nawet o tym nie wiedział. Ona za nic nie chciałaby mieć takich pośladków, takiego ciała, bo kto by chciał wtedy na nią patrzeć. Nikt by nie chciał patrzeć. Ani młody Icek, ani Eryk i już na pewno nie pan Robert. Nawet mały Salomon, czy jego brat bliźniak Abramek. Nie, ona na pewno nie chciała być taka stara, mieć taką, żółtą skórę. To ona już wołała wcześniej umrzeć, dużo wcześniej. Oj, po co tak długo żyć, kiedy już nikt nie chce na ciebie patrzeć i nikt nie chce z tobą spać... Nu, bo czy jej mame spałaby teraz z tate, gdyby widziała jego pośladki pełn e zmarszczek, takie jakieś lepkie i obleśne. Aj, ona na pewno by nie chciała z nim spać. Ona tak jak żona pana Lewiego, ciągle udawałaby chorą, ciągle by coś wymyślała na pewno...

....Najpierw do jej nosa doleciał przyjemny zapach dymu unoszącego się jeszcze daleko ponad lasem, ale już po kilku minutach, zza drogi, dojrzała najpierw mostek na rzeczce, a potem już zarysy leśniczówki. Ta wyłoniła się nagle i całkiem niespodziewanie, bo dalej rosnące drzewa sprawiały wrażenie, że to jeszcze kilkanaście metrów do zabudowań. Psy, które już od kilku minut swoim szczekaniem sygnalizowały kogoś obcego, teraz już wściekle ujadały, wieszając się ogrodzenia. Było na tyle wysokie, że nie mogły go pokonać. Gdy przed wyjściem ukazał się Leśniczy, w jednej chwili, bez żadnego rozkazu, przestały swój psi koncert i radośnie kiwając kikutkami ogonów, przywarły mu do nóg. W ich mądrych oczach widać było bezgraniczną miłość i przywiązanie. W tej chwili nic innego nie było ważne gdy one widziały jego. One czytały z jego oczu każde żądanie, każdy rozkaz. Rozumiały prawie wszystko bez słów, bo były jeszcze gesty i znaki, które tylko one umiały odczytywać. Nie było drugich takich na całym świecie, jak mawiał leśniczy. Widząc gości i to niespodziewanych, nie wyglądał na zdziwionego. Chociaż nie był aż tak stary, mało co mogło go zdziwić. W swoim niedługim życiu wiele się nauczył, zwłaszcza poznawać ludzi, ich zachowania. Był doktorem ludzkich wnętrz i dlatego mało kto zdołał go oszukać, więc nie miał zbyt wielu przyjaciół.
Robert, który przez okno spostrzegł Rajkę, ucieszył się i zarumienił, co nie uszło uwagi bystrym oczom matki. To, co czuła Rajka do Eryka, on czuł do niej tylko jego uczucie, choć ciche, było mocne. On niczego nie musiał przysięgać, bo był siebie pewien. Teraz by jakoś przeczekać, aż palące rumieńce ustąpią, odezwał się obojętnie:
- Przyjechał Bauman z córką - a widząc niezadowolone spojrzenie matki, szybko się poprawił: - Pan Bauman.

- Teraz już lepiej - uśmiechnęła się. - Uczyłam cię, że nie ważne czy ktoś na ciebie patrzy czy nie, czy słyszy cię czy też nie, zawsze oddawaj należny szacunek W przeciwnym razie nigdy takiego szacunku nie będziesz miał od innych. Idź, przywitaj gości, bo chyba lubisz pannę Rajkę - nie czekając na odpowiedź speszonego tymi słowami syna, wyszła pierwsza.
- Oj, pani Leśniczanka! - Bauman na widok gospodyni, niczym dwudziestolatek, ruszył w jej kierunku, całując serdecznie w obie dłonie.
– Oj, pani zawsze taka młoda, zawsze taka piękna i taka jakaś promieniująca - jego zachwyt był szczery, bez źdźbła pochlebstwa. - Panie Robert, ja pana też serdecznie witam, tylko proszę jeszcze chwilkę pozwolić mnie staremu popatrzeć na młodziutką twarz pana mamy. Pan do niej tak podobny, jak te dwie fale, które teraz przepłynęły w rzece, jedna za drugą.

Wszystko, co robił, nie robił na pokaz, nie było w nim cienia uniżenia. Był to szczery zachwyt nad kimś, kogo bardzo lubił i kto lubił jego. Gdy po herbatce i kieliszku koszernej, którą przywiózł ze sobą, wyszli na chwilę przed ganek, odezwał się, kręcąc się troszkę niespokojnie. - Nu, ja u pana w domu... ja nie mogę rozkazywać, ale byłoby dobrze... - Rozejrzał się, czy aby ich nikt nie słyszy - pan wie, co ja mam na myśli. Gdy leśniczy pytająco patrzył i czekał, by dopowiedział, o co mu chodzi, bardzo speszony skubiąc brodę, dokończył. - Nu, ja tak sobie myślę... że pan tak myśli... że może dobrze by było młodych wysłać na jakieś polowanie - spojrzał dyskretnie na gospodarza. - Na jakiś obchód czegoś w pobliżu. Oni nam nie będą przeszkadzali i my spokojnie możemy sobie porozmawiać. Oni młodzi, niech się sobą cieszą. - Nagle umilkł, bo zrozumiał, że wyszło to niezręcznie.
- Ja bardzo przepraszam, naprawdę bardzo. Oj, jaki ja głupi Żyd. Pan zaraz pomyśli, że ja pcham Rajkę w ramiona pana Roberta. Aj, to nie jest tak - dotknął delikatnie rękawa jego służbowej bluzy. - Ja tak wcale nie pomyślałem, pan mnie zna i pan wie...
- Panie Bauman - leśniczy swoim nawykiem wziął gościa pod ramię.
- Zaraz mi się pan rozpłacze, a ja chciałem to samo panu zaproponować. Tylko, że ja się bałem, że to ja pana obrażę...
- Aj, jakie to szczęście, że ja to słyszę, że ja słyszę, że pan się nie obraził i ja sobie tak pomyślałem, że my na siebie nigdy się nie obrazimy. My oboje umiemy szanować ludzi, i chwalić Boga, że nam to dał. Ja wiem, ja to wiem na pewno, że dla pana nie ma znaczenia kto jest kim. Niemcem, Żydem, Ruskiem czy Czechem. Dla pan liczy się tylko człowiek i ja biedny Żyd za takiego jak pan oddałbym życie - w jego oczach pojawiły

się łzy. - Ja nie mówię to dlatego, że ja coś od pana potrzebuję. Ja nie umiem się podlizywać i ja to wiem i pan to wie. Nu, my wiemy to obaj i niewiele jest takich ludzi jak my dwaj - zamilkł, jakby czekał, że leciutki wiatr, który szedł od łąk, osuszy jego świecące w kącikach oczu, kryształowe łzy.
Nie osuszył. Powoli, wpadając w żłobki pomarszczonej zmarszczkami twarzy, popłynęły w dół, ku brodzie. Zatrzymały się we wgłębieniu, i wydawało się, że oceniają wysokość z jakiej przyjdzie im zaskoczyć na ziemię. Widocznie oceniły, że to niezbyt bezpieczne, bo dalej tkwiły w podbródku, zastanawiając się, co dalej, jak dokonać skoku, w dół. Tak drżąc, łaskotały i nagle rękaw chałatu Baumana przyszedł im z pomocą, ocierając ich wilgoć, dokonał za nich wyboru.
- Pójdziemy w głąb ogrodu - leśniczy pociągnął gościa, wzruszony jego szczerością, z tym, że ktoś chciał się za niego poświęcić. Tak może zrobić tylko prawdziwy przyjaciel. Dla takiego też warto się poświęcić, a długą rozmowa, jaką odbyli, słyszały tylko trawy, las i ptaki...

Trzciny gęsto porastające groblę ciągnące się w wokół stawów, szczelnie skrywały Rajkę i Roberta. Szli dość długo w milczeniu, jakby każde z nich zastanawiało się, co powiedzieć, by nie zabrzmiało to zbyt banalnie, obcesowo. A może bali się, że rozmowa przerwie ich takie wspaniałe sam na sam, pozbawi miłej, skrywającej oboje niteczki intymności...
- Czy panicz już wie, że pan Müller po cichu, zwiał z miasteczka z rodziną? - Rajka zdecydowała się przerwać milczenie - Eryk też wyjechał - dodała cicho, nie zdając sobie nawet z tego sprawy, że to Roberta zabolało.
- Przestań mówić do mnie panicz, proszę – powiedział - Nikim takim nie jestem... - zamilkł, bo wydawało mu się, że powiedział to zbyt ostro.
- Czy sądziłaś, że Eryk zostanie? - chciał dodać... że zostanie dla ciebie, ale powstrzymał się.
Tak samo, jak powstrzymał się od stwierdzenia, że Niemiec, zawsze pozostanie Niemcem. Równie dobrze mógł powiedzieć, że Polak zawsze pozostanie Polakiem, a Czech Czechem i gdyby tak powiedział, zapewne by ją uraził. Było mu smutno, że Rajka widziała w Eryku kogoś, kogo nie widziała w nim i że on być może nigdy nie będzie dla niej tym, czym jest tamten.
- Czy tęsknisz za nim? - odważył się zapytać.
- Może nie to, że tęsknię, ale jestem zła, że odjechał bez pożegnania – odparła szczerze. -- Mógł się przecież pożegnać z tymi wszystkimi, których zna. Jeśli nawet ojciec zmusił go do wyjazdu, to przecież nie mógłby zmusić go, by wyjechał bez pożegnania - przystanęła.
- No, niech panicz powie... no, ty powiedz - poprawiła się z uśmiechem.
- Nawet, gdy pan Müller mu zabronił, mógł to zrobić po cichu.
- Czy tak bardzo ci na tym pożegnaniu zależało - chciał, by to zabrzmiało obojętnie, ale nie wyszło, a ona to wychwyciła.
- Bardzo go polubiłam... - nie zdawała sobie z tego sprawy, jak ta szczerość go raniła - ale teraz nie jestem tego taka pewna, czy go tak samo bardzo lubię.
- Ale, gdyby nagle wrócił, wybaczyłabyś mu wszystko? - przystanął patrząc jej w twarz. - Wybaczyłabyś? - ponaglił natarczywe pytanie.
- Nie wiem - odpadła.
I naprawdę teraz tego nie wiedziała, wiedziała tylko, że niechcący zraniła Roberta, a przecież nie chciała kłamać, chciały być z nim szczera. Posmutniała. Że też wszystko, co by nie zrobiła prawie zawsze obracało się przeciw niej. Teraz też... Cóż miała zrobić, by to zmieniło? Znów zamilkli, znów nie wiedzieli, co powiedzieć. Szli, plącząc się w wysokich trawach i trzcinach, które wymykały się spośród brzegów wody, wdzierając się brutalnie w groblę. Była to też siłowa natarczywość, chęć zniszczenia wysokich traw zasilanych wodami rzeki. Jedno i drugie walczyło o zawładnięcie drugim, zniszczenie go...
Rajce przyniosło to skojarzenie, że przecież tak samo niszczą się ludzie. Choć w około jest tyle miejsca, jedni niszczą drugich, byle jak najwięcej zagarnąć dla siebie. Tylko po co, jeśli dla każdego starczy wszystkiego dobra, jakie jest stworzone dla wszystkich ludzi, a nie tylko dla jednostek. Nie mogła tego zrozumieć. Czy rozumiał to Robert, tego nie wiedziała. Nie śmiała go nawet spytać. A nawet, gdyby rozumiał, to czy ona by rozumiała jego wyjaśnienia, czy zdołałaby tego dokonać. Może. Nie jest przecież aż tak tępa. Oboje skończyli gimnazjum. Ona ma jedną klasę mniej, bo jak umarła mame, to ona już do szkoły nie wróciła. Zaczęła dbać o tate, chociaż wcale nie musiała. Niepewna przyszłości, nie poszła już do szkoły, a tate nic nie mówił, że ona nie chodzi. Może miał inne plany dla niej, plany, które nie wyszły...
Myślała, jak szybko można człowieka urazić, nawet tego nie chcąc. Nie wiedzoała też, jak mu to wynagrodzić, by przestał być smutny. By był taki jakim był, gdy wyszedł na ich spotkanie: wesół i rozradowany, prawie szczęśliwy. Upał był już mniejszy, a chłód wiejący od strony ogromnych stawów, dawał przyjemne orzeźwienie. Idąc obok niego, prawie go dotykając, spojrzała na niebo. Nie było już tak czyste jak wczoraj, tak jasne i błękitne. Gdzieś od strony zachodu, zaczęły napływać ciemniejsze obłoczki, wróżące zmianę pogody. Ta przynosząca tylko suszę, zaczynała być dokuczliwa. Nie zauważyła, że patrząc do góry zwolniła i została trochę w tyle, a Robert zamyślony nad tym, że Eryk go ubiegł, tego nie zauważył. Dopiero jej cichy okrzyk przestrachu, wyrwał go z zadumy.

Odwrócił się i zobaczył, że na chwilę znikła mu w wysokich trawach, jakby chciała się mu schować. Szybko zawrócił, by zobaczyć, co się stało. Leżała pośrodku grobli, trzymając się za kostkę u prawej nogi, a gdy go zobaczyła jej twarz wykrzywił udany grymas bólu. Na tyle udany aktorsko, że szybko pochylił się by, zobaczyć, co się jej stało. Biorąc ostrożnie jej nogę w swoje dłonie, począł masować. Jego ciepłe delikatne dłonie przyprawiły ją o przyjemny dreszcz, tak już dobrze znany. Zaczynający się wysoko od szyi, a kończący tam, gdzie powinny zaczynać się majtki. Tylko, że ona ich tam nie miała. Świadomie, delikatnie rozchyliła kolana, by on mógł zobaczyć jej zgrabne gładkie uda, ale nic po za tym. Tylko, że właśnie w chwili, gdy ona chciała pokazać mu gładkość i aksamit swoich ud, on zobaczył zupełnie coś innego... Pochylony dojrzał zaokrąglone jędrne piersi, które za wszelką cenę chciały ujrzeć światło dzienne, wymykając się z ciasnego stanika. Zauważyła to i jego podniecenie, które ogarnęło go na widok czegoś, co go wykarmiło i co jeszcze raz chciałby wziąć delikatnie w swoje usta. Delikatnie i z rozmysłem ssać, ssać tak długo, aż poczułby ciepły, mdły smak mleka.

Specjalnie udawała ból, gdy on masował jej nogę wpatrzony w te dwa, jasne pagórki, których słońce nie mogło wziąć w swoje posiadanie. Robiła to z całą świadomością, by on jak najdłużej masował jej stopę, a jednocześnie nasycał oczy widokiem, tak długo dla niego zakazanym. Zakazanym, jak rajski owoc, którego nie wolno zerwać. Pochylał się coraz niżej, by wreszcie delikatnie, nieśmiało dotknąć tego owocu ustami. Teraz tysiące mrówek zawładnęło jej ciałem, jak oszalałe latając po placach to w dół, to w górę. Z rozkoszą wdychała zapach jego włosów, które na dodatek uparły się łaskotać jej usta, wzmagając wibrację ciała. Wibrację, która zamieniła się w pewnej chwili w całkowitą sztywność, tak, że nie była w stanie zrobić najmniejszego ruchu. Miała sztywne palce u nóg i rąk, całe jej ciało było sztywnością posągu, który siedział na środku grobli, niezdolny na żaden ruch. Zdany tylko na drugą osobę. Jak długo to trwało, nie umiała określić. Nawet długo, długo potem, gdy w myślach odtwarzała całe to zdarzenie, nie mogła określić czasu, jak długo to trwało. Wszystko inne w owej chwili było jaskrawe, prawie namacalne, tamto nie. Odpłynęło z całym uniesieniem, którego w owej chwili doznała, odpłynęło wraz z opamiętaniem się się Roberta. Bardzo zawstydzony swoim zapomnieniem i tym, co zrobił, nagle się opamiętał. Dysząc z pożądania i może z zawstydzenia, ujarzmił swoje usta i prostując głowę, patrząc w jej ciemne brązowe oczy powiedział - przepraszam.
- Bardzo przepraszam zamilkł i już na nią nie patrząc, trwał w zagubionym bezruchu. Ona też tak trwała. Nie wiedziała, dlaczego, ale nagle, czuła się oszukana. Oszukana, że coś się nie stało, nie umiała określić tego czegoś, ale czuła do niego o to żal. Dopiero po chwili zorientowała się, że ten żal tkwi w niej dlatego, że to się nie stało. To, co ona nagle zapragnęła. To, co robi kobieta i mężczyzna w takiej chwili. To się nie stało. Chcąc to jakoś wynagrodzić sobie i jemu, bez słowa przytuliła jego głowę do swoich piersi, dalej tkwiąc w tym żalu, domyślała się, że Eryk w tej chwili włożyłby jej chociaż rękę pod sukienkę, delikatnie głaszcząc jej łono, bawiąc się delikatnymi miękkimi włoskami. Włoskami skręconymi w jedną wielką kępkę maleńkich pierścionków, pierścionków, które nawet po ściągnięciu majteczek, nie rozwiały się. Zawsze pozostawały pokręcone i splątane, zachodzące jeden na drugi, jakby obsypujące się pocałunkami. Jakby jeden drugiego pieścił, szukał bliskości drugiego. W istocie tak chyba było...

Gdy wracali, trochę zawiedzeni tym, co się stało i nie stało, zatrzymując go dotykiem zapytała:
- Dlaczego ty tego nie zrobił? - wiedziała, że musi zadać to pytanie. To cisnące się na usta pytanie było tak natarczywe, że nie pozwoliłoby im dojść do domu, gdyby go oto nie zapytała:
- Czy ty się bałeś, czy może ty się mną brzydzisz, że ja lubiłam Eryka?
Patrzył na nią tak, jakby niczego nie rozumiejąc, jakby nie rozumiejąc, o co go pyta i co ma do tego zakichany Eryk. Czy jego imię musi ciągle powracać, jak bumerang, czy zawsze będzie wchodził między nich, chociaż go tu nie ma, chociaż wyjechał? Czy ma być jak ten duch, który nie chce opuścić nawiedzonego domu i nie pomagają żadne egzorcyzmy?
- Nu, dlaczego ty nic nie mówisz? - ponagliła, a w jej głosie nie było odrobiny nutki przekory, ona po prostu chciała wiedzieć.
Nie mieściło się to w jej maleńkiej główce, że on nie skorzystał z takiej okazji Jeśli on ją odrzucił, to on musiał mieć przyczynę.
- Czy ty nie chciał może dlatego, że ja jestem Żydówką, a wszyscy mówią że Żydówki mają w poprzek. Nie, nie mają - wybuchła nagle. - Nie mają, ty sobie sam weź zobacz! Wbrew samej sobie, wysoko uniosła sukienkę. Ty dotknij, ty pomacaj... - widząc, że stoi jak skamieniały, nagle wybuchła placzem.
Był to płacz wstydu, zawiedzenia i tego żalu, że nikt jej już nie chce. Podszedł do niej i przyciskając płaczącą do swojej piersi, powiedział z głebokim ciepłem do głosie:
- Ja cię chcę, chcę cię naprawdę. Ale tylko wtedy, gdy ty naprawdę będziesz także tego chciała. Nie teraz, kiedy ty chcesz zrobić na złość Erykowi, że nie pożegnał się z tobą. W tobie jest jeszcze za dużo złości, ale tak naprawdę, to ty nie chciałaś zrobić tego ze mną. Ty byś myślała o

nim, a w taki sposób ja nie chcę - pogłaskał ją czule po czarnych hebanowych włosach. - Nie płacz, drugi raz na pewno będę chciał - odsunął ją lekko od siebie i pocałował w usta. od Prawie musnął ją jak lekki wiaterek muska nagie ciało. Był to inny pocałunek, różniący się od pocałunków Eryka. Tak delikatny, jakby płatek róży spadł na jej usta i rozpłynął się słodyczą po całym ciele. Takiego pocałunku jeszcze nie znała, był po prostu cudowny i nigdy przedtem takiego uczucia nie doznała. Oddała mu go najlepiej jak umiała, chociaż na pewno nie był taki, jaki on dał jej. Teraz wiedzieli o sobie już prawie wszystko i wracali weseli tak, jak się wracało z udanych wagarów...

To, o czym rozmawiali starsi, można się jedynie domyślać, to znaczy tylko tyle, ile było widoczne po ich twarzach. A te nie były ani radosne, ani zasępione. Ale o czym była rozmowa, czego dotyczyła, widzieli tylko oni dwaj - przynajmniej na razie. W drodze powrotnej Rajka jechała pierwsza. Nie mogła jakoś patrzeć na kołyszącego się na rowerze tate. Był to dla niej żałosny widok, tak żałosny jak widok uślinionego Icka, na widok tego jej czegoś. Tylko do tamtego nie odczuwała litości, nawet bawiła się tym. Widok starości, sprawiał jej ból. Bo ta starość dotyczyła kogoś bliskiego, kogoś, kogo bardzo kochała i bała się, że ten ktoś zaraz spadnie z tego starego jak on sam, roweru. Spadnie i więcej się nie podniesie, a ona sama pozostanie na tym świecie, nie mając nikogo, oprócz starej ciotki, która mieszkała gdzieś daleko. Ona nawet nie wiedziała gdzie i nigdy się tym nie interesowała. Ona miała swojego tate i to jej wystarczało. Tylko, że teraz się bała, że ten tate odejdzie, on wyglądał na tak bardzo starego, a przecież jeszcze nie był. Szybko przestała o tym myśleć, bo wiedziała, że jeśli zaraz tego nie zrobi, rozpłacze się na cały głos i nie będzie wiedziała, co ma odpowiedzieć, bo on na pewno zapyta, co się stało, że ona nagle tak się rozpłakała. Czy ona mu powie, że się boi, ona mu tego nie powie, bo on ją wyśmieje, będzie udawała, że jest młody do czasu aż się zapomni. Wtedy ona znów zobaczy tę jego starość, która szczerzy do niej zęby, jakby z niej drwiła. Jakby mówiła: „Po ciebie też kiedyś przyjdę, tak jak przychodzi śmierć. Tylko ja cię nie zabiorę, ja cię tylko przygotuję do niej". Znajome ciarki przeleciały po jej plecach, tylko te były zupełnie inne. Przy tamtych odczuwała przyjemność, przy tych strach. Strach, który prawie nie dał jej pedałować, usztywniał mięśnie. Tak bardzo, że odczuwała ból. Ból, gdzieś w gardle i w okolicy serca. Ból i strach. Te dwie rzeczy naraz, to najgorszy ból z wszystkich, jakie poznała. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że już za niedługo, taki sam będzie jej chlebem powszednim. Będzie on jej towarzyszył na co dzień i będzie jak ktoś, kogo się nie lubi, ale trzeba z nim przebywać. Że będzie to bardzo długo i że nauczy się z nim żyć.

Od ostatniego pobytu, wizyty Rajki w leśniczówce, stały się częstsze i była tam mile widzianym gościem. Ona sama też lubiła tam przebywać i to wcale nie ze względu na Roberta, chociaż i tak było, ale też z innego powodu. Właściwie z dwóch. Po pierwsze, od całego zajścia na grobli, nagle jakby wydoroślała i spoważniała. To po pierwsze, bowiem zaczęła patrzeć na siebie inaczej, bardziej jak na drugą osobę. Po drugie, w osobie żony leśniczego, dostrzegła jak gdyby drugą matkę. Kogoś, z kim może warto porozmawiać o kobiecych sprawach, poradzić się. Było to w rodzaju leku na wszystko. Gdy jeszcze spostrzegła, że jest traktowana prawie jak córka, wymyślała dziesiątki sposobów, by móc tam jechać. Matka Roberta istotnie patrzyła na nią jak na córkę, którą chciała mieć. I nie tylko. Widziała niej jeszcze podlotka, ale też pół kobiety. Dojrzewającej kobiety, która jakoś nie mogła poradzić sobie z wczesnym dojrzewaniem i dokuczającymi hormonami. Dwie kobiety, z której jedna przekwitała, druga dochodziła do stadium całkowitego rozkwitnięcia, szybko znalazły wspólny język. A owocem tych rozmów było to, że sytuacja zaistniała na grobli, nie powtórzyła się w tak drastyczny sposób. Nie dlatego, że między nią a Robertem do niczego nie dochodziło, przeciwnie, zawsze szukali okazji, by w ukryciu mogli się pocałować, przytulić do siebie rozpalać to, co jeszcze tylko się tliło.
Po kilku wizytach, gdy jesień była już blisko, jak gdyby zapomniała o Eryku, aż pewnego dnia przyszła widokówka...
... z pozdrowieniami z Hamburga, wszystko w niej odżyło. Nie napisał, co prawda, żeby czekała, że przeprasza, nie nic takiego.
Ale dla niej ważne było, że napisał. Prosił też żeby pozdrowiła wszystkich znajomych, włącznie z mieszkańcami leśniczówki. Teraz pocałunki Roberta już nie były tak słodkie, tak podniecające i on tego nie mógł nie zauważyć. Nie domyślał się, że to z powodu owej pocztówki. On też zmienił się. Już nie szukał, jak dawniej, okazji, by być z nią sam na sam. Zamknął się w sobie, stał się ponury i małomówny, czasem opryskliwy. Oboje rodziców domyślało się przyczyny jego stanu, lecz nie byli w stanie niczego zmienić. To mógł zmienić tylko czas, tylko czy na lepsze, czy gorsze, tego odgadnąć nie mogli...

★★★★★

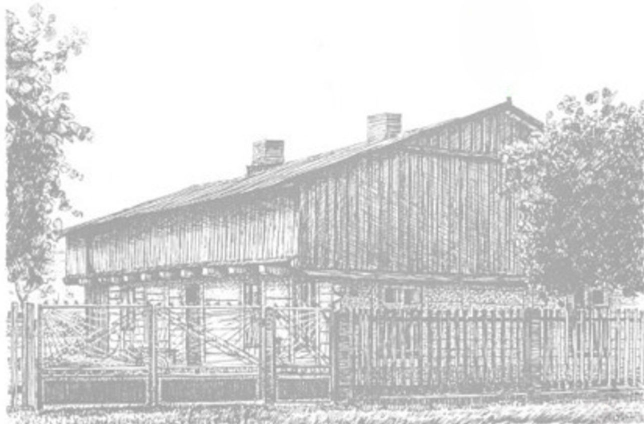
Tymczasem odgłosy nadchodzącej wojennej zawieruchy, były coraz głośniejsze, ale żadne z mocarstw nic nie robiło, by je uciszyć. Nic lub prawie nic. Więc przybierały na sile, niosąc ze sobą niepokój jutra i dni następnych. Tak też ludzie nauczyli się żyć, z dnia na dzień, z godziny na godzinę...

Gdy nastala zima, Rajka z ojcem rzadko odwiedzali leśniczówkę. Za to leśniczy częściej przyjeżdżał saniami, wtedy szli do pokoju Rajki, a tate zakazywał jej przeszkadzać. Siedziała więc na dole i nie mając z kim rozmawiać, rozmyślała, co przyniesie jutro. Nie trzeba było być bardzo mądrym, by nie zrozumieć buńczucznych wypowiedzi Hitlera, że pierwszym krajem, który trzeba uspokoić, jest Polska!
To ona najbardziej prześladuje mieszkających tam Niemców, bo ona daje azyl zarazie świata – Żydom! Ją trzeba wykreślić z mapy Europy. Wykreślić - to mało, to bardzo mało, nie może zostać po niej najmniejszego śladu. Nic, nawet pyłu!
Anglia i Francja zapewniały, że nie zostawią Polski samej, ale tak naprawdę, to Polska była wrzodem na tyłku, z którym nie wiadomo było, co zrobić. Nawet lepiej by było, gdyby przeciął go Hitler. Oni mają swoje zmartwienia, bo gdyby ten maniak zaostrzył swój apetyt na Wyspy Brytyjskie i Francję, sami będą mieli dość roboty, by ukrócić jego swawolę i zepsuć jego wilczy apetyt. Jeśli nawet Hitler był głupcem, to nie aż tak wielkim, by nie wiedzieć, że oba te państwa, nie zrobią nic, by Polsce pomóc, że wolą dbać o własne plecy, by im wiatr w nie nie dmuchał. Mając taką pewność mógł nie tylko krzyczeć o zagrożeniu ze strony Polski, ale bez przeszkód przygotowywać się do najazdu na nią.
I robił to z konsekwencją - rozdmuchując najpierw propagandę, wraz z nią zwiększając zbrojenia i rozbudowując armię.

Po każdej wizycie u Baumana, leśniczy miał mnóstwo pracy, do której jak dotąd nie dopuszczał syna. To, co robił, trzymał w tajemnicy. Wreszcie przyszedł czas, kiedy uznał, że i on musi o wszystkim wiedzieć. Któregoś zimowego wieczoru, kiedy po kolacji ojciec usiadł przy huczącym wesoło kominku, Robert od razu wyczuł, że ten wieczór będzie inny. Nie taki, jak zawsze, bo ojciec biorąc do ust fajkę, nie zapalił jej. Patrzył w języki ognia, które z mściwością dławiły polana, splótł dłonie, obracając kciukami dookoła siebie i milczał. On też. Znał ten nawyki wiedział, że ojciec robił to tylko wtedy, gdy miał coś ważnego do powiedzenia. Gdy mu się wydawało, że ten zrezygnował z rozmowy, ojciec nie odwracając głowy w jego kierunku, odezwał się:

- Nie muszę ci tłumaczyć, co się szykuje na świecie. Masz uszy i oczy. Umiesz patrzeć i umiesz słuchać. Tylko to, co ci teraz powiem, jest czymś, co nie może wyjść po za obręb naszego domu. O tym wie tylko matka, ja i teraz będziesz wiedział ty. Gdyby można było to zrobić inaczej, nigdy bym ci o tym nie powiedział, ale nie można. Wcześniej czy później i tak byś się o tym dowiedział. Sądzę nawet, że się domyślasz -





spojrzał na syna. - Czy mam rację?
- Oczywiście tato, ale proszę, mów. Wiedzieć, a domyślać się, to dwie różne rzeczy...
- W porządku. Wiesz, że nie lubię lawirować, więc ci powiem, że postanowiliśmy Rajkę z ojcem jakoś ochronić. Pomóc przetrwać, gdy przyjdzie to najgorsze. A że przyjdzie jest tak pewne, jak dwa razy dwa. Bauman nie chce wyjechać, fabrykant też, a jak oni nie chcą, to reszta też nie wyjedzie. Lewiego jeszcze rozumiem, ale już Baumana i innych, nie. Pan Lewi ma fabrykę i nie chce jej stracić, chociaż i tak to się stanie. On o tym wie, ale on się oszukuje, że może nie będzie aż tak źle i jego życie ocaleje...
Szli potem przez las...
Nie chciał, by wiedział, jak okrutne może być zimno, okrutne i zdradzieckie. Usypia człowieka tak, jak usypiają go do operacji i tam i tu jest to podstępne. Teraz idąc z ojcem, z wysoko postawionym kołnierzem, myślał o tamtej sarnie i o tym, że po raz drugi nie chciałby oglądać takiego widoku. Był na to zbyt wrażliwy, był zresztą wrażliwy na każde zło, na niesprawiedliwość, której wszędzie było pełno. Wałęsała się samopas, czyhając na takich, którzy chcieli ją wyrządzić drugiemu i razem z tym kimś chichotała, że udała się krzywda, że komuś udało się podłożyć nogę. I teraz z tego, co słyszał i czytał - znów nadchodziło zło, chyba wiele gorsze, niż ludzie dotąd znali.
Prawie wszedł ojcu na plecy, gdy ten nagle pochylił się nad czymś, świecąc sobie latarką, ale nie było to chyba nic godnego uwagi, bo ruszył dalej. Ruszył za nim, a myśli o niesprawiedliwości i krzywdach dalej tkwiły w jego głowie. Teraz dla odmiany przyszła mu na myśl Rajka i to czy ona z nim postępuje sprawiedliwie i czy nie wyrządza mu krzywdy. Z pewnością tak. Bo jak nazwać to, że pozwala mu się całować, pozwoliłaby zapewne i na coś innego, ale jej myśli obracają się wokół osoby Eryka. Czy go tym nie krzywdzi, jego, którego uczucie do niej jest tak czyste, jak czysta jest woda w rzece, która płynie obok leśniczówki. Myśli o tamtym, którego ojciec, też wyrządził jej krzywdę. Słyszał gdzieś, że - „jaki ojciec, taki syn”, chociaż to wcale nie musiało się sprawdzać do wszystkich. On też nie chciał być niesprawiedliwy w ocenie Eryka, choć myśl o nim sprawiała mu ból, bo mogło być zupełnie inaczej i wtedy jego ocena byłaby zła. Zła i niesprawiedliwa, a on nie chciał popełniać błędu innych. Lepiej niech się wszystko samo wyklaruje, niech Rajka sama się przekona czy dobrze ulokowała swoje uczucia. Jeśli źle, on zawsze będzie w pobliżu ze swoim prawdziwym uczuciem, czystym tak samo jakim było przedtem...

Wracali tak samo w milczeniu, jak w milczeniu przebyli cały obchód, bo on nie miał ochoty, na rozmowę, a ojciec czując zapewne jego rozterkę, milczał także. Jedno słowo, jakie sobie powiedzieli i to już w domu, było to życzenie sobie dobrej nocy.
Ranek wstał słoneczny i mroźny. Częściowo zamarznięte szyby, na które obficie padały słoneczne promienie, migotały tysiącami kolorów. To rozproszone światło drażniło oczy tak mocno, że nie sposób było patrzeć. Za to chłód mieszkania, gdy wyszedł z łóżka, był bardzo przyjemnie rześki, pobudzający krew w żyłach do szybszego krążenia. Uwielbiał takie wstawanie, w tak skrzypiący za oknem mróz. Gdy szedł po nim wydawało się tamten szeptał cichutko: tak fajnie, tak fajnie. Połóż się na mnie, tarzaj w śniegu, tak fajnie, tak fajnie. Miał wtedy taką, nieprzezwyciężoną prawie ochotę to zrobić i kiedyś zrobił to. Zrobił, gdy był sam z dala od domu i wtedy mógł nawet przysiąc, że ten szept mrozu, słyszał na prawdę. Tarzając się w śniegu, nie bacząc, że wpada mu za kołnierz kurtki, obracał się niczym wałek na cieście. Coraz szybciej i szybciej, aż do utraty tchu. Gdy leżał w bezruchu z rozkrzyżowanymi ramionami, wpatrzony w niebo błękitne i czyste - znów usłyszał ten głos: było fajnie, było fajnie. I tak się czuł. Szczęśliwy, rozradowany, niczym młoda panienka, w podskokach wracał do domu. Potem wspominając, trochę się siebie wstydził, za dziecinadę, która go ogarnęła...
Dni płynęły monotonnie, jeden prawie podobny do tego, co minął i tylko czasem był inny, gdy przyszła Rajka. W takie dni nie mógł się na nią napatrzeć. Była po prostu piękna. W drodze, którą przebywali pieszo, mróz wymalowywał na jej uroczej twarzyczce barwę kolorów, które na próżno starałby się nazwać. Określić je. Była zawsze uśmiechnięta i wydawało się, że szczęśliwa, szczęśliwa, że udało się jej pokonać mróz i przyjść. Może nawet nie tyle, pokonać, co zawrzeć z nim przymierze. On dał jej rześkość, a ona będzie go ogrzewała swoim oddechem, częstowała zapachem swojego młodego ciała i dawała swoją radość. Uczyła się cieszyć, jak może cieszyć się ktoś wolny. A przecież oboje byli wolnymi, i ona i on. Chyba on bardziej. On mógł hulać po polach, lasach, miastach, miasteczkach, drogach i dróżkach. Wszędzie. Wszędzie tam, gdzie chciał. Ona była wolna, bo była niczyja, nie należała do nikogo, była tylko własnością świata, który ją otaczał. Chyba Boga. Ona też była własnością Boga, tylko na chwilę o tym zapomniała. Gdy przychodziła, taka rozpalona przez mróz, różowiutka, przyrównywał ją do aniołka, którego zesłano na ziemię, by utrwalać miłość, która w nim była. Cicha, samotna, przykucnięta na dnie jego serduszka, czekająca na znak, by mogła się objawić. Pokazać, że istnieje, że była od zawsze i chce kogoś drugiego uszczęśliwić, bo osamotniona w swojej miłości, sama była nieszczęśliwa. Tego ranka też przyszła, ledwo zdążył zjeść śniadanie i zapytać o ojca, psy rozszczekały się, ale nie tak jak zawsze - zajadle i

wściekle. Było to szczekanie nasycone ukrytą radością, że nadchodzi ktoś, kogo one polubiły i chętnie witały w tym domostwie, którego strzegły. Nie musiał nawet zaglądać w okno, by odgadnąć, że nie daleko domu jest Rajka. Nauczył się już odgadywać po ich głosach, że to ona. Zachowywały się niczym Indianie, którzy radują się, tylko że tej radości na zewnątrz dojrzeć nie można...

Wyszedł szybko, zapominając, że miał zapytać o ojca, a matka stojąca przy piecu, na ten jego pośpiech, uśmiechnęła się tylko. Ona też wiedziała kto przyszedł.
Wypuszczone psy przysiadły przy furtce, łapiąc w nozdrza znajomy zapach osoby, której jeszcze nie było widać, ale którą znały i polubiły. One czekały, Robert, był zbyt niecierpliwy i był nim odtąd, odkąd zaczęła przychodzić do leśniczówki. Na jej widok zapominał o Eryku i zapominał, że tak naprawdę to nie przychodzi, tu dla niego, ale że w domu czuje się samotna. A jeśli nawet i dla niego, to jest to tak mała ociupinka, że on nie może się nią nasycić. Może dopiero, gdy po kryjomu daje mu swoje usta do pocałunku, nasyca się. Robi to tak zachłannie, jakby się bał, że za chwilę może mu tego zabronić. Z największą chytrością spijał słodki nektar jej ust, żeby nie stracić ani odrobinki tego daru. Jak najwięcej, by ten smak pozostał do następnego spotkania. Teraz prawie pędził w jej kierunku, by spotkać ją najdalej od domu, przycisnąć ją do siebie i wziąć w posiadanie jej zimne usta. Ale, gdy dotknął je swoimi, nagle stawały się gorące, prawie parzące koniec jego języka. Dopiero, gdy zabrakło mu tchu, na chwilę odsuwał ją od siebie, potem biorąc jej twarz ponownie w swoje dłonie, całował usta, oczy, policzki wszędzie, gdzie można było położyć wargi, gorące z pożądania, nad którym nauczył się już panować. Ona uwielbiała takie spotkania, gdy podbiegał do niej i bez pytania brał to, za czym tak tęsknił. Czasem i ona zaczęła odczuwać tęsknotę za tymi kradzionymi prawie pocałunkami, nagłymi i pełnymi niecierpliwości. Tęsknotę za jego ładną twarzą, jeszcze trochę dziecinną, ale już z rysami męskości, świecącej blaskiem radości na jej widok. Powoli zaczęła zapominać o Eryku i jego pieszczotach. Zapomniała nawet o jego widokówce, która była w maleńkim, szkolnym pamiętniku. Jeśli przedtem patrzyła na nią po kilka razy dziennie, teraz leżała sobie spokojnie przykrywająca się powoli czasem zapomnienia.

Dziś i ona nie mogła się doczekać, by wziął ją w swoje dłonie prawie boleśnie i przywarł wargami do jej ust. Gdy zobaczyła, jak do niej biegnie i ona zaczęła biec. Wpadli sobie w ramiona i siłą rozpędu obojga, przewrócili się w śnieg. Zdawali się tego w ogóle nie zauważać, zajęci sobą, tym, co wprawiało ich w nieobecność zapomnienia. W tym zapomnieniu, po raz już drugi był gotów przysiąc, że mróz pochylony nad nimi, gra swoją melodię: och jak fajnie, och jak fajnie. I nie była to melodia złośliwości, była to melodia zachęty, że należy robić coś, co sprawia przyjemność, czyni człowieka szczęśliwym. Mogącym zapomnieć chodź na chwilę o podłościach tego świata, prawie o wszystkim. Nawet o tym, że się istnieje, że się jest tutaj, w tej chwili, na tym śniegu, który niczym pierzyna otula ich swoją powłoką. A oni w swoim uniesieniu, nie czują jego chłodu, nie czują nic poza bólem ust złączonych prawie aż krwi. Szczęśliwość zapomnienia, szczęśliwość niebycia, włączenia się do otaczającego wszechświata, fizycznego zagubienia. Tylko, co będzie czekało potem, jaką trzeba będzie zapłacić cenę za miłość, która może nim zawładnąć i czy będzie to cena, na którą będzie ich stać...
Jeszcze chwilę leżeli spleceni ramionami, a psy, które przybiegły zaniepokojone ich długą nieobecnością, wpatrywały się w nich zdumione. One by wyrazić swoją radość, machały kikutkami ogonków, ludzie się przewracali i to było dla nich niezrozumiałe, wprawiało w zdumienie. Gdy Rajka podniesiona przez Roberta otrzepywała z płaszcza śnieg, one wykorzystały swoją kolej, skacząc na nią radośnie, tarmosząc łagodnie kłami. Ich radość była inna, była po prostu psia.

Ta wizyta też była inna niż wszystkie poprzednie, bo przeciągnęła się aż do zmierzchu i była to tylko zasługa Roberta. Wymyślał dziesiątki sposobów, by Rajka była u nich jak najdłużej, bo on miał swój plan. Jego zachłanność na jej pocałunki była dziś szczególnie duża, jakby czuł, że długo nie będą się widzieć i musi coś zrobić, by jak najwięcej ich po prostu dostać. Nałykać się jej, nasycić niczym ciepłymi bułeczkami, których sytość starczy na bardzo długo. Gdy więc zaczęło się zmierzchać, by ubiec ojca powiedział, że ją odwiezie saniami, chociaż lepiej, by u nich została do następnego dnia. A że było to niemożliwe, bo jej ojciec by się zamartwiał, to ją odwiezie. Leśniczy wymownie spojrzał na żonę, jakby chciał powiedzieć - my też wymyślaliśmy różne okazje, więc i czemu nasz syn nie ma tego robić.
Potem wstał i wspaniałomyślnie oświadczył, że zaprzęgnie tylko gniadosza, bo kary to narwaniec i mogą mieć z nim kłopot. Długo, bardzo długo ten mały epizod swojego życia, Robert wspominał z rozrzewnieniem. Mało tego, pamiętał każde słowo, każdy gest z tego wieczoru. Wszystko, co mówił i co robił, co mówili i robili oboje. Pamiętał jak ściągał konia lejcami, by szedł małego stępa, by ta sanna trwała jak najdłużej, może nawet zamieniona w wieczność. Pamiętał niebo rozświetlone milionami gwiazd, Rajkę przytuloną mocno do niego - jakby chciała, by byli jedną całością, otuloną kocami, by nie zmarzły jej nogi.

I wreszcie pamięta swoje nagle pragnienie, by w tej chwili ich sanie uniosły się wraz z nimi, gdzieś wysoko. Gdzieś, gdzie migotały owe gwiazdy, które mrugając do nich filuternie zdawały wołać ich do siebie. Owe pragnienie było tak mocne, że prawie złudne. Nagle wydawało mu się, że na prawdę się unoszą i nawet krzyknął. Mimo ciemności lasu, pamiętał też zdziwione spojrzenie Rajki i jej pytanie, co się stało? Odparł wtedy szczerze, że czuł jak się unoszą w przestworza i tak bardzo by chciał, aby tak było. Na chwilę nawet zrobiło mu się smutno, że było to coś tak bardzo oszukańczego, że los z niego zadrwił. Jak bardzo boleśnie czasem pamiętał takie szczegóły. Chociaż to, że na owe wyznanie z dziewczęcym śmiechem mocno pocałowała go w usta, wcale nie było bolesne. Ale to chyba ten jeden szczegół. Wszystko inne mogło być bolesne, tylko potem. Tylko dlatego, że się nie spełniło...

Rajka, która wbiegła do mieszkania rozpromieniona, od razu zauważyła, że z tate jest coś źle, że on jest bardzo chory i to było widać. Jego twarz jeszcze bardziej się postarzała, a bruzdy zmarszczek jakby się pogłębiły, jakby ich przybyło. Jego piękne warkocze pejsów, były w nieładzie, mokre od potu, który perlił się na całej twarzy. Na jej wejście, szybko odwrócił się w stronę okna, by nie widziała jego cierpienia, jego choroby, którą tak bardzo ukrywał. Widział jej rozradowaną twarz, gdy weszła i zrobiło mu się bardzo smutno, że jego widok zepsuł w niej całą radość przeżytych niedawno chwil. Ile by dał, by móc to cofnąć, zatrzeć, wymazać. Nie mógł. To był gorszy ból od tego, który go dotknął pół godziny temu i jemu się wydawało, że po tym bólu już więcej nie zobaczy swojej Rajki, a ona jego żywego. Ale Bóg się chyba nad nim zlitował i na nowo, poruszył jego stare serce, które na moment zatrzymało się.
- To nic Rajka - próbował oszukać siebie i ją. - To bardzo nic wielkiego - spróbował się uśmiechnąć, ale był to tylko grymas tego, co można było nazwać uśmiechem. - Twój głupi tate za bardzo napalił w mieszkaniu, byś ty się ogrzała jak przyjdziesz i to dlatego naszła mnie taka niemoc.
- To na pewno z tego gorąca - próbował ją przekonać, do tego, w co sam nie wierzył i nie mógł wierzyć, bo gdy spróbował się podnieść, nie miał siły.
Stała jak skamieniała, patrząc na ojca, wypełniona bólem i strachem. Bólem jego cierpienia i strachem, że on za chwilę odejdzie, zamknie oczy, by je więcej nie otworzyć i zostawi ją samą, jakby chciał ją ukarać. Za wszystkie grzechy, którymi go obraziła i on się na nią obraził. Za to, co robiła z Ickiem, Erykiem i Robertem. Za to, co robiła sama, kładąc się spać. Teraz, patrząc na ojca, chciała krzyczeć na głos, że więcej tego nie zrobi, że bardzo żałuje i bardzo go przeprasza i że zrobi to, co on tylko będzie chciał. Niech tylko zostawi jej tate. Niech lepiej zabierze ją, bo ona tak bardzo boi się zostać sama na tym świecie, na którym nie będzie umiała żyć bez niego, nie będzie umiała żyć w ogóle.
... Milczała. Milczała, bo słowa nie chciały jej przejść przez gardło, nie umiała ich z siebie wydobyć. A może bała się je wypowiedzieć, bała się obiecywać to, czego może potem nie spełnić i jeszcze bardziej go obrazić. I nagle w swojej bezsilności się rozpłakała. Przypadła do niego, nie zdając sobie sprawy, że jest bardzo osłabiony, płakała tak, jak jeszcze nigdy w życiu. A on tuląc ją słabo starał się ją uspokoić, co ani trochę mu się nie udawało. Może się nie udawało, bo było to uspakajanie bez słów, bo nie miał nawet siły ich wypowiedzieć, więc ona płakała dalej, z duszącą w środku bezsilnością, że ani ona, ani on nic nie mogą poradzić na to, co Bóg zarządzi, na to, co on chce.

Gdy się uspokoiła i oprzytomniała z tego rozpaczliwego bólu, czuła, że osłabiony trzyma ją nadal w swoich wątłych ramionach, bojąc się ją puścić, by znów się nie rozpłakała. A ten płacz był dla niego czymś nie do zniesienia, był gorszy niż jego własny.
Nie pamiętała jak długo siedzieli przytuleni do siebie i jak długo milczeli. To milczenie jakoś ich uspakajało, oszukiwało i jego i ją, bo słowami można kłamać, ale niekoniecznie trzeba w nie wierzyć. Gdy się nic nie mówiło, to wtedy wydawało się, że to nic takiego, że to tylko chwilowe niedomaganie, które za chwilę przejdzie. Przeszło. Bauman, któremu ramię już zdrętwiało, delikatnie poruszył córką by wyprostować rękę, bo wydawało mu się, że ona nawet się zdrzemnęła. Gdy spostrzegł, że nie, że dalej przy nim czuwa, powiedział ciepło:
- Nu, Rajka, już wszystko w porządku, czas nam spać. Ostry ból w piersiach już minął, nie zostawiając po sobie prawie żadnego śladu, no może jeden, że może wrócić. Tylko teraz jego powrót może być już ostatni, bo nie będzie miał po co więc przychodzić. Skończy się sam w sobie i skończy w piersi, na zawsze zatrzymując jego serce. Przyprowadzi do niego śmierć, wskaże jej drogę o kogo chodzi i odejdzie, szukając kogoś w kim by mógł się znowu ulokować. Jest podobny do do owej niesprawiedliwości, chodzącej samopas, czyhającej by zawładnąć kimś i dokonać dzieła zniszczenia. Można by powiedzieć, że ból i nieszczęście, to brat i siostra, śmierć ich narzędzia wykonalności...

Gdy Rajka wstała, była rozbita wewnętrznie z powodu prawie nieprzespanej nocy, bolało ją wszystko wewnątrz i na zewnątrz. Co chwilę budziła się, bo zdawało się jej, że z dołu dochodzą jęki i za chwilę usłyszy głos wołający o ratunek. Gdy jednak, zobaczyła swojego tate, prawie radosnego i nawet nie było widać, żeby udawał, ona też się uspokoiła. Może niecałkowicie, bo nie chciała się oszukiwać, że tate jest

zdrowy, ale uspokoiła się na tyle, by oddalić od siebie widmo jego nagłego odejścia. Było to coś w rodzaju silnie wiejącego wiatru, który nagle przestał dmuchać, odlatując gdzieś w dal. Tylko, że zawsze istniała możliwość jego powrotu, a wraz z nim obawa czy czegoś nie zdmuchnie. Być może słabą iskierkę tlącego się w kimś, jeszcze życia.

Choroba ojca spowodowała, że mimo iż tęskniła za leśniczówką, za Robertem, przybywała tam rzadziej. On do niej też przychodził mało, bo w obejściu było sporo pracy. I tak tęskniąc za sobą, ani się obejrzeli, gdy przyszła wiosna, pierwsze burze. Burze, które niosły z sobą już głośne pomruki nadciągającej nawałnicy, która na imię miała Hitler.

Anglia i Francja, krzyczały dalej, że nie opuszczą sojuszniczej Polski, rząd Polski krzyczał, że żołnierze nie oddadzą nawet guzika. I w taki sposób sojusznicze rządy podtrzymywały się na duchu, ale ludzie coraz mniej w to wierzyli. Żartowano nawet, że guzika to może i nie oddamy, bo za cały mundur więcej zapłacą i lepiej go ściągnąć całego. Przy odpruwaniu owego guzika można zrobić dziurę i nie spodziewali się, że dla niejednego stało to się dziurą życiową. Inni ze śmiechem pytali:
- dlaczego Hitler przy pozdrowieniu unosi rękę do góry? - i z takim samym uśmiechem, odpowiadali. Mieli przy tym cichą nadzieję, że ktoś wreszcie te wyciągniętą rękę utrąci. Jeśli nie, te ręce zagarną całą Europę. I ta nadzieja trzymała jeszcze niektórych w wierze, że niedługo wszystko się zmieni.

Na początku czerwca 1939 roku, Rajka dokładnie pamiętała, że był to wtorek, przyszedł posłaniec z fabryki z poleceniem, by jej tate tam się zjawił. Gdy wrócił po dwu godzinach, był bardzo przygnębiony, a może nawet załamany. Długo w milczeniu siedział przy stole z łokciem opartym o szorstkie deski, a dłońmi o twarz. Ona bojąc się odezwać, ze strachem czekała, by coś powiedział, a on jak gdyby czytając w jej myślach, odezwał się cicho. - To już chyba koniec. Stało się to, co stać się miało - podniósł głowę tępo, patrząc w pobieloną wapnem ścianę. - To musi być koniec! - Jej pytające spojrzenie nagle go zirytowało. - No i czego ty tak na mnie patrzysz? Czy ja mogę coś zmienić, czy ja w ogóle coś mogę? Ja nic nie mogę. Ja nawet nie mogę cicho puścić bąka, bo go zaraz za ścianą usłyszy jakiś inny pan Bauman i on też zaraz puści bąka, bo on pomyśli, że tak trzeba. Że może smród odgoni zafajdanego Adolfka.
Pan Lewi postanowił wszystko zostawić i wyjechać. A jak wyjedzie pan Lewi, wyjadą inni Żydzi, bo oni pomyślą, że tak trzeba. A on ciągle mówił, że on zostanie, bo tylko tu jego miejsce. A teraz on mi płacze w rękaw, że on musi, bo on musi ratować swoją żonę i swoje córy.

- A ja, co? - odwrócił się w kierunku Rajki. - A ja, co, czy ja nie mam kogo ratować? – umilkł jakby przestraszony swoim wybuchem.
- Nu, tate, to, co my zrobimy? - patrzyła na niego swoimi dużymi brązowymi oczami, w których widać było strach. - Skoro pan Lewi wyjeżdża, to może i my wyjedźmy - poradziła nieśmiało, ale zaraz zrobiło się jej żal, że musiałaby opuścić Roberta. A może wróci i Eryk...
- Pewno, że wyjedziemy - wstał i podchodząc, pogłaskał ją po głowie.
- Tylko jeszcze nie wiem kiedy. Ale na pewno jako ostatni. Twój tate jest bardzo bogaty, ma dużo, dużo złota. A teraz ludzie na złoto są bardzo chciwi. Teraz za złoto można kupić życie i twój tate ci je kupi, ty będziesz żyć i będzie bogata. Tylko ty musisz być mądra, bardzo mądra! - Na czym ta mądrość ma polegać na razie nie powiedział. A może po prostu chciał, żeby tą mądrość znalazła sama.
To, co przewidywał stary Bauman, spełniło się jota w jotę. Gdy z pierwszymi ciepłymi dniami lipca, fabrykant opuścił miasteczko, inni Żydzi, zaczęli robić to samo. Cichutko, chyłkiem, jakby wstydzili się swojego czynu. On patrzył na to najpierw z politowaniem, a gdy z końcem lipca żadnego Żyda, oprócz niego nie było w miasteczku, nie dziwił się. Nawet ich trochę rozumiał, nie mógł tylko zrozumieć jednego, czemu robią to prawie skrycie. To, że chcą opuścić miasteczko, ich wieżę Babel, w porządku ale to, że Żyd wstydził się drugiego Żyda było nie w porządku. A to, że jeden drugiego zaczął się bać, było bardzo nie w porządku. On się nie bał o siebie, jeśli się lękał, to o swoją Rajkę, ale też nie za dużo. Wierzył w potęgę złota i wierzył, że ono ją uratuje. Czasem czuł się trochę bojaźliwie i niepewnie. Po prostu obawiał się czy nie krzywdzi leśniczego, nie do końca wierząc w to, że to co chce zrobić, robi całkiem bezinteresownie. On, Bauman z nie jednego pieca chleb jadł i wiedział, że w interesach nie może być mowy, że robi się coś za nic. Taki interes to niepewny interes i na taki interes trzeba uważać. Oni są dobrzy znajomi, bardzo dobrzy, ale on jest Żyd, a pan leśniczy jest Polak. Tak było i tak zostanie. On Żyd potrzebuje ubić z panem dziedzicem interes i on za ten interes zapłaci. Zapłaci uczciwą cenę. Gdyby pan dziedzic potrzebował ubić interes z nim, Żydem, też by chciał zapłacić i on Bauman by tych pieniędzy... No właśnie, ja bym tych pieniędzy nie wziął, bo ja go bardzo szanuję. A jeśli szanuję, to czemu go obrażam swoimi pieniędzmi?...

Dalej nie był pewien, gdzie tkwi prawda, czy leśniczy chce tych pieniędzy czy ich nie chce. Tylko gdyby chciał, dawno mógłby je mieć, a on ich nie chce wziąć. Ponieważ dzień był nie za gorący, ot taki w sam raz na przejażdżkę, postanowił jechać do leśniczówki, dopiąć wszystko na ostatni guzik i pozbyć się swoich wątpliwości.

Rajka, która uparła się też być w leśniczówce, musiała iść na pieszo, bo nie miała od kogo pożyczyć roweru. Teraz miasteczko nagle jakby zbiedniało, gdy zabrakło w nim Żydów, którzy byli jego głośnym kolorytem.   Zabrakło Żydów, zabrakło rowerów, zgiełku przez nich robionego, przekrzykujących się Żydziątek. Najbardziej jednak brakowało czegoś, do czego od lat byli wszyscy przyzwyczajeni i teraz, gdy tego nie było, nie mogli odgadnąć, czego im brakuje?   Stukotu krosien, pukania czółenek o bidła, które poganiały je zmuszając swym uderzeniem, do pracy. Ten stukot, wypełniał ulice, gdzie oni mieszkali i wypełniał jeszcze kilka dalej. Wypełniał prawie całe miasto. Teraz ta cisza była jakaś zło-wroga, drażniąca uszy, które były przyzwyczajone do tego ciągłego pukania Teraz odczuwały jego brak. Nawet trudno było bez tego stukania żyć.

Gdy była już w połowie drogi, usłyszała rżenie konia i turkot bryczki pędzącej po wybojach lasu i hałasującej skrzypiącymi resorami. Ona nie musiała odgadywać, kto jedzie, ona to wiedziała i by go trochę zwieść, schowała się za drzewo poukładane w metry. Było świeże, pachnące lasem, żywicą, grzybami i wszystkim, co w tym lesie rosło. Gdyby bardzo się starała poczułaby zapach jagód i borówek, leśnego runa i gnijącego w igliwia, nawet zapach leśnych zwierząt.
Robert siedzący dość wysoko, zobaczył jej czarną czuprynę włosów, ale by zrobić jej radość z psikusa, przejechał miejsce, gdzie się ukryła. Po kilkunastu metrach, zatrzymał konia i nim się spostrzegła, już była w jego ramionach. Długo spijał nektar słodyczy z jej wiśniowych ust. Tym razem jednak powoli, delikatnie, już bez poprzedniej chytrości. Już wiedział to, czego ona dopiero miała się do- wiedzieć, wiedział, że już nie długo będzie ją miał bardzo blisko. Prawie na wyciągnięcie dłoni i nie będzie już musiał całować jej na zapas.
Gdy dojechali do leśniczówki, oprócz matki nie było nikogo. Nie musiał nawet jej pytać, bo wiedział, że oglądają miejsce, które za nie długo może być miejscem ich schronienia i nie wiadomo, na jaki okres. To tylko zależało od tego, kiedy Hitler połamie sobie zęby. Mogło to być za kilka miesięcy, ale równie dobrze za kilka lat. Nikt tego nie wiedział, jak i tego, czy zadowoli się tylko najazdem na Polskę, czy posmakuje tak, że nie będzie chciał się zatrzymać. To drugie było bardziej prawdopodobne. Maniacy mają to do siebie, że nawet widząc swój upadek, ciągle wierzą w swą szczęśliwą gwiazdę. Gwiazdę, która albo dogasa, albo od dawna nie świeci, tylko oni tego nie widzą, zaślepieni uporem tego, co zaczęli robić. Dotykają ognia, parząc się, dmuchają i na powrót, dotykają ten sam ogień, by wreszcie spłonąć. Spłonąć w ślepej wierze, że są wybranymi do tego, by zmienić świat. Tylko, że świat zostaje, a rodzą się inni maniacy i tak w kółko. Maniacy odchodzą, świat trwa dalej. Tylko już nie ten sam gorszy, bo on, to maniactwo wciąga, jak gąbka wodę i jak ta gąbka coraz bardziej staje się brudniejszy. Ale czy zdoła go ktoś, kiedyś oczyścić, chyba tylko sam Bóg. On go stworzył i jeśli będzie chciał, by był jak na samym początku, sam musi go oczyścić. Ludzie są do tego nie zdolni. Są zbyt zachłanni. Ciągle wszystkiego mają za mało i dlatego go niszczą, zamiast ratować. Przerażająca filozofia, przerażająca wizja świata, przez narodzenie się nowego maniaka Hitlera. On ten świat chce oczyścić z tego, co nie jest aryjskie. Bo tylko wtedy on może być dobry, czysty.

Siedzieli z Rajką na balustradzie mostu, wpatrzeni w leniwie płynącą wodę, ona była lustrem, które pokaże, co przyniesie nadchodzący czas. Z leśnego duktu, wyłoniły się najpierw psy, a po chwili ich ojcowie. Widać było, że jakby oboje są wzburzeni, chociaż starają się to ukryć. Rajka pierwsza zeskoczyła z poręczy, podbiegając do ojca. Jego marynarka i spodnie, ubrudzone były czarną ziemią, jakby się po niej czołgał.
- Tate, czy ty bawił się w kreta? - zaśmiała się spostrzegając, że i jej ubranie też jest ubrudzone od ziemi. - Ja jestem skłonna myśleć, że ty był naprawdę kretem, dłonie masz umorusane.
- Ty nie bądź taka przemądrzała - oparł się plecami o balustradę mostu, otrzepując ubranie. - Ten kret musiał coś zobaczyć, on musiał zobaczyć... Aj, to nie takie ważne, co ja musiał zobaczyć. Nu, na pewno ważne... ja już nie wiem, co takie ważne, że trochę z panem leśniczym się posprzeczałem, ja teraz nie wiem, co ja mówię. - Panie Durkacz, pan mnie powiedz, czy ja wiem, co ja mówię? - popatrzył błagalnie na leśniczego - no, czy ja wiem czy nie wiem? - zabawnie zamrugał oczyma.
- Chyba pan nie wie – odparł leśniczy - Jeśli ja mówię, że o żadnych pieniądzach nie może być mowy, to nie może. Może pan płacić tylko tyle, ile będzie to kosztowało i nic poza tym...
- Nu, to dobrze, to bardzo dobrze. Ani pan ani ja, obaj nie wiemy, ile to będzie kosztowało, więc ja panu chcę dać sumę, o której mówiłem. A pan mi mówisz, że ja pana obrażam. Nu, to czym ja pana obrażam? Czy tym, że ja chcę panu zapłacić za coś, co będzie kosztowało? Nu, my się nie sprzeczajmy, jeśli to nie będzie kosztowało tyle, ile ja panu daje, to pan mi resztę wróci. I w czym mi tu obraza? Pan mi powiedz, panie dziedzic, ja pana bardzo przepraszam. Ja wiem, że pan nazywasz się Durkacz, tylko co ja zrobię, jak pan tak bardzo wygląda na dziedzica i mnie tak lepiej mówić. Jeśli to też pan obraża, to ja już będę uważał, ja będę mówił: panie dziedzic! Nu, widzi pan, ja się ciągle mylę. Ja nie będę

się mylił, jeśli my wypijemy po kieliszeczku koszernej. My sobie pójdziemy, a młodzi niech sobie gadają. Rajka, ja mam nadzieję, że ty jesteś dobra dla młodego panicza, ty się z nim nie przekomarzaj, jak ja z panem dziedzicem... Oj, chodź pan, bo bez mojej koszernej ja nic nie zmienię. Ciągle będzie dziedzic i dziedzic, aż pan mnie wygonisz.
I będziesz pan miał rację. Ale co ja się będą tłumaczył, pan przecież wiesz, pan znasz Żydów - odeszli zostawiając młodych samych.
Rajka w milczeniu patrzyła za odchodzącymi, a po chwili pytająco spojrzała na Roberta. A on patrząc na nią wyczytał w nich filuterny błysk, którego w żaden, sposób nie umiał wytłumaczyć.
- Coś mi się wydaje, że mój tate postanowił mnie wydać za pana Roberta, tylko jakoś nie mogą zgodnie ustalić ceny wesela.
Wybuchnął śmiechem od razu odgadując, co znaczył ów filuterny błysk jej oczu i przynajmniej na razie nie chciał wyprowadzać jej z błędu. Miał okazję by wysondować, co ona o tym myśli. On zrobiłby to bez wahania.
- A czy zła byłaby z nas para - jego uśmiech stał się pytający i zarazem lekko szalony. - Czy aż tak jestem brzydki, że się zastanawiasz? Czy może ciągle jeszcze czekasz na swojego królewicza, który zwiał w tak haniebny sposób? - Myśl o Eryku powróciła niczym bumerang powodując przykre uczucie, że mimo wszystko dalej o nim myśli.
- Czy ty wszystko musisz zawsze psuć? - odwróciła głowę, by czasem nie zobaczył łez, które nagle zaczęły piec końcówki powiek. Nie dlatego, że przypomniał jej Eryka, ale dlatego że teraz chciała jego. Może jeszcze nie tak do końca, ale gdyby teraz obaj stanęli obok siebie, wybrałaby Roberta. Chwile, które z nim spędzała, przywiązały ją do niego, zaczęły rozpalać uczucie, uczucie takie, jakie on już do niej miał i wcale tego nie krył. Polubiła jego bezpośredniość, jego ciągle błąkający się po ustach uśmiech. Jego żarty i te gorące pocałunki. Te nagłe, skradzione z ukrycia i te, które brał delikatnie z rozmysłem, trzymając ją lekko pod brodę. Muskał jej wiśniowe gorące wargi, potem delikatnie lekko zadarty nosek, oczy policzki, czoło. Opierając się łokciami o balustradę mostu, nisko opuściła głowę, jakby chciała, żeby napływające łzy spadły do rzeki. Żeby nie było po nich śladu, żeby ich nigdy nie dostrzegł, nie ujrzał bólu, jaki jej sprawił. A on w jednej sekundzie zrozumiał to, co ona chciała ukryć, zrozumiał, że palnął głupstwo, że powinien swoją zazdrość trzymać na wodzy, nie pokazywać jej. To była jego choroba i on sam powinien się z niej wyleczyć. Nie bacząc nawet na to, że z okien kuchni są doskonale widoczni, przygarnął ją do siebie. A gdy przytulił swoje policzki do jej, wyczuł ich wilgotność.
- Przepraszam - szeptał między jednym a drugim pocałunkiem.
- Naprawdę nie chciałem. To jakoś samo wyszło, to ta moja zazdrość... =
- przepraszał, choć tak naprawdę nie był pewien dlaczego jej policzki roszą łzy. Czy były to łzy, że sprawił jej ból, czy płynęły dlatego, że odżyły wspomnienia pokryte upływającym czasem. Wolał sądzić, że uraził jej uczucia do siebie, że o Eryku dawno zapomniała. Tulił ją do siebie, jak tuli się skrzywdzone dziecko, by w tym geście utulić kogoś, kogo się uraziło. Jego słowa: „nie płacz proszę", odnosiły odwrotny skutek i jej coraz większe łzy spadały do rzeki, topiąc się wraz z żalem, który je spowodował. Gdyby się za chwilę nie uspokoiła, na pewno i z jego oczu popłynęłyby też łzy, bo już je czuł, napływające wraz z czymś, co zatykało mu gardło.

Jakby czując, co się w nim dzieje, zarzuciła mu ramiona na szyję i dotykając językiem ucha, szepnęła:
- Już dobrze, nic się nie stało. Ja już o wszystkim zapomniała - odchyliła się troszkę do tyłu uśmiechając się poprzez resztki łez, filuternie zapytała:
- Czy naprawdę chcą nas ze sobą połączyć?
- Nie wiem - też się uśmiechnął – ale cóż oni mogą, to my musimy chcieć...
- To ja chcę - nie dała mu dokończyć... - Ja chcę na prawdę, to może być nawet jutro, dziś. Kiedy tylko zechcesz.

W tej chwili uniesienia myślała tak na prawdę, była tego pewna.
- Nie tak szybko - ostudził jej zapał, na powrót przyciskając ją do siebie.
- Myślę, że oni wcale o nas nie mówili. Oni rozmawiali Żydach, o was o tobie i twoim ojcu. Idzie wojna i słyszysz chyba jak Hitler wyraża się o Żydach. Ja nie umiem ci tego wytłumaczyć, ale mogę ci tylko powiedzieć, że twój ojciec, kiedyś przyjdzie do nas i wszystko nam wyjaśni. Teraz chodź troszkę na groblę, bo za nie długo będzie Obiad. Chyba nie najadłaś się, łykając łzy - pociągnął ją za rękę i po chwili zniknęli w gąszczu wysokich traw.
Byli szczęśliwi i roześmiani i nawet zbliżająca się wojna, nie mogła zakłócić ich szczęścia. Po powrocie do domu Robert, który odwiózł ich bryczką, przyjął zaproszenie Baumana na dobrą żydowską herbatę, po której ponoć zapomina się o troskach. On sam już ich nie miał, ale tylko tych, które wynikły z narady z panem Durkaczem. Uzgodnili wszystko i on zrozumiał, że to wcale nie chodzi o jego złoto. Nawet, gdyby go nie miał i tak mógłby liczyć na pomoc tych ludzi, on zawsze mógł liczyć na ich pomoc. Teraz, gdy przyjechali do domu, on specjalnie zatrzymał młodego panicza na herbatkę i gdy tak w trójkę siedzieli przy stole, odezwał się:
- Ja nie muszę pytać panicza, czy panicz lubi Rajkę. Ja to widzę i ja wiem, czego ja bym chciał - spojrzał na córkę. - Czy ty lubisz pana

Roberta? - widząc jej nagły rumieniec, jakoś odruchowo zaczął skubać brodę. - Rajka, ty nie oszukasz starego ojca i ty posłuchaj, co on ci powie - pierwszy raz spostrzegła, że jego siwe oczy stały się zimne i bardzo poważne.
Ona nigdy nie widziała u niego takich oczu. One jej mówiły, że ona musi zrobić wszystko, co jej powie.
- To, co ja ci powiem, dotyczy też pana Roberta i ty się tak nie rumień - jego dłonie, spoczywające na blacie stołu, jakby lekko drżały.
- Ty raz na zawsze musisz zapomnieć o jakimś Eryku - wyraz oczu nie zmienił się ani trochę.
Przeciwnie były jeszcze, bardziej zimne.
- On umarł dla ciebie tak, jak umarła twoja mame - ciągnął dalej. - Moje chore serce długo już nie wytrzyma i ty musisz patrzeć na kogoś, kto cię lubi i ochroni. Nigdy nie oczekuj pomocy o tych, co uciekają, oni sami potrzebują pomocy i ani tobie, ani komuś innemu jej nie dadzą. My uzgodnili z panem leśniczym, że my nigdzie nie będziemy uciekać, to znaczy ani ty, ani ja. Jak zajdzie potrzeba, my zostaniemy w leśniczówce, my tam będziemy bezpieczni. Ja to bardzo dobrze wiem i ty mi zaufaj. Ja za długo owijam wszystko w bawełnę, ja ci tylko chciał powiedzieć, że moje życzenie jest takie, żeby ty została żoną pan Roberta i możesz nie zostać jego żoną tylko wtedy, gdy on by cię nie chciał. Tylko ja widzę, że on cię chce i ja więcej mówić nie będę. Ja ci tylko jeszcze powiem, że gdyby coś stało się z twoim tate, wszystko co potrzeba jest u pan Durkacza. Ja mu ufam, ja mu bardzo ufam i dlatego ty się masz niczego nie bać, gdyby twój tate musiał gdzieś iść. Czy ty mnie zrozumiała? - widząc oddanie w jej oczach, gdy na niego patrzyła, wstał i podchodząc do niej, pogłaskał po głowie. - Ty jesteś dobrą córką i taką musisz być żoną! - Jakoś szybko odwrócił od niej głowę i podszedł do okna...
- Słońce już powoli gaśnie - odezwał się cicho i bez związku. - Jak ono pięknie gaśnie - zamilkł, a Rajka i Robert wpatrzeni w jego starcze, pochylone policzki spostrzegli, że jakoś dziwnie drgają. Jakby całe jego ciało przenikały dreszcze gorączki. Zrozumieli, że płakał. Płakał cicho, bezgłośnie, a ona pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała, by jej tate tak płakał.. Poczuła się strasznie zagubiona i też pełna płaczu. Gdy poczuła w swojej dłoni rękę Roberta, ścisnęła ją mocno, jakby chciała powiedzieć - Ty musisz być kiedyś moją opieką. On jest już stary, on czuje, że niedługo musi odejść. On niedługo odejdzie.
Robert, oddając jej uścisk, wstał i powoli podszedł do starego Żyda, i kładąc swoją dłoń na jego ramieniu powiedział:
- Pamiętam pana słowa sprzed kilku lat, jak pan powiedział do mojego ojca: „ Bóg wie, czego chce, a my musimy spełniać jego przykazania i robić to, czego on chce”. Niech tak będzie! - Dalej uścisnął jego ramię i podchodząc do drzwi, zatrzymał się na moment, a ona myślała, że chce pocałunku, podeszła do niego. - Na mnie już czas - uśmiechnął się, ale nie miał odwagi jej pocałować. Teraz tak, jak on to robił, wzięła jego twarz w swoje dłonie i bez najmniejszej żenady pocałowała go w usta.

Wyszedł i odwiązując konia przywiązanego do drzewa spojrzał w okno. Było puste. Tylko lekko falująca firanka świadczyła, że ktoś od niej odszedł, że ktoś jej dotykał. Stał jeszcze chwilę, jakby w nadziei, że ktoś inny się pojawi w oknie, uśmiechnie się, pomacha ręką. Nie doczekał się. Córka z ojcem stali na środku pokoju, mocno do siebie przytuleni. Stali w głęboki milczeniu, chociaż oboje wiedzieli, że muszą pogodzić się z tym, co chce Bóg. Robert im tylko jakoś mimochodem o tym przypomniał.
A jeśli musieli się z tym godzić, ani słowa, ani płacz nie były potrzebne. To, co się miało stać i tak się stanie. To tylko kwestia czasu i trzeba go przyjąć takim, jaki jest.

Robert wracał do domu przez jak gdyby uśpione miasteczko. Teraz po opuszczeniu go przez Żydów, zrobiło się jakieś puste, pozbawione kolorytu. Mijał nową bożnicę, z pięknej, czerwonej cegły, teraz ziejącą pustką okiem, na których szybach osiadł kurz miasteczka. To już nie była ta wieża Babel, wesoła i rozkrzyczana, pełna życiowego temperamentu, wigoru młodzieńca. Była smutna, powalona na kolana, niczym bokser, bez chęci do dalszej walki.

Napawało go to smutkiem, tylko zagłuszanym odrobiną radości po tym, co powiedział Bauman. Rajka została mu dana, jak się podaje obiad głodnemu, a że on był jej głodny, nie mógł tego obiadu odrzucić. Mało tego, miała prawie nakaz i był to nakaz, że musi być jego i tylko dla niego miały być te obiady. Może ten pierwszy został mu podany trochę z przymusu, ale to oddalało widmo tego, że będzie musiał dzielić się tym obiadem z kimś innym. Albo po prostu o niego walczyć. Teraz nie musiał robić ani jednego, ani drugiego. Był pełen wdzięczności dla starego Baumana, i prawie go kochał za to co zrobił Gotów był nawet do innych poświęceń, ale z biegiem ubywającej drogi nachodziła go refleksja. Zadawał sobie pytanie: czy oddałby mu córkę, gdyby czasy były inne, gdyby nie musieli się niczego obawiać? Mało tego, czy on miał prawo przyjąć taką darowiznę, która być może została wymuszona tym, co nadchodziło wielkimi krokami – wojną. Czy ma do tego teraz prawo, by wykorzystywać taką sytuację? Przecież ojciec go zawsze uczył, czyż nie powtarzał, że nigdy nie należy robić coś za coś. Jeśli coś robimy, musi

wypływać to z naszego wnętrza, ale bez oczekiwania, że ktoś nam się odwzajemni Musi z tego powodu, też dla nas coś zrobić. Przekroczył próg, który wyznaczył ojciec, sięgnął po coś za coś. Sięgnął, nie bacząc czy ten ktoś chce mu to dać, czy ona z całkowitym przekonaniem by to zrobiła, gdyby nie miała nakazu ojca. Gdy był blisko domu, czuł się podle. Dobrze przynajmniej, że wiedział dlaczego. Wiedział, że przekroczył jedno z przykazań ojca i to się zemściło. Ale za nim wjechał w bramę podwórka, przyrzekł sobie, że nigdy nie weźmie jej za żonę wbrew jej samej i zawsze uszanuje jej wybór. Bez względu na to, jakim by on nie był...

Od tego czasu upłynęły zaledwie dwa tygodnie i nic już nie pozostawiało złudzeń, że Hitler napadnie na Polskę i że w tej walce ona zostanie osamotniona. Teraz należało tylko czekać, kiedy to się stanie, a stać się mogło w każdej chwili. Pomruki wojny były tak głośne, że było to kwestią dni, kiedy wybuchnie...



Była połowa sierpnia, Rajka ten czas zapamiętała do końca życia. Dzień był pochmurny i od rana czuć było, w nim jakieś napięcie i podrażnienie wszystkich, którzy w miasteczku zostali. Ludzie przechodząc obok siebie, jakby się nie poznawali, zajęci własnymi kłopotami, chociaż one były dla wszystkich jednakowe - co dalej? Zapamiętała ten dzień, bo Robert przyjechał do nich na spoconym koniu, osiodłanym tylko kocem i ledwie go przywiązał do drzewa, wpadł do mieszkania. Nawet nie zdarzył nic powiedzieć, gdy ojciec leżący na kozetce, odezwał się spokojnie:
- A więc jednak - ciężko wstał, ale zaraz usiadł na powrót. - Miałem nadzieję, że to wszystko się rozejdzie, ja zawsze miałem nadzieję, taką nadzieję. Oj, ja głupi Żyd, dlaczego ja tak myślał, ja chciał oszukać sam siebie i sam siebie oszukał. Kiedy mamy wyjechać - spojrzał na Roberta.
- Już dziś, proszę pana - nie patrzył na Rajkę, bo mu się żal zrobiło tego starego, chorego człowieka. - Dzisiaj... - powtórzył. - Reszta jak było uzgodnione z ojcem.
- Nu, więc będzie co ma być. Moja ostatnia nadzieja odeszła, więc i my z Rajką też musimy. Pan Robert niech powie ojcu, że ja już wszystko wiem, że pamiętam, co i jak, będziemy tam, gdzie mamy być - potem już nie patrząc w jego kierunku odezwał się do córki. - Rajka, ty o nic mnie nie pytaj. Ty spakuj wszystko, co najbardziej potrzebne i wyjeżdżamy. Pan Durkacz odwiezie nas na stację do Ł... A teraz ja idę się pomodlić - wyszedł nie zamykając nawet drzwi, a Robert za nim. Zrobił to z ociąganiem, ale nie chciał, by jego uczucie wzięło górę. Chciał uniknąć pytań. By jednak nie zostawiać jej tak nagle nic nie rozumiejącą. Chciał stając z rękoma opartymi o futrynę, powiedzieć:
- Nic się nie martw. Niedługo się zobaczymy. Najdalej jutro wieczorem - nie powinien jednak wracać, chęć przytulenia jej, pocałowania była tak silna, że wrócił, mocno całując jej zawsze wilgotne usta. Wybiegł. Jeszcze chwilę, a nie miałby już na to siły. Była taka zagubiona i taka bezradna, że na ten widok, czuł ukłucie w okolicy serca.
Gdy stary Bauman wrócił z bożnicy, zastał córkę siedzącą przy stole, tępo patrzącą w makatkę wiszącą nad kozetką. Nawet nie odwróciła się, gdy wszedł. Siedziała dalej w tej samej pozycji, jakby to była kukłą, a nie żywym człowiekiem. Sam stał chwilkę bez ruchu sądząc, że nie słyszała jego wejścia, ale gdy chrząknął, a ona dalej siedziała, pomyślał, że może nie żyje. - Nu, co tobie podszedł dotykając jej ramienia. - Czy ty śpisz, jak zając z otwartymi oczami. Dlaczego ty nic nie spakowała? - jego głos stał się lekko rozdrażniony, a ona za całą odpowiedź, nagle się rozpłakała, kryjąc twarz w dłoniach.
- Ja nie chcę stąd wyjeżdżać, tate. Ja chcę tu zostać - starała się opanować płacz. - Gdzie my pojedziemy? Czy do starej ciotki? - wstała, przypadając do jego starością wysuszonej piersi. - Ja nawet nie wiem, co my mamy wziąć. Ty mi nic nie powiedział... Nie mogąc zapanować nad płaczem szlochała dalej, mocząc jego stary żydowski chałat. Tak stary, chyba jak on sam.
Głaskał ją delikatnie po drgających od płaczu plecach, starając się jakoś ją uspokoić.
Ten dzień jest pełen płaczu - pomyślał - on nie dawno też płakał. - A za niedługo cały ten świat będzie płakał...
- Ty daj już spokój. Ja tobie powiem, co ty masz spakować i ty się pospiesz. My musimy zdążyć jak przyjedzie pan Durkacz. To, co zostanie on zabierze do siebie. No ty już nie płacz, ty będziesz bardzo blisko stąd... Chociaż nie będziesz mogła tego zobaczyć - dodał tak cicho, że tego nie dosłyszała. - Od jutra oboje będziemy widzieli bardzo mało... - tego też nie dosłyszała. To już stary dopowiedział sobie w myślach...

W trzy godziny potem siedzieli w niemożliwie zatłoczonym pociągu, jadącym do Cz... Drewniane wagony, stękały i trzęsły się, jakby za chwilę miały rozlecieć się na kawałki. Jakoś nikt nie zwracał na to uwagi i oprócz rytmicznego stukotu kół, cisza panowała w przedziale. Ludzie pochłonięci myślami co przyniesie jutro, nie mieli ochoty na rozmowy. Ci, co siedzieli, siedzieli pochyleni, prawie z głowami między kolanami, poruszając się w rytmie jadącego pociągu. Dopiero na którejś stacji, gdy było już ciemno, do przedziału wcisnęło się dwóch młodych poborowych i zrobiło się weselej.
- Co tak, szanowni państwo, rozbawieni, jakby jechali na zbiorowy pogrzeb - ich akcent zdradzał kogoś z Warszawy. - Troszkę ducha i

melodii, a będzie weselej - któryś wyciągnął organki i chociaż Rajka starała się dojrzeć jego twarz w słabym świetle lampy, nie udało się jej. Zabrzmiało kilka akcentów i zaraz po wagonie rozbrzmiały słowa:
- „Żołnierz drogą maszerował...” piosenkę zaczęli śpiewać sami, ale już po chwili na cały przedział słychać było głośno śpiewaną piosenkę, chyba przez wszystkich, którzy jechali na tułaczkę. Rajka też nuciła, cichutko, jakby się wstydziła, by jej nikt nie usłyszał i choć miała ochotę zrobić to głośniej, powstrzymała się.

Po sześciu godzinach jazdy, już w głośnych rozmowach i śpiewach, wysiadali w Cz...
Poborowy, który podał jej rękę przy wsiadaniu, śmiejąc się zawołał:
- Zapraszam paniusię na pogrzeb Hitlera. Proszę dać mi całusa, a po takim adresie na pewno do pani trafię...
Stanęła na chwilę zatrzymując wychodzących i sama, nie wiedząc dlaczego, nadstawiła usta. Poczuła najpierw zapach alkoholu i papierosów, a dopiero potem namiętny pocałunek. Długi i gorący. Taki, jakim częstował ją Eryk. Sama nie wiedziała, dlaczego nie pomyślała o Robercie, tylko o nim. Może dlatego, że Eryka też było czuć papierosami, a Robert nie palił. Może dlatego, że gdy pierwszy raz poczuła smak pocałunku Eryka, poczuła najpierw zapach wódki, a potem dopiero smak jego ust na swoich. To był jej prawdziwy, pierwszy pocałunek, a takich się nie zapomina. Ona też nie zapomniała.
Ogromna stacja była zatłoczona do granic możliwości i była zdziwiona, że tyle ludzi może się tutaj pomieścić, nie mówiąc już o czekającym pociągu do Ł... Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy ojciec z biletami, właśnie do tego pociągu kazał jej wejść.
Siedzieli oparci o drewniane obicia, dziwnie pachnącego przedziału. Był to zapach stęchlizny, wilgoci niewietrzonych ubrań. Pociąg był o wiele mniej załadowany niż sądziła, bo większość ludzi gniotących się na peronach, jechała w przeciwnym kierunku. Więcej na południe, niż na zachód, byleby dalej od granicy, gdzie Hitler już jawnie koncentrował swoje wojska.

Siedziała z głową opartą o chłodną szybę okna, otępiała tym, co się wokół niej działo. Nie mogła zrozumieć, dlaczego wracają z powrotem, a bała się zapytać o to ojca. To wszystko było wywrócone do góry nogami, spieszący gdzieś ludzie, zagubieni w swoim pośpiechu. Chyba nawet niewiedzący, gdzie i po co zmierzają. Jeszcze nie dawno słyszała, że nie można mieć zaufania do kogoś, kto ucieka, a teraz oni sami uciekali. A może już wracali - zastanowiła się. Nagle przyszło jej na myśl, że w tych ucieczkach, ludzie o sobie zapominają, nawet wtedy, gdy kilka lat mieszkali obok siebie. Zapomniała pożegnać się małą Esterkę, zapomniała maleńkiego Salomona, który zawsze wyciągał od niej cukierki. Zapomniał też o Icku, któremu tak dużo wrażeń dawała. Teraz prawie zobaczyła go przed sobą, uślinionego i sapiącego z rozkoszy. W ciemności uśmiechnęła się do swoich wspomnień, zastanawiając się czy wrócą jeszcze czasy beztroskich zabaw i małych świństewek. Świństewek, które robiła sobie sama, leżąc nago w łóżku. Z goryczą pomyślała, że już nawet nie robiło się jej ciepło na ciele i prawie odruchowo chciała wsadzić rękę pod majtki. Był to odruch tak nagły, że uderzyła drzemiącego tate gdzieś w bok i odruchowo, szybko cofnęła dłoń. Spojrzał na nią, ale w słabym świetle peronów, nie dostrzegł przyczyny ruchu ręki córki i jednym wytłumaczeniem było to, że się zdrzemnęła i nagłego obudzenia ją czymś ze snu. Na powrót oparł głowę o ścianę i szukając po omacku jej dłoni, wziął ją w swoją kościstą, wątłą dłoń. Drgnęła, bo ten dotyk był zimny, przejmujący ją dreszczem. Był jakby dotykiem śmierci. Nie cofnęła jednak ręki, nie chciała zbudzić starego, chorego tate. Trzymała swoją dłoń w jego, chociaż czuła jak drżą jej palce. Zrobiło się jej żal, że brzydzi się dotyku kogoś, kogo przecież kochała kogoś, kto był przyczyną, że przyszła na ten teraz tak zagubiony świat. Mocniej ścisnęła jego dłoń, jakby tym chciała wynagrodzić swoje nagle obrzydzenie do rąk, które ją nosiły. Nosiły tuląc, gdy płakała nosiły, gdy nie płakała, ale chciała by ją noszono. A gdy tego nie robiono, wymuszała tupiąc małymi nóżkami i przypominało to stukot pociągu, który już od jakiegoś czasu, nabierał rozpędu. Ona zajęta swoimi myślami, nawet tego nie zauważyła. To, co się z nią działo pochłaniało ją całą.

Jej taty chyba mocno zasnął, bo jego dłoń wyślizgnęła się z jej i opadła, luźno zwisając znad ławki. Nie chciała, by spał. Bała się. W tej ciżbie ludzi czuła się samotna i zagubiona, jak maleńka owieczka, która odłączyła się od stada. Chociaż je widziała, bała się, że je straci, że znikną jej z oczu. Odnalazła dłoń ojca i już bez żadnych skojarzeń, trzymała w swojej, delikatnie głaszcząc ją kciukiem, jak czasem głaskała Eryka, jak robiła to Robertowi. Zaraz też przyszło jej na myśl, że jest straszną oszukanicą. To, co robiła jednemu, przenosiła na drugiego. Powtarzała te same pieszczoty i jak dotąd nie było jej stać, by jej myśli były tylko przy jednym z nich. Co jakiś czas zmieniały się jak pogoda w górach, której nigdy nie można być pewnym. Czy na niej samej można polegać zastanowiła się, ale odpowiedź była trudna. Trudna, dlatego, że musiałyby obciążyć siebie samą, a przecież ona naprawdę chciała jak najlepiej. Co mogła zrobić, że żadną miarą się jej to nie udawało. To było takie skomplikowane, trudne i najlepiej, by mogła być przy nich oby-

dwu. Ale to też było trudne, niewykonalne. Odwróciła głowę w stronę okna wpatrzona w ciemność nocy, próbując ją przebić. Zobaczyć to, co inni nie mogą. Ale oprócz czasem migotających w oddali maleńkich światełek, nie widziała zupełnie nic. Wszystko inne zlewało się w jedną czarną całość, w którą wtopił się jadący pociąg i był jakby jednym z ogniw tej całości. A może wcale tak nie było. Może ten rozklekotany pędzący pociąg, chciał prześcigając tę jednolitą czarną maź, bo się jej bał. Na pewno tak było, bo gdy wsłuchała się w monotonny stukot kół, słyszała słowa - byle dalej, byle dalej... Poprzez ten stukot, uświadomiła sobie, że na tym świecie, każdy czegoś się bał i ten kolebiący się na złączach pociąg też. On też miał swój strach i choć może go nie rozumiał, to jednak się bał. A może jego strach był tym większy, że nie mógł go zrozumieć, że nie wiedział, przed czym ucieka. Ale czy można uciec przed przeznaczeniem, czy można przed nim przed nim się skryć? Jak daleko jest od niej i co jej w podarunku przyniesie? Jedno jest pewne przeznaczenie nie ma sumienia, zwłaszcza dla biednych. Im daje zawsze to, co najgorsze. Bogatym tylko od czasu do czasu, podłoży nogę, ale tak robi to delikatnie, by nie zrobili sobie dużej krzywdy.
A więc nie ma sprawiedliwości... A jak nie ma sprawiedliwości, to nie ma i Boga. Tate mówił, że Bóg jest zawsze sprawiedliwy, ale dlaczego nie dla niej, dla wszystkich Żydów? Czy On w swoim niebiańskim zapracowaniu o nich zapomniał, czy Żydzi sami powinni odnaleźć swoją sprawiedliwość? Tylko, gdzie ona jest: w modlitwie, czy w każdym z osobna? Może w jednym i drugim? Jeśli w modlitwie, to ona Rajka długo jej nie znajdzie, bo ona modli się tylko wtedy, gdy tate jej o tym przypomni. Jeśli w każdym z osobna, to też jej trudno szukać, bo każdy robi tak, by jemu było jak najlepiej. A jeśli robi tak, aby jemu było dobrze to musi skrzywdzić drugiego, odebrać mu jego małe bogactwo. A więc znów nie ma sprawiedliwości. Z drugiej strony, zakładając, że jest - to trudno ją odnaleźć...
Dojeżdżali chyba do jakiejś stacji, bo pociąg na zwrotnicach, zaczął się tak mocno kiwać, że przestraszyła się, że za chwilę wyskoczy z szyn, zaryje się swą wielką lokomotywą, a ona już nigdy z niego nie wyjdzie, że zostanie tutaj, że tutaj będzie ich spoczynek. Ale gdy jej tate ocknął się z drzemki z powodu mocnego kołysania, uspokoiła się. Pociąg zwalniał, jakoś z ociąganiem powoli, jakby dalej chciał uciekać przed ciemnością nocy. Stacji nie było jeszcze widać. Wyłoniła się nagle wraz z jego zatrzymaniem i tate, który teraz dojrzał nazwę zerwał się z ławki.

- Nu, Rajka my już wysiadamy, ty się pospiesz, bo my nie możemy zajechać za daleko - szybko sięgnął po tobołki leżące na górnej półce. Z tego pośpiechu wylatywały mu z rąk, spadając na jej głowę.

Przestraszona jego nagłym pośpiechem, starała się mu pomóc, ale zwiększyła tylko bałagan. Wysiadali prawie w chwili, gdy pociąg ruszał i ona trzymając ojca pod ramię o mało nie spadła pod koła ruszającego pociągu. Rozległ się przeraźliwy dźwięk gwizdka i cały skład nagle zahamował. Rajkę rzuciło do przodu i puszczając ojca, uderzyła ramieniem o metalową poręcz. Jakoś odruchowo złapała się tego kawałka metalu i to ją uchroniło od znalezienia się pod kołami. Bała się puścić nawet wtedy, gdy pociąg już stał, a konduktor krzyczał, by się szybko wynosili. Jednak jej palce tak mocno zacisnęły się na poręczy, że w żaden sposób nie mogła ich rozprostować. Maszynista wychylony z okienka parowozu coś krzyczał, czego nie rozumiała, bo myślała jedynie by oderwać ręce, znaleźć się obok taty, bo jeszcze chwila, a ona odjedzie. Odjedzie, a on zostanie sam i na pewno jej nie dogoni. Tylko jak się puścić tego czegoś, co ją trzymało, chciało zabrać z sobą, oddzielić od ojca. Już nie panowała nad sobą i zaczęła krzyczeć. Krzyczeć tak bardzo, że zdziwieni podróżni zaczęli wyglądać przez okna. Ojciec, który upadł na chodnik peronu, usiłował się podnieść, krzycząc coś po żydowsku, ale ten krzyk zwiększał tylko całe zamieszanie. W pewnej chwili Rajka ujrzała przed sobą jakąś czerwoną czapkę i czyjeś dłonie brutalnie oderwały ją od poręczy. Poczuła silny ból, a za chwilę ogromną ulgę gdy już była wolna, gdy już prawie opanowana, stała obok ojca...
Dopiero po chwili, gdy już nie było widać pociągu zaczęli zbierać swoje tobołki i gdy były już na jednej kupce wtedy zauważyła, że ktoś im w tym pomagał i nie mogła zrozumieć, skąd ten ktoś się tutaj wziął?
Teraz dopiero poznała pana Durkacza, radość z jego widoku kazała jej prawie rzucić mu się na szyję. Obejmując go dopiero zdała sobie sprawę, jaki jest wysoki i barczysty. Nigdy przedtem nie zdawała sobie z tego sprawy. Trzymała go za szyję tak mocno, jak mocno przed chwilą trzymała poręcz, a on głaszcząc jej plecy starał się ją uspokoić. Stary Bauman stał obok nich z trudem łapiąc powietrze, z jedną ręką opuszczoną wzdłuż ciała, a drugą trzymał się za serce. Ono ledwo wytrzymywało to przeżycie. Jeszcze chwila, a zapewne stanęłoby. Teraz, gdy wszystko minęło, powoli, uspakajało się odzyskując z trudem rytm. Od czasu do czasu, gdy coś się w nim zacięło, ukłuło boleśnie, pokonując ową przeszkodę. Rajka oszołomiona tym wszystkim z trudem przychodziła do siebie i może dlatego nic nie mówiła, o nic nie pytała. W milczeniu, jeszcze z dygotem w ciele, wsiadła do znajomej bryczki, która od razu ruszyła w ciemność. Konie jakby znały drogę, galopowały po wybojach, co przypominało kołyszący się pociąg na zwrotnicach. To było prawie takie same uczucie. Nawet po latach, nie mogła sobie przypomnieć jak długo jechali i nigdy by tej drogi nie odnalazła. Jedno, co pamiętała to to, że większą część drogi pokonywali przez las. Dziś

powiedziałaby, że był bardzo wysoki i gęsty, że była to prawie puszcza.

Gdzieś daleko na horyzoncie zaczęły pojawiać jasne cienie brzasku, gdy stanęli prawie pośród środka lasu. Budzące się ze snu ptaki, swym śpiewem zaczęły witać wcześniejszych od nich gości. Troszkę zdziwione ich obecnością w tym miejscu, w ich królestwie szumu drzew i świtu sierpniowego brzasku. Brzasku, który za chwilkę miał się rozlać blaskiem słońca zwiastującego nowy dzień. Rajka podniosła do góry głowę, jakby nagle zrozumiała, że od dziś bardzo mało będzie oglądać światła. Że od dziś będzie żyła z ojcem w królestwie ciemności, roz-jaśnianej tylko naftową lampą. Taką, jakiej używa się w gospodarstwie do wieczornego obrządku bydła. Ale zrozumiała to dopiero, gdy znaleźli się w przestronnej ziemiance, jeszcze pachnącej żywicą i świeżą ziemią. Nawet nie zdawała sobie sprawy jak długo będzie tutaj przebywać, ale dopiero teraz zrozumiała, że to będzie ich nowy dom, że tutaj muszą się ukrywać. Ukrywać przed nową sprawiedliwością, którą wymyślił Hitler, a na imię miała - nazizm. To ta sprawiedliwość orzekła, że nie ma miejsca dla nikogo innego na tym świecie, kto nie ma aryjskiej krwi. A oni jej nie mieli. Nie było miejsca dla nich na ziemi, musieli zejść pod ziemię. Tutaj należało czekać tak długo, aż ktoś inny wymyśli nową sprawiedliwość, bardziej dla nich przyjazną.

W taki to sposób rozpoczął się dla nich nowy rozdział przeznaczenia, które wyzute z sumienia, dopiero teraz miało ich srodze doświadczać. Zwłaszcza Rajkę. Bóg naprawdę o niej zapomniał, a przedtem pogniewał się. Los uparł się, by ją doświadczać i wszystko to razem nie mogło być niczym innym, jak bólem. Jednym wielkim bólem, który nie mógł nie pozostawić w niej swojego śladu na całe życie, to życie, które miała przed sobą. Ale gdyby wiedziała, jakie będzie, zapewne wahałaby się czy warto dalej żyć.

Ziemianka, w której byli od kilu godzin, była dość przestronna i na tyle wysoka, że ona nie musiała się schylać. Tate tak i to było dla niego udręką, więc od razu skazał się na siedzenie, bo to go mniej męczyło. Oboje byli przygnębieni i milczący. Oboje też myśleli o jednym - jak długo przyjdzie im tutaj przebywać? Z tego, co wnioskował leśniczy mogło to być bardzo krótko, ale bardziej prawdopodobne, że bardzo długo. Teraz rozpamiętując wszystko, Bauman zaczął żałować, że zgodził się na takie rozwiązanie. Mógł jeszcze poczekać, wysondować, co z tego wszystkiego wyniknie. Zawsze z dużej chmury mały deszcz, a strach ma wielkie oczy. Nie bał się o siebie, bał się o swoją Rajkę. On tu może siedzieć i dziesięć lat. Jemu to wszystko jedno ale ona, czy ona wytrzyma? Ona już ma chyba tego dość, chodź to zaledwie kilka godzin. A gdzież tutaj rok czy dwa?! A przecież nie było tutaj tak źle. Jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu. Dwa zbite z desek łóżka, mały stolik i dwie małe półeczki nad głowami łóżek. Cała ziemianka łączyła się korytarzem z trzema innymi, teraz pustymi i było to w trójkącie około dwustu, dwustu pięćdziesięciu metrów. Było tu wszystko, co było potrzebne do skromnego życia przy pomocy innych. Były nawet książki i pierzyny te, które w posagu dostała jego żona. To wszystko przez jedną noc po ich wyjeździe, leśniczy przewiózł tutaj. To, co było najważniejsze, resztę zostało pod lichym zapięciem starej kłódki...

- Oj, Rajka, ty przestań się zamartwiać. Czy ty nie widzisz, że tu mamy wszystko, co nam potrzeba? Ty masz nawet swoje książki, a ja swój Talmud. A jak mamy to, to mamy wszystko - przesiadł się do niej i biorąc jej drobną rączkę w swoją dłoń, delikatnie głaskał.
Zawsze tak robił, ilekroć była smutna, lub się skrzywdziła. To ją zawsze uspakajało i miał nadzieję, że teraz też tak będzie.
Gdzieś daleko w przejściu usłyszeli trzask czegoś otwieranego lub zamykanego, a po paru minutach zaskrzypiały drzwi odgradzające to przejście. W pochylonej pozycji stał Robert z zawsze nieodłącznym uśmiechem na twarzy.
- Serdecznie witam w nowym lokum - w słabym świetle lampki wydawał się jakiś potężny i srogi. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to z powodu cienia, jakie dawało światło, wyglądał na olbrzyma.
- Cóż to tak smutno? - rozejrzał się jakby sprawdzając czy czegoś nie pominął. - Czy czegoś nie brakuje? - zapytał i wyciągnął do niej rękę.
- Idziemy na spacerek po lesie. Proszę, niech pan też idzie - spojrzał pytająco na Baumana, który ciągle siedział. - Proszę, musi pan zobaczyć wszystko, tutaj jest kilka wejść i wyjść. To trzeba znać.
- To wy idźcie sami. Jak będzie znała to Rajka, to ona będzie moimi oczyma. Ja jestem zmęczony. Nu, idźcie już, idźcie - machnął ręką tak, jak odgania się kury. - Ja się trochę położę.
Wyszli nawet nie przypuszczając, że nie jest aż tak bardzo zmęczony, ale zrobił to specjalnie, by mogli jak najwięcej przebywać sami. Bardziej do siebie przylgnąć. Robert kilkakrotnie oprowadzał Rajkę, by mogła wszystko dokładnie zapamiętać, by wszędzie mogła trafić po ciemku. Dopiero wtedy wyszli poprzez ukryty sprytnie, drewniany właz. Trzeba by było nie lada szczęścia, by go odnaleźć i był to jego inżynierski pomysł - jak to nazwał ojciec, bardzo z tego dumny...
Szli wolno przez las, przytuleni do siebie i ona pomyślała, że jeśli tak ma wyglądać szczęście, to ona je prawie ma. Bo ma Roberta. Cóż znaczą małe niewygody, jeśli będzie go widywała i była z nim chodź kilkanaście

minut. Ona to wytrzyma, gdy on będzie blisko. Ona wytrzyma dużo więcej. Przystanęła i podnosząc do góry głowę, spojrzała w rozgwieżdżone niebo. Migotało do niej miliardami gwiazd i było jak ogromny parasol, rozłożony tylko dla niej. Oparła się o pobliskie drzewo i ponownie spojrzała tam ku górze, gdzie przecież już była. To przecież nic, że tylko we śnie, że tylko śniła, ale to był sen prawdziwy i ona w to wierzyła. Jak wierzyła w to, że teraz jej mame i mała siostrzyczka, patrzą na nią z góry. Może nawet i machają, tylko te gwiazdy przeszkadzają, przez nie nic nie można dojrzeć.

- Jak tutaj pięknie - powiedziała cicho - Tak pięknie, że całe życie mogłabym tutaj stać i patrzeć.

Przymknęła oczy, a on delikatnie położył swoje wargi na jej ustach. Był to pocałunek, jak muśnięcie płatka róży, który spadając z kwiatu, w przelocie dotknął jej warg. Dotknął, zostawiając na nich swój zapach i przyjemne łaskotanie. Po chwili przywarł do niej mocniej i ustami i całym sobą. Teraz czuła nie tylko zapach jego ust, ale czuła zapach całego jego ciała. Był to nikły zapach potu i ostry zapach dorastającego mężczyzny. Po kilku jeszcze chwilach doszedł do niej zapach jego pożądania. Tak mocny, że prawie brutalny w swoim natężeniu. Przypierał ją do sęków drzewa, tak mocno, że czuła ból w plecach, ale był to ból narastającej przyjemności. Po woli zaczęła osuwać się ku ziemi, by mogła się położyć, zrobić dostęp do całego ciała, do każdego jego skrawka, ale on ją przytrzymał. Nie chciał tego. Chciał ją mieć całą, tak jak można chcieć kobietę, ale bez naruszenia tego, co było przynajmniej na razie święte. Święte nie w znaczeniu religii, ale święte w znaczeniu, że chciał mieć żonę nieskazitelnie czystą, nienaruszoną nawet przez niego. Gdy jednak dalej, prawie z całej siły opadała ku ziemi, pozwolił jej na to. Ale i tak wiedział, że tego nie zrobi. By jednak nie stało się to, co kiedyś, by nie posądziła go, że jej nie chce, bo jest Żydówką, kładąc się obok szepnął jej do ucha:

- Tak bardzo cię pragnę, tylko proszę... poczekaj. Poczekaj do czasu, gdy nic już nas nie będzie mogło rozłączyć...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale jego słowa pokrył jej pogodny pocałunek. Nie wiedział tylko czy był on wynikiem jej wdzięczności, czy zgody na to, o co prosił. Sądził, że chyba to drugie. Mylił się, tak bardzo się mylił, bo był to pocałunek gorzkiej rezygnacji tego, że to się nie stało. A ona tak bardzo tego pragnęła, że teraz gdzieś w jej środku odezwał się nieprzyjemny ból, ból niespełnienia. Jakże nie mogła go zrozumieć. Dawała mu to, co inni na pewno by nie odrzucili, wykorzystaliby nadarzającą się okazję. A on? On to odkładał do ślubu. Wiedział, że nawet za samo to, powinna obdarzyć go szacunkiem. Ze wszech miar na to zasługiwał. Gdy wrócili po godzinie, oboje dostrzegli, że z tatą Rajki coś się dzieje, chociaż próbował to ukryć. Był blady i z trudnością oddychał, niczym ryba wyrzucona z wody na piasek. Tylko, że on się nie szarpał i nie rzucał. Nie miał na to siły. Jego serce znów pokonywało jakąś trudność, by mogło tłoczyć krew tak potrzebną mu do życia. Po prostu bardzo się starało, by go nie zawieść, by dalej bić w jego wątłym ciele. Tylko z coraz większą trudnością mu to przychodziło. Rozpaczliwie kołatało się w piersi, od lat utrzymywało przy życiu i dalej chciało. Nie chciało jeszcze umierać bolało, że nie może mu pomóc. Gdy on nad czymś bolał, bolało i ono. Gdy on się radował, biło radośnie i mocno, bo cieszyło się jak cieszył się on. On dawał mu schronienie w swojej piersi, ono jemu życie. Teraz nadchodziła chwila, gdy miało go zawieść, chociaż on nigdy nie zawiódł jego. Dał mu tyle miłości, że dalej kochało kogoś, kto już od niego odszedł. Dał mu miłość swojej żony. Kochali ją oboje jednakowo mocno, lecz każde na swój sposób. Teraz nadchodziła chwila gdy miałogo zawieść, chociaż on go nigdy nie zawiódł. Nadchodziła chwila zdrady, gdy miało go zawieść, chociaż on nie chciał jeszcze umierać. Chciało dalej dawać radość życia komuś z kim przebywało tyle lat. Na dobre i na złe. Gdy jemu coś się nie udawało, ono też krwawiło z bezsilności. Tymczasem, coś odbierało siłę bicia i ono nic nie mogło na to poradzić. Jedynym pocieszeniem było to, że odejdą razem, a to nie będzie chyba zdradą. Jedno nie zostawi drugiego...

Stary Bauman umarł w drugim dniu wojny.

Umarł cichutko bez jednej skargi z zagadkowym uśmiechem na twarzy. To przez ten uśmiech leżał spokojnie kilka godzin, bo Rajka myślała, że on tak słodko śpi, śniąc coś przyjemnego. A gdy zrozumiała, że on umarł, nie miała nawet siły płakać, z przytłaczającego ją bólu. Przesiedziała przy nim do wieczora, trzymając zimną rękę, w nadziei, że się jesz cze obudzi. Że to tylko letarg, o którym kiedyś słyszała. Nie obudził się...

Ją taką zdrętwiałą z bólu i bezruchu zastał leśniczy. Jego ból na śmierć starego Żyda był nie mniejszy niż cierpienie córki. Lubił i szanował tego człowieka za jego prawość za to, że czarne nazywał czarnym, a białe białym. Nie miał w sobie źdźbła obłudy czy kłamstwa. Brzydził się jednym i drugim.

- Chodź, zanim zrobimy trumnę, posiedzisz w mieszkaniu. W nocy go pochowamy. Inaczej nie można. Od dwóch dni jest wojna i Niemców tylko patrzeć, jak wjadą do miasteczka.

Nawet nie wiedziała, że wybuchła wojna, bo od trzech dni nikt u nich nie był, ani Robert, ani leśniczy. Pani Durkacz przychodziła tutaj rzadko. Teraz, gdy brakło ojca mało ją obchodziło, że jest wojna, że Niemcy

wejdą lada moment. Ona też miała ochotę odejść za nim, iść tam, gdzie poszedł on i gdy w nocy wracali z pochówku, miała mu za złe, że ją zostawił, odszedł bez niej. On, który mówił, że ją tak kocha. Szła trzymana za rękę przez Roberta, obok jego ojca, po środku. Nagle zatrzymała się wybuchając płaczem, który siedział przyczajony nawet wtedy, gdy ziemia przykryła doczesne szczątki jej ojca. Dopiero teraz rozerwał jej piersi głośnym lamentem skargi.
- Powiedz, dlaczego mnie zostawił? - sama nie wiedziała do kogo to pytanie skierowała, do Roberta czy jego ojca? Oboje byli przy niej
- zawsze mówił, że bardzo kocha swoją córkę, że jestem tylko jego jedyną. Teraz odszedł sam, mnie zostawiając na pastwę obcych.
Nie chciała nikogo obrazić, a wypowiedziane słowa wyszły z niej same. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że zostały wypowiedziane. Że mogły sprawić komuś ból.

Gdy po pogrzebie siedzieli w milczeniu i nadchodził czas, by Rajka wróciła do siebie, leśniczy odezwał się.
- Rajka, powinnaś wiedzieć, że nie jesteś wśród obcych i pozostawiona sama sobie. To, że odszedł twój ojciec nie znaczy, że nie masz już nikogo, masz jeszcze nas i wszystko to, co zostawił u nas twój ojciec. Pieniądze, złoto, papiery świadczące o tym, że w Szwajcarii, w banku masz ogromny majątek. Nikt ci tego nie zamierza zabrać. Gdy da Bóg, a przeżyjemy, to wszystko wróci do ciebie. On mi zaufał i ja go nie zawiodę. I nie mów więcej proszę, że nie masz nikogo, że zostałaś sama
- pocałował ją w czoło. - Teraz idź do siebie. Robert cię odprowadzi i mam nadzieję, że nie będziesz się sama bała. Nie należy bać się tych co nas kochają. On przecież nigdy nie chciał, żebyś się go bała. Przecież nawet, cię nie bił, no może czasem lekko paskiem - uśmiechnął się, by dodać jej otuchy. - No idźcie już. Zaraz będzie świtać. A Niemców tylko patrzeć, jak wkroczą do miasta. Wtedy na pewno założą nam jarzmo, które będziemy używać pod ich dyktando.

Robert odprowadził Rajkę tylko do włazu w letniej kuchni, równie sprytnie ukrytego, jak te w lesie. Nie chciała, by szedł na dół. W jednej chwili coś w niej pękło, pękło bez żadnego, bólu, bez żadnego ostrzeżenia. Zmieniło ją i dotychczasowe zapatrywanie na świat, w którym przyjdzie jej żyć. Teraz już bez swojego taty, sama jak przysłowiowy palec, bez jego porad, ostrzeżeń co złe, co dobre. Teraz sama będzie musiała odróżniać, jedno od drugiego i sama udzielać sobie porad, bo okrutny los spłatał jej życiową niespodziankę. Jeśli uda się jej go oszukać, oszukać z pomocą ludzi, którzy ją przygarnęli - przeżyje.
A jeśli przeżyje, będzie już całkiem inną Rajką. Ona już była inna, ale jeszcze nie taka, jaką chciała być. Gdy uda się jej wyjść z tego cało, całe swoje życie poświęci na walkę o pokój o to, by wszyscy na świecie mogli żyć bez wojen. Prawie dorosła Rajka, dziecinne marzenia.

Siedziała wpatrzona w łóżko, na którym umarł ojciec, i jakoś jej ból dziwnie przycichł. Czuła jego brak, wiedziała, że go nie zobaczy, ale jej rozpacz utonęła gdzieś w przemianie, która w niej nastąpiła. Wpatrzona w to jedno miejsce, doszła gdzieś do wniosku, że życie to codzienność czekania na śmierć. Że gdyby ludzie zaraz po urodzeniu, zdawali sobie z tego sprawę, umieraliby w kilka dni po przyjściu na świat. Zamartwialiby się czekając na nią. Ona nie będzie się tym zamartwiała, bo ona chce żyć, żyć po to by coś potem zmienić. Tylko na myśl o tej zmianie naszła ją refleksja. Jaką zmianę chce osiągnąć, co zmienić? Przyszło jej na myśl, że wielcy ludzie, mogą osiągnąć tylko małą wielkość. Każda wielkość przemija na rzecz innej wielkości, która nastaje po niej i tak nigdy, na zawsze nie ma stałej wielkości. Więc jaką wielkość ona chce zdobyć, czy w ogóle na coś ją stać? Zmęczona zasnęła.

Durkacz, który co jakiś czas jechał bryczką do miasta, dziś też tam pojechał. Nie po jakieś nowiny, bo te z radia mógł usłyszeć, a wnioski wyciągnąć sam, po prostu sprawdzić mieszkanie Baumanów. Mało co mogło go zaskoczyć, ale to co zobaczył, zaskoczyło. Mała Esterka wróciła wraz z rodzicami z powrotem. Cała rodzina była przed domem. W ich oczach widać było zagubienie i strach. Strach o to, co się z nimi stanie. Czy Niemcy ich wysiedlą, czy zostawią w jako takim spokoju.
- Czy wyście ogłupieli z tym powrotem? - z wyrzutem spojrzał na Żyda Mossa. - Czy tobie ktoś do głowy nakładł sieczki, a zabrał rozum. Po co żeście wracali?
- Ja pana nie chcę obrazić, ale jak pan taki mądry, to niech pan nam powie, gdzie my się mieli podziać? - Moss był może czterdziestoparoletnim mężczyzną o mocno wystających kościach policzkowych. Patrząc na jego twarz odnosiło się wrażenie, że to kawałek sękatego kloca, gdzie w miejsce uszów, rosły, dwie huby.
- Gdzie my mieli się podziać. My tylko zgłupieli, że jak wszyscy odchodzili, my z nich wzięli przykład. Ja tylko nie pomyślał, że my biedni Żydzi nie to, co pan Levi, pan Bauman i my nie mamy szans bez pieniędzy.
Durkacz poczuł wściekłość na głupotę tamtego.
- Panie Moss, a czy pan poprosił któregoś z nich, by panu pożyczył?
Na pewno nie. Więc ja panu coś powiem - leśniczy, złapał się na tym, że tak jak oni, mówi ich śpiewnym zaciągającym językiem - ja panu coś powiem i niech pan z tego skorzysta. Ja pożyczę pieniędzy, a pan mi

oddasz po wojnie. Tylko niech pan szybko zabiera rodzinę i ucieka stąd póki czas. Tam, gdzie nikt pana nie znajdzie.
Nagle zastanowił się chwilę i patrząc na nich badawczo, gestem dłoni przywołał Żyda.
- Niech pan posłucha, czy zna pan drogę do leśniczówki? – Durkacz był podniecony, bo Rajka nie będzie musiała się już nudzić, a miejsca jest dość. No może nie tak dość, ale co znaczą cztery osoby mniej, lub więcej. - Zna pan?
Gdy Żyd potwierdził skinieniem głowy jeszcze nic nie rozumiejąc, leśniczy ciągnął dalej:
- Nic nie mówcie nikomu, tylko w nocy weźcie najbardziej potrzebne rzeczy i przychodźcie do mnie w las tylko poczekajcie...
Gdzieś od strony Cz... rozpoczęła się kanonada artyleryjska. Gorące powietrze niosło z sobą odgłosy armatnich salw i zdawało się, że drga i dostaje wibracji od tych wystrzałów.
- Poczekajcie w lesie. - kontynuował leśniczy - Nie ważne jak daleko zajdziecie, ale idźcie najdalej do środka lasu i nie czekajcie na skraju tylko dalej. Głębiej. Nie martwcie się, ktoś po was przyjedzie. Nie chciał powiedzieć kto. Wolał być ostrożnym. Zawsze takim był i wiedział, że z ostrożnością dłużej się żyje. Tylko czy robił dobrze, co do tego jego żona miała wątpliwości. On nie, a ona przyzwyczajona do tego, że jemu zawsze wszystko się udaje, nie mówiła tego głośno. Ostatnie zdanie w tej rodzinie zawsze należało do niego. Niemal od samego ślubu. Teraz też tak było i ziemianki w lesie spełniały teraz inną rolę.
Przedtem przechowywano w nich żywicę, teraz ludzi...



Niemcy wkroczyli do miasteczka czwartego września po południu. Późnym rankiem ogromna kolumna wojskowych samochodów, nie zatrzymując się, pognała w stronę Ł..., a w trzy godziny po nich wkroczyli Niemcy. Do wieczora byli już zagospodarowani, od razu zaczynając swoje niemieckie rządy, z wrodzonym niemieckim porządkiem, dokładnością i dyscypliną. W żydowskiej bożnicy zainstalowali Komisariat Policji, a tam, gdzie Polacy mieli władze cywilne, zrobili niemiecki Arbeitsamt. Wszystko blisko siebie, pod ręką.

Durkacz dopiero, na drugi dzień, po śniadaniu, dowiedział się o wejściu Niemców. Robert, który wcześniej zjadł śniadanie i bryczką pojechał po zakupy, wrócił podniecony tym, co zobaczył i usłyszał. Jego ojciec nie bardzo z początku chcial w to uwierzyć. A była to nowina, która mogła być albo zła abo dobra, ale było to możliwe...

Eryk wrócił w mundurze niemieckiej policji.

By się wybić miał na to półtora roku, licząc od wyjazdu. W takim czasie wykazując miłość do Hitlera w Niemczech można było zajść daleko. Nawet bardzo daleko.
Leśniczy nie był ani tym zmartwiony, ale też nie był specjalnie z tego powodu wesół. Czy komendantem Policji w miasteczku będzie Eryk? Hitler potrzebował ludzi młodych i ślepo w niego wierzących. A Eryk tę miłość do faszyzmu mógł odziedziczyć po ojcu. Mógł, ale nie musiał, to miał pokazać czas.
Eryk czy inny Niemiec, nic to nie zmieni. I tak będzie musiał, tak jak wszyscy, podporządkować się nowym władzom i nowym zarządzeniom. To było oczywiste, tak oczywiste jak to, że teraz jeszcze bardziej będzie musiał się mieć na baczności. W tej kwestii, ta znajomość nie bardzo mu była na rękę. Nie była, bo tamten z racji dawnej znajomości, na pewno będzie się starał przebywać w leśniczówce znacznie więcej, niż wymagałyby tego jego obowiązki. Tego był pewien. Dochodziła jeszcze Rajka i stary Bauman. Na pewno będzie się starał dowiedzieć, co się z nimi stało. Teraz Robert musi wykazać się swoim wrodzonym sprytem. Inaczej będzie nieszczęście. Wiedzieli to obaj z żoną i musieli porozmawiać o tym z synem. Potem, jak najszybciej sprawdzić czy nowina, którą przyniósł jest prawdziwa.
Niestety była prawdziwa. Tylko to niestety, było też ciężarem dla kogoś jeszcze, dla samego Eryka...
W to późne popołudnie stał w oknie żydowskiej bożnicy, w której nigdy wcześniej nie był. Tutaj kazano mu zrobić Posterunek Policji i on to zrobił. Jak dotąd robił wszystko, co mu kazano, spełniał wszystkie rozkazy. Wykonywał je gorliwie, a nawet z naddatkiem, miał w tym swój cel i teraz ten cel osiągnął. Był w stopniu Oberleutnanta (nadporucznika) i był Komendantem tego posterunku. Tutaj on był panem i bogiem.
Bez jego wiedzy nic nie mogło się stać w miasteczku, gdzie się urodził i gdzie spędził piękne chwile dzieciństwa. Chwile, które przekreślił jego ojciec, robiąc się zagorzałym wyznawcą Hitlera. To kosztowało go życie. Gdyby zostali tutaj zapewne żyłby do dziś, a tak jego ślepota była jego końcem. Zginął z 8 na 9 listopada w pogromie Nocy Kryształowej i nikt nie wie skąd tam się wziął i po co poszedł. Przynieśli go z przestrzeloną głową i razem z wujkiem musieli go pochować. Tylko nie obok matki, która zmarła pierwsza. Ona tego nie chciała. Zmarła w dwa miesiące po ich przyjeździe, chyba ze zgryzoty i wstydu, że jej mąż ją zdradził przechodząc na stronę Hitlera. Robert ją rozumiał, rozumiał i brał w obronę, gdy pijany ojciec wracał do domu i kazał się jej modlić do

portretu Hitlera. A kiedy nie chciała, zaczynał ją bić. Wtedy on stawał między nimi i stary nie miał odwagi jej tknąć. Zbyt dobrze znał syna i wiedział, że ten w swojej wściekłości, mógłby mu skręcić kark. Nie musiał, bo ktoś go wyręczył. Co prawda nie przetrącił mu tego karku, na którym nosił głupią, zapijaczoną głowę, ale trafił w niego kulką. Prawie na jedno wyszło. Bo wcześniej czy później mógłby to zrobić on. Tak po trochu zaczął go nienawidzieć już wtedy, gdy uderzył Rajkę, potem ta nienawiść spotęgowała się, gdy zaczął prześladować matkę. Z czasem nienawidził go z całej siły i było to tak wielkie, że nie widział już w nim ojca. On go też zdradził. Zdradził tak jak zdradził matkę.

Teraz stojąc w oknie za gęstymi firankami, spoglądał na ulicę, którą tak dobrze znal. Z tego okna było widać jego aptekę, ojca aptekę, którą zostawił szwagrowi i którą tamten teraz chyba traktował jak własną. Pociągnął dłonią po gładko wygolonym policzku z wyraźną opalenizną. Mógł stać bez obawy, że go ktoś zobaczy, pozna. Firanka była zbyt gęsta i nie musiał się tego obawiać. Jego wysoka, smukła sylwetka, ubrana w mundur, dodawała mu przystojności i powagi, czyniąc nieco, starszym niż był w istocie. A miał dopiero dwadzieścia dwa lata.

Wpatrywał się w opustoszałą ulicę i zdawał sobie sprawę z obawy jak to się wszystko potoczy. A nie mogło być różowo, on o tym wiedział najlepiej. Jego ładna twarz, była zamyślona z widoczną rozterką w dużych, brązowych oczach, takich samych, jakie miała Rajka. Zastanawiał się czy wyjechała czy została, ale o tym chciał dowiedzieć się dopiero jutro. A tym kimś, kto mógłby mu o tym powiedzieć, był tylko leśniczy. Pozostaje tylko pytanie, czy będzie chciał to wyjawić? Wysokie topole, takie same, jakie rosły przy ulicy, gdzie mieszkała Rajka, kładły głęboki cień na czerwony budynek bożnicy. Ten cień nie mógł jakoś pogodzić się z ciemnym kolorem cegieł. Nie zgadzały się, jak nie zgadzało się to modlitewne miejsce Żydów, by mieściła się tutaj policja. Robert wiedział, że to ani ironia losu, ani przypadek, że on wrócił tutaj, bo on chciał wrócić i robił wszystko by wrócić. Tylko teraz zastanawiał się czy miał do kogo i czy dobrze zrobił, że chciał tutaj być na powrót. Tak naprawdę to jego uczucie do Rajki już trochę przygasło, gdzieś jakby odpłynęło tylko, że on chciał dotrzymać danego słowa i chciał z czasem pokazać, że nie jest podobny do swojego ojca. Tylko kto w to uwierzy? Już sam mundur dla tych ludzi czynił go wrogiem. Wrogiem, który najechał na ich ojczyznę, wymyślając brednie o prześladowaniach Niemców w Polsce. Przecież nie było żadnych prześladowań i on o tym wiedział, wiedział lepiej od innych. Tylko, że głośne mówienie o tym,

mogło mieć bardzo złe następstwa, a on nie wrócił tutaj po to, by od razu stracić wszystkiego, co osiągnął. Osiągnął w tak krótkim czasie, bardzo krótkim. Byłoby głupotą nagle to wszystko przekreślić. Tylko jak pogodzić jedno z drugim, był w rozterce. W tej chwili był Niemcem w niemieckim mundurze i był po to, by wykonywać rozkazy, tylko to była powierzchowność, środek był trochę inny. Tam wszystko się z sobą kłóciło. To, co było niemieckie, chciało wyprzeć to co polskie i na odwrót. A on był jeszcze za słaby, by to wszystko uporządkować, poukładać na właściwych miejscach. Musiał mieć na to trochę czasu, czasu, który pokaże mu, w którą stronę iść. Teraz wiedział jedynie tyle, że z zewnątrz był Niemcem, wewnątrz Polakiem. Ale pobyt w Niemczech niemiecki dryl, brały w nim górę. Niemiecka szkoła wojskowa nie znała słowa zdrada i on o niej bał się myśleć. Następny dzień nie pozwolił mu odwiedzić ani leśniczego, ani szwagra ojca w aptece. Ten nawet nie wiedział, kto jest komendantem, przyszedł pierwszy, a że on nie miał dla niego czasu, kazał mu przyjść potem, lub poczekać. Gutmann poczuł się obrażony. On, szwagier Müllera, aptekarza, który oddał życie za Hitlera ma czekać?! Zaczął awanturę, która ściągnęła Eryka na korytarz. Stanął przed nim w rozkroku, którego nauczył się w wojsku i jakby nie znając zapytał twardo:
- Co pana upoważnia do robienia awantur z moimi ludźmi? Czy nie kazałem przyjść potem lub zaczekać? - jego wzrok choć ostry, kipiał radością na widok głupiej miny Gutmanna.
- Eryk, Eryk Müller! Ty tutaj? A niech mnie kolka ściśnie - nie ukrywał radości. - No bierz mnie do swojego gabinetu, poczęstuj jakąś zwycięską wódką. Przecież musimy porozmawiać.
- Ty polska świnio - Eryk udał głębokie oburzenie. - Ty wieprzu, ty chcesz zwycięskiej wódki? A czy zrobiłeś coś, żeby do tego zwycięstwa się przyczynić. Nic. Teraz dopiero chcesz nam cholewy lizać?
Do aresztu z nim! Jak będzie rozrabiał zastrzelić! Będzie to pierwszy przykład naszych porządków - machnął ręką, dobrze wiedząc, że wuj jak go nazywał, będzie cichy i pokorny a dwie godziny potem, gdy przyprowadzono go do jego gabinetu, był tak ogłupiały, że nie wiedział nawet jak się odezwać i gdzie spojrzeć. Eryk długo patrzył na niego w milczeniu, napawając się jego strachem. W ogóle chciał, żeby go się bano. Miał w tym swój cel, chociaż tak naprawdę nie wiedział czy go zrealizuje.
- No, dobrze - odezwał się wreszcie z pogardą w glosie - skoro już tak się stało, że jesteśmy rodziną, to nie zapominaj, że ja jestem Niemcem, a ty Polakiem! To, że masz mojego ojca siostrę za żonę, nie upoważnia cię

być kimś innym. Na to, musisz zapracować! No właśnie...
Chociaż ojciec nie żyje, myślę, że masz jakiś procent za prowadzenie apteki. Oczywiście ten procent należy się mnie - zawiesił głos, jakby się nad czymś zastanawiał, potem lekceważąco machnął ręką. - Na razie możesz prowadzić ten pachnący lekarstwami bajzel. Jak będę miał trochę czasu, wpadnę na kolację. Teraz, raus! Po sekundzie, gdy ten był blisko drzwi, zatrzymał go:
- A co z Żydami? - w jego głosie nie było ciekawości. Było to zwykłe obojętne pytanie. Prawie takie, jakby pytał o zdrowie ciotki. - Czy to bydło uciekło?
Gdy otrzymał twierdzącą odpowiedź, znów machnął dłonią.
- To dobrze, to bardzo dobrze.
Ale wuj był innego zdania, którego na głos nie śmiał wyrazić. Pamiętał jednak o tym, jak Eryk uganiał się za Rajką, chociaż jego ojciec zgrzytał zębami ze złości.
- Ciekawe, co by powiedzieli jego przełożeni, gdyby o tym wiedzieli. Może dobrze by było...   Eryk nagle przerwał jego tok myśli.
- Jeśli chodzi ci coś po głowie, to lepiej od razu palnij sobie w łeb - sięgnął do szuflady biurka podając mu broń. - Działa bez zarzutu.
- Ależ ja o niczym nie myślałem. W takim razie o niczym takim, co pan powinien wiedzieć, panie poruczniku. Naprawdę o niczym takim.
Ale Eryk widząc jego nagły strach był pewien, że zaczął coś kombinować. Teraz patrząc gdzieś na jego buty, na pewno stracił już na to ochotę.
- Zapraszam na kolację - prawie wybiegł z pokoju, a Erykowi wydawało się, że ze strachu, pozostawił po sobie małego bąka, który rozpłynął się mieszając z dusznym powietrzem...

W tym samym prawie czasie po rozmowie z rodzicami, Robert z ogromnym bólem żegnał się z Rajką. Zapadła bowiem nieodwołalna decyzja, że musi wyjechać do rodziny. Było to nie daleko, około stu kilometrów, ale o całe sto od niej. Ojciec wyszedł z założenia, że tutaj nie może być bezpieczny, bo wcześniej czy później Niemcy albo wcielą go do wojska, albo wywiozą. Opuszczał dom, nie wiedząc nawet na jak długo. Po raz pierwszy w życiu odczuł bunt sprzeciwu na ich decyzję. Pokusa przeciwstawienia się była silna, prawie nie do opanowania. Nie zrobił jednak tego. Wiedział, że nie miał szans, a po drugie ojciec nie znosił sprzeciwu. Matka jakby przeczuwając jego rozterkę, głaszcząc jego policzek powiedziała:
- Zrób tak, jak mówi ojciec, nam też jest ciężko, ale nie ma innego wyjścia. Eryk będzie cię prześladował. On cię nie lubi ze względu na Rajkę. Nie bój się, jej się krzywda nie stanie.

Wyszedł ze łzami w oczach, czując się jak wypędzony pies, który przez lata się wychowywał, a teraz się go pozbywano. Ale czy tak było naprawdę wiedział, że nie. Miał przed sobą około dwudziestu kilometrów drogi lasami, by dotrzeć do stacji, gdzie go nikt nie znał. Oprócz podróżnego bagażu, dźwigał jeszcze z sobą najcięższy bagaż. Bagaż rozłąki. Nigdy jeszcze takiego nie dźwigał i wydawało mu się, że nie da rady go unieść, że z płaczem wróci i z takim samym płaczem będzie prosić ojca, by pozwolił mu zostać przy nich. Bez względu na to, co się może wydarzyć. Nawet, gdy go Niemcy wywiozą to przecież wróci. Nie pamiętał ile razy przystawał, by zawrócić i ile razy szedł znów do przodu, myląc nawet tak dobrze znaną drogę. Te lasy znał nie gorzej niż samego siebie, a może nawet lepiej. To było jego królestwo, w które wprowadził go ojciec i które pokochał.
Upłynął chyba tydzień od wkroczenia Niemców do miasteczka i urzędowania Eryka, gdy pod leśniczówkę podjechał wojskowy motocykl z przyczepą. Durkacz wracał właśnie na obiad ze zwykłego obchodu, gdy usłyszał jego warkot. Nie musiał wcale odgadywać, kto ich odwiedził. Zdziwił się tylko, że Eryk przyjechał sam, bez ochrony, czy nawet kierowcy. Stał za ogrodzeniem nie wychodząc gościowi naprzeciw, jak to zawsze zwykł czynić. Jego przymróżone oczy bacznie przyglądały się gościowi, jakby chciały odgadnąć z czym przychodzi, zanim sam to oznajmi.
Eryk podchodząc do ogrodzenia rozejrzał się dookoła, po czym uśmiechnął się. Nie było żadnego podniesienia ręki do góry, żadnego niemieckiego słowa i zdziwił się, bo był tego prawie pewien.

- Nic tutaj się nie zmieniło - jego uśmiech był dalej uprzejmy, delikatny. - Tutaj może nie, ale ogólnie tak – Leśniczy uścisnął podaną dłoń nic więcej nie mówiąc.
Jego oczy dalej były zmróżone i czujne.
- Niezbyt ochoczo mnie pan wita, panie Durkacz.
- Proszę mi wybaczyć, ale jakby pan witał osobę, o której teraz nic wie i nie ma pojęcia z czym przychodzi? Tym bardziej osoba, która jest teraz, po przeciwnej stronie i której ojciec przed ucieczką serdecznie zaczął nienawidzić, zarówno Polaków, jak i Żydów. Może nawet sam siebie.
- A skąd pan wie, że jestem po przeciwnej stronie. Delikatnie to pan nazwał.
- Jeśli chodzi o ojca, to już nie żyje - wyciągnął papierosy częstując gospodarza.
- Nie rozumiem - Durkacz był szczerze zdziwiony. Zdziwiony do tego stopnia, że o mało nie wypuścił z palców trzymanego papierosa.

Wziął go z uprzejmości, bo palił bardzo rzadko i tylko fajkę.
- Nie rozumiem - powtórzył.
- Cóż tu rozumieć. Szukał śmierci i znalazł. Przynieśli go z kulką w głowie. On myślał, że führer uratuje go przed każdym nieszczęściem. A nasz führer ma co innego na głowie niż zajmować się pojedynczym Müllerem - zaśmiał się rozbawiony, jakby śmierć ojca była przegraną w karty. Małą przegraną. Führer nie zajmuje się jednostkami. Jednostki to słabość, większość, to już siła. On musi mieć siłę jeśli chce wygrać!
- Oczywiście ja w drogę ani panu, ani wygraniu pańskiego Führera, nie wchodzę. Panie Müller, nie musi mnie brać pod włos. Ja pozostałem taki sam, jaki byłem. Będę dalej robił, co do mnie należy i co pan zarządzi, reszta mnie ani obchodzi.
- Powiedział pan mojego führera - Eryk udawał że nie dosłyszał ostatnich słów. - Jaki on tam mój, to ja jestem jego! Może trudno to będzie panu zrozumieć, ale tak to wygląda. Niech pan sobie daruje to branie pod włos.
Patrzyli na siebie w milczeniu sondując się wzrokiem a Durkacz myślał - Eryk, on mi nigdy nie uwierzy. Zresztą on sam nie mógł uwierzyć, że podjął taką, a nie inną decyzję. Może jeszcze nie całkiem, nie na sto procent uwierzyć, to będzie też zależało od okoliczności. Dużo różnych okoliczności i on Eryk, musi uważać. Zostawić sobie rezerwę, by móc zrobić krok do przodu lub się wycofać. - Czy aż tak bardzo nie lubi pan tego munduru, że nie zaprosi mnie pan do mieszkania, czy może nie lubi pan mnie. Zresztą może i mnie pan nie lubić. Nie lubił pan mojego, ojca nie musi i mnie. - Był czas, że nie miałem nic przeciw niemu... proszę... - leśniczy otworzył furtkę na całą szerokość. - To się zmieniło od czasu pobicia córki Baumana...
Zauważył, że na to imię twarz gościa drgnęła... Żona Durkacza, która widziała gościa przez okno kuchni od dawna przygotowała drugie nakrycie i teraz czekała tylko, żeby weszli. Była też trochę zdenerwowana jego nagłym pojawieniem, snując różne domysły. Gdy jednak dojrzała, spokojną twarz męża, jej spokój powrócił, malując wyraz zaskoczenia widokiem gościa.

Gdy zasiedli do obiadu, Eryk nie mógł już nie zapytać o Roberta. Jego ciekawość była tym większa, że to, co postanowił w dużej mierze zależało od tamtego. W nim widział sprzymierzeńca.
- A Robert co, wyjechał, czy może wzięli go do wojska?
- Nie wzięli, sam się zgłosił - leśniczy błyskawicznie wybawił żonę z zakłopotania, bo to do niej skierowane było pytanie. - Po prostu zgłosił się na ochotnika.
- Myślę, że jego młodzieńczy patriotyzm, był trochę wygórowany. Czego nie można powiedzieć o, mnie.
- Panie Müller - Durkacz badawczo spojrzał w oczy gościowi. - Nie znam pana zamiarów i znać nie chcę. Jedno, czego pragnę, to spokojnie przeżyć tę cholerną wojnę, zobaczyć syna i znów żyć tak, jak przed tą wojną. Rozumie pan, tego chce każdy, prawie krzyknął. - Wstał od stołu i podszedł do okna. - Będę robił wszystko, co pan każe, już to zdaje się mówiłem, nie chcę żeby pański Hitler, miał ze mną kłopoty...
- Niech się pan uspokoi - Eryk też wstał od stołu. - Już panu mówiłem, że nie jest on żaden mój i może kiedyś to pan zrozumie. Szkoda, szkoda, że nie ma Roberta, wielu rzeczy szkoda... nie powiedział jednak, o co mu chodzi. - Może jednak dowiem się coś o Rajce... i jej ojcu - dodał.
- Jedynie, co mogę panu powiedzieć to to, że wyjechali do siostry jego żony. Sam ich odwoziłem bryczką. Oni naprawdę nie chcieli wyjechać, ale gdy wszyscy po kryjomu opuścili miasteczko, to i Bauman też się wystraszył. Zresztą, co miał zrobić? Z tego, co wiem, a sam mi o tym mówił, jego serce ledwo kołatało, a on tak bardzo bał się o córkę. Myślę, że dobrze zrobił. Nawet na pewno.
- A może wie pan coś o Mossach?
- Słyszałem, że też wyjechali, by za jakiś czas powrócić. Potem nagle znikli. Czy wie pan coś o nich? Jeśli tak, to proszę im powiedzieć, żeby zniknęli, to dla nich będzie najlepsze.
- Nic nie powiem, bo nie wiem, gdzie są i... - Przypuszczam, że pan wie - uśmiechnął się do żony leśniczego - prawda, że tak?
Nie musiał czekać na odpowiedź. Jej nagły rumieniec na twarzy był odpowiedzią.
- Widzi pan, żona nic nie mówiąc, mimo wszystko powiedziała... No, na mnie już czas. Jedno, co jeszcze mogę powiedzieć, to jedynie to, że jeśli będziemy sobie pomagać, to przeżyjemy. Tylko musi pan uwierzyć, że ja w środku jestem Polakiem. Proszę mnie nie odprowadzać i nie czynić żonie wymówki za milczącą odpowiedź - wyszedł.

- Jak on w środku jest Polakiem, to ja w swoim środku jestem Hitlerem - Durkacz, choć nigdy tego nie robił, teraz z obrzydzeniem splunął na podłogę. Nie wiedział, że się myli. Wbrew swoim zasadom pokusił się o ocenę kogoś, kogo tak naprawdę do końca nie znał.
- A ty przynajmniej nie pokazuj tych swoich rumieńców. Cnotliwą już nie jesteś - przytulił żonę do siebie, całując w usta. - Nie martw się. On tylko blefuje. A swoją drogą albo dobrze gra, albo coś kombinuje. Nie jestem pewien ani pierwszego, ani drugiego. Ale, to kiedyś samo wyjdzie. Tak wyjdzie, jak wychodzi z ziemi glista na wiosną. W każdym razie, ja nie mam zamiaru mu w niczym pomagać, Przynajmniej na razie, dokąd nie wiem, co mu chodzi po głowie.

Durkacz dobrze przypuszczał. Eryk stał się częstym gościem leśniczówki, tak częstym, że dobermany już prawie, nie szczekały, gdy go wyczuły, a jeśli już, to w taki sposób, jak szczekały na znajomego. To właśnie było przyczyną, że leśniczy zmienił zdanie, o młodym Müllerze i całe swoje zapatrywania w stosunku do jego osoby.

Wigilia trzydziestego dziewiątego roku była śnieżna, ale niezbyt mroźna. Gdzieś w okolicach minus dwunastu stopni, co w tych stronach było normalne. Od samego rana oboje z żoną sprzeczali się czy ta wigilia ma być tylko we dwoje, czy może zaprosić Rajkę i Mossów. Durkacz się sprzeciwiał z powodów bezpieczeństwa, żona twierdziła, że nic im nie grozi. Parę dni przedtem zapraszali na wigilię Eryka, ale odmówił twierdząc, że jest zaproszony do L..., do komendanta tamtejszej żandarmerii. Jeśli jego nie będzie, bez jego wiedzy nikt z żandarmów tutaj nie zajrzy, bo i po co. Zresztą Niemcy od samego początku, gdy zapadł zmrok, nie zapuszczali się w pobliże lasów. Plotki o partyzantce dochodziły tam, gdzie trzeba i Niemcy woleli nie kusić losu, jeśli nie musieli. Gdzieś koło południa, argumenty żony wzięły górę i Durkacz zgodził się, jeśli zgodzą się ci spod ziemi, jak ich nazywał. Nie wiedział jakich argumentów użyła żona, ale zgodzili się. Zgodzili, ale pod warunkiem, że przyjdą spróbować po kawałku ciasta i wrócą do siebie.

Zjedli więc kolację taką, jak nakazuje zwyczaj, potem zaprosili swoich podopiecznych. By ich nie krępować swoimi zwyczajami, na stole było tylko ciasto i herbata.   Nie było kolęd i nie było prezentów. Nie było opłatka i życzeń. Było smutno i przygnębiająco. Mossowie pierwsi zeszli na dół, Rajka jeszcze została, by potem pomóc przy zmywaniu naczyń. Wokoło panowała cisza, tylko od czasu do czasu zaszczekały psy, kiedy jakiś dzik zbyt blisko podszedł pod zabudowania. W pewnej chwili zaczęły głośniej ujadać, jednak zaraz się uspokoiły. Ale leśniczy znał je i wiedział, że ktoś jest blisko i to ktoś znajomy, szybko kazał Rajce wracać do siebie, mając zamiar wyjść na podwórze, gdy rozległo się głośne pukanie w okiennice i chwilę potem ktoś w korytarzyku zaczął wycierać nogi. Robił to powoli, z rozmysłem i Durkaczowa z bijącym sercem podbiegła do drzwi. Tak nogi mógł wycierać tylko Robert.   Nawet nie zastanowiła się skąd on się mógł wziąć. Z matczyną radością otworzyła drzwi. W progu stał... Eryk.   Obsypany śniegiem z zaczerwienioną od mrozu twarzą i rozbawiony sprawioną niespodzianką. Otrzepał ze śniegu płaszcz i wszedł do mieszkania. Jego baczny wzrok od razu spostrzegł stojące na stole szklanki. Musiałby być ślepcem, by nie zauważyć, że jest ich siedem. Gospodyni widząc jego spojrzenie zbladła. Durkacz był spokojny, tak spokojny jakby się nic nie stało. Ale to był pozorny spokój, bo w tej jednej chwili był gotów na wszystko. Nawet na to, by tamten więcej stąd nie wyszedł, żywy czy martwy. Było mu wszystko jedno.
Eryk powiesił płaszcz i bez zaproszenia usiadł przy stole. Był po cywilnemu, w ciemnym, wełnianym garniturze i śnieżnobiałej koszuli. Wyglądał nie tylko swobodnie, ale i tak się zachowywał. Ten garnitur dodawał mu nie tylko swobody, ale czynił go bardziej jeszcze przystępnym. By przerwać przedłużające się milczenie odezwał się.
- Mówiłem państwu, że jestem zaproszony na kolację. Nie byłem nigdzie zapraszany, a skłamałem dlatego, żeby udowodnić, że pan Durkacz cały czas mnie oszukiwał - spojrzał na stojące jeszcze szklanki. - Nie muszę być bardzo domyślny i nie muszę dobrze umieć liczyć. Ale tak na chłopski rozum siedem szklanek to cztery od Mossów, Rajka i pan z żoną...   Może się mylę, ale chyba nie -   wstał od stołu i wyciągając z kieszeni opłatek podszedł do osłupiałej gospodyni. Odłamał kawałek i prawie siłą wcisnął jej w dłoń. Wydawał się być rozbawiony ich zaskoczeniem.
- Cóż mogę życzyć? Na pewno szczęśliwego powrotu syna, pociechy z przyszłych wnucząt i dużo, dużo zdrowia. Może jeszcze... wiary w ludzi - nie czekał, by ona złożyła mu życzenia tylko podszedł do leśniczego.
Ten mimo spokoju, był blady i napięty.
- Przy Wigilii niech pan zostawi na boku grzeszne myśli. Nie pasuje w taki dzień myśleć o czymś takim - prawie czytał w jego myślach. - Ja tutaj przyszedłem nawet bez broni. Mało tego. Nikt nie wie, że tutaj się wybierałem – patrzył mu smutno w twarz. - Czy w takim razie mam prawo się pana obawiać i czy w taki dzień byłby pan skłonny popełnić coś, czego można żałować do końca życia? - Uśmiechnął się tak smutno, jak patrzył.   - Żona nic mi nie życzyła, czy i pan mi tego odmówi? - stał z trzymanym opłatkiem jak ktoś, kto oczekuje wyroku. Z jego dużych oczu teraz jeszcze bardziej brązowych popłynęły łzy. Płynęły wolno spadając prosto na trzymany opłatek, a on zdawał się tego nie dostrzegać. A może naprawdę nie widział. Po chwili odwrócił się i wolno podszedł do wiszącego płaszcza. Nie zakładając go przewiesił przez ramię i wyszedł cicho, zamykając za sobą drzwi. Pogłaskał skaczące psy i ruszył drogą w kierunku miasteczka. Przyszedł pieszo i w taki sam sposób musiał wracać. Szedł nie zważając na coraz bardziej padający śnieg i wszędzie wciskający się mróz, niosąc ciągle niezałożony płaszcz. Chyba nawet nie wiedział, że go ma, bo w pewnej chwili wypadł z jego rąk, a on szedł dalej. Szedł i nic nie widział. Straszny ból żałości trzymał go za serce. Był prawie jak lunatyk. Nic nie widział, ani nie słyszał. Uprzytomnił to sobie dopiero wtedy, kiedy czyjeś silne ręce szarpnęły go, prawie rzucając w śnieg.
- Wracamy - znajomy głos przywrócił mu jasność umysłu. Ale jeszcze

dokładnie nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest i co tutaj robi. Powoli jego myśli odzyskały poprawność rozumowania, jakby się rozgrzały zarzuconym plecy płaszczem, który wyleciał mu z rąk.
- Dlaczego mamy wracać, kiedy pan się mnie boi ? - jego słowa były przepełnione goryczą. Szedł jednak posłusznie, jak dziecko z ojcem do kościoła. Wypił spory łyk wódki z butelki, którą podał mu Durkacz. Ostrość rozlewającego się wewnątrz alkoholu trochę go oprzytomniła. Pozbawiła rozgoryczenia, które nim owładnęło. Potem, już w domu, milcząc, siedzieli przy prawie pustym stole, jakby bojąc się odpowiedzialności za wypowiedziane słowa. Leśniczy spojrzał na żonę, a ta odczytała to spojrzenie tak, jak powinna odczytać. Podniosła się cichutko i tak samo cicho wyszła, chociaż nie wiedziała, dlaczego mąż chciał jej nieobecności. To, co tutaj się stało, było dla niej zagadką, zresztą taką samą zagadką, było dla jej męża. Tylko ta zagadka mogła mieć dwie odpowiedzi, a to rodziło nową zagadkę, która z tych dwóch odpowiedzi, będzie właściwa? Pierwsza:
- Polak który chodzi w mundurze niemieckiej armii, nadal sam w sobie pozostał Polakiem, druga:
- świetnie gra swoją rolę. A rola ta polegała na wyciąganiu wiadomości, gdzie zapodziali się Żydzi bo, że są gdzieś blisko, to nie ulegało wątpliwości. Być może chciał też się dowiedzieć, gdzie jest Robert?

Jeszcze dłuższą chwilę milczeli nie patrząc na siebie, wreszcie Durkacz z westchnieniem, przerwał to ciężące milczenie.
- Co chcesz wiedzieć - zapytał jakby to był ten sam Eryk, którego znał, gdy chodził jeszcze w krótkich majteczkach - może będę ci mógł powiedzieć.
Eryk spojrzał na leśniczego, a jego iskrzące wilgocią oczy nadal były smutne i dziwnie małe.
- Nic nie chcę wiedzieć - spróbował się uśmiechnąć, ale był to tylko grymas tego, co można było nazwać uśmiechem. - Ja nic nie potrzebuję wiedzieć - teraz patrzył na swoje dłonie oparte na stole. - Ja tylko chciałem, by pan mi zaczął wierzyć, że ja pozostałem takim Polakiem, jakim była moja matka. To wszystko - podniósł oczy.
Były takie same małe i wilgotne, ale było w nich też coś błagalnego. Coś, co prawie krzyczało: dlaczego mi nie chcesz uwierzyć!
- To dobrze - Durkacz odprężył się trochę. - To dobrze - powtórzył, ale nie powiedział, co to dobrze znaczy. - Dobrze jeśli nikt nic nie obiecuje i nic w zamian nie chce...
- Właśnie! - Przerwał tamtemu Eryk - ja nic nie obiecuję, ale mogę dać bardzo dużo. Tylko na to może jest jeszcze za wcześnie - jego oczy zatrzymały się na butelce z alkoholem. - Mogę? - zapytał.
Leśniczy napełnił dwa kieliszki.
- Może herbatę lub kawę? - Wstał od stołu stawiając czajnik na blasze czerwonego pieca.
Eryk wypił nalany alkohol i nalał sobie ponownie. Dopiero teraz rozpoznał smak bimbru, zaprawionego miętowymi kroplami.
- Stary bałwan dobrze przypuszczał, że pan umie to robić - jego uśmiech był już pełny, swobodny, a Durkacz mógł się tylko domyślać, że miał na myśli swojego ojca.
- On zawsze chciał dużo wiedzieć - wypił znów, nie czekając na gospodarza.
- Zawsze pilnował cudzego pola, zawsze był ciekaw, co się dzieje u drugich. Stary głupi skurwiel - wybuchnął nagle, ale leśniczy przyjął to z spokojem, nalewając herbaty patrzył na gościa.
Eryk, który pił bardzo rzadko, po trzech, prawie setkowych kieliszkach, czuł już dobry szmerek i gdy ponownie Durkacz chciał napełnić jego kieliszek, przykrył go dłonią.
- Nawet jak na takie święta i tak wypiłem za dużo. Prawie wcale nie piję - dodał usprawiedliwiająco.
- Sam nie wypiję, a pod tą ciepłą herbatę, można jeszcze kieliszeczek - odsunął jego dłoń napełniając po same brzegi. - To tak szczerze od serca - jego głos też zabrzmiał usprawiedliwieniem. - Po tym jednym i koniec! Ja też rzadko piję. - Podniósł kieliszek do góry i przez chwilę patrzył na Eryka. - Nic panu jeszcze nie życzyłem, więc robię to teraz. Wiech pan pozostanie takim, jakim pan się czuje, Polakiem. Tego panu życzę. Może to niewiele, ale dla mnie być człowiekiem, to największy skarb. Dziękuję...
Eryk trzymał swój kieliszek z namysłem.
- Jeszcze raz, dziękuję - jego oczy odzyskały swój dawny blask, swój dawny kolor. - To, co pan powiedział, bardzo dużo dla mnie znaczy. Utwierdziło mnie w przekonaniu, że decyzja którą podjąłem, jest słuszna i teraz mogę powiedzieć, dlaczego wróciłem...

W kurniku już budził się dzień, którego jeszcze nie było widać na niebie, gdy Eryk zmęczony kończył swoją opowieść. A gdy zamilkł, leśniczy długą chwilę milczał, patrząc gdzieś ponad jego głową. W miejsce, w które jak mu się wydawało przez tyle lat mieszkania w leśniczówce, nie patrzył. Jego wzrok zatrzymał się w rogu mieszkania, tuż przy oknie i sam nie wiedział dlaczego. Ale był pewien, że tego miejsca jeszcze nie oglądał, w każdym razie nie pamiętał. Chciał temu chłopcu coś powiedzieć, ale tak naprawdę nie wiedział co. To, co on postanowił świadczyło o tym, że nie zatracił człowieczeństwa, że pozostała w nim polskość, biorąc oczywiście, za pewnik to, co mówił. Chciał mu coś

powiedzieć, ale zrezygnował, bo pomyślał, że czasem słowa mogą odnieść inny skutek niż by się chciało, może więc czasem lepiej nic nie mówić. Jego wzrok znów wrócił na stół, by zatrzymać się na jego twarzy.
- Jeśli czekasz na pochwałę, nie otrzymasz jej. Jeśli chcesz porady, też jej dla ciebie nie mam. Nie mam dla ciebie nic, bo ty masz już wszystko, prawie wszystko. Reszta przyjdzie wraz z twoim postanowieniem - wstał od stołu i podając rękę powiedział. - Teraz idź i prześpij się w pokoju Roberta, żona cię zaprowadzi, potem wezmę sanie i odwiozę cię do miasta. Nie pasuje przecież, żeby komendant żandarmerii wracał z gościny piechotą. Twoi ludzie zaproponowaliby, aby mnie za taką gościnność zastrzelić. Zresztą chodź, sam cię zaprowadzę.

Gdy po cichu wrócił do kuchni, podłożył do pieca i siadając przy stole, po raz drugi dziś wejrzał w miejsce, w które wydawało mu się, że nigdy nie patrzył. W tym miejscu zdawał się szukać odpowiedzi na to, co niedawno słyszał. Czy przyjąć to za prawdę, czy też?... Jego ostrożna natura, nie pozwoliła mu we wszystko uwierzyć, co słyszał. Kazała mu zaczekać, obserwować, a dopiero potem wyciągnąć wnioski. Wszystko jednak przemawiało za tym, że to co usłyszał, było prawdą. Bo kto mógłby coś takiego planować na dwa lata naprzód, skoro nawet nie wiedział, co zastanie po powrocie, kogo w swoich planach brał pod uwagę, mógł pozostać w tym mieście... Nie, to było mało prawdopodobne, chociaż możliwe i dlatego postanowił zostawić sobie coś w postaci rezerwy, o czym już myślał przedtem...

Gość wstał wcześnie, świeży i wypoczęty. Bez odrobiny śladu wypitego alkoholu. Nie było też w nim widać kogoś, kto miał to miasteczko pod swoją pieczą. Był po prostu Erykiem takim, jakim znali go przed wojną, grzecznym, wesołym chłopcem. Gdy przy bardzo wczesnym śniadaniu, gospodyni chciała nalać z karafki swojej nalewki pozwolił, ale odrobinę. Prawie tyle, żeby płyn pokrył dno kieliszka.

Miasteczko jeszcze prawie spało, gdy Durkacz odwiózł swego gościa pod budynek policji i gdy zatrzymał sanie miał chęć zapytać, dlaczego tamten wybrał właśnie ten budynek, a nie inny. Zrezygnował. Nie chciał pytać i być pytanym. Sądził, że w tej chwili nie jest to najlepszy pomysł.
Gdy dwóch zmarzniętych wartowników szarpnęło dłonie do przodu, odniósł wrażenie, że zrobili to bardziej dla rozgrzewki, niż pozdrowienia.
- Dotąd na olejno! - Zaśmiał się do swoich myśli, a Eryk spojrzał na niego lekko zdziwiony.
- Cóż tak pana rozbawiło? - Specjalnie oparł się o sanie, by tamci nie słyszeli, że rozmawia po polsku. - Popełniłem jakąś gafę? Proszę powiedzieć, chętnie ją naprawię.
- Och, nic takiego. Kiedyś na pewno powiem. Do widzenia - podniósł do góry dłoń, bo musiał przecież odpowiedzieć na pożegnanie, w taki sposób, jak żegnano jego. Gdy zakręcał, Eryk podbiegł jeszcze do sań i znów się pochylając powiedział.
- Gdy będzie pan potrzebował jakiejś pomocy, proszę dać znać. Załatwię wszystko, co będzie w mojej gestii. Zawsze pana wpuszczą, jeszcze dziś im to przekażę. A któregoś dnia proszę przyjść po przepustkę w celu swobodnego poruszania się. Czeka na pana od dwóch dni. Przecież ze względu na swoją pracę musi pan czasem iść tam, gdzie tylko wolno mnie - uśmiechnął się i jeszcze raz salutując odszedł sprężystym wojskowym krokiem.
Na ten salut, Durkacz już nie odpowiedział, udał, że go nie widział, ale tamten to zaniedbanie zauważył.
- Jeśli ma być częstym moim gościem musi o tym pamiętać. Muszę mu o tym powiedzieć - zanotował sobie w pamięci.

Po tak sutym śniadaniu Eryk jeszcze raz postanowił się położyć. Zresztą i tak nie miał dziś nic do roboty. - Święta są dla każdego - pomyślał - więc jemu też się należą.
Obudziło go ciche pukanie do drzwi, w których stanął młody żołnierz o tak dziecinnym wyrazie twarzy, że powinien chodzić jeszcze do szkoły.
- Przyszedł jakiś aptekarz zaprosić do siebie - zameldował. - To ktoś z rodziny.
Żołnierz stał wyprężony z tak dobrotliwie patrzącymi oczami, że w żaden sposób nie pasował do tego munduru. W ogóle nie pasował na żołnierza. Taki zawód wybrał mu chyba ojciec - fanatyk i z jego powodu znalazł się w armii. Był tego prawie pewien, że jego fanatyzm kazał mu poświecić się, poświęcając własnego syna dla wielkiego Hitlera. Być może był jedynakiem. - Jeśli nie jest tak stary, by móc zrobić drugiego, powinien się pospieszyć. Ten chyba już nie wróci, odda życie za swojego,wielkiego wodza, który zamiast książki, włożył mu w ręce karabin. - Patrząc na to prawie jeszcze dziecko, poczuł bunt w sercu. Bunt, którego w żaden sposób nie można uciszyć.
- Zaraz zejdę - rzucił. - Możecie odejść.

Założył swój wyjściowy mundur i lekko skropił się perfumami. Po małym, namyśle sięgnął do swojego wojskowego plecaka, leżącego pod oknem. Dość długo obracał w palcach, wyciągnięte stamtąd podłużne pudełeczko, obciągnięte w fioletowy aksamit. W środku była duża złota zapinka, pamiątka po matce. Włożył pudełko do kieszeni munduru, założył płaszcz i wyszedł. Na chwilę zatrzymał się na schodach przy

wartownikach, wciągając w płuca świeże, mroźne powietrze. Maleńkie płatki śniegu przewracały się w powietrzu, niczym mali akrobaci w cyrku. Zanim spadły na ziemię wykonały setki dużych i małych przewrotów i trzeba by było być nie lada mistrzem, by zrobić to, co one.
„Świat ma swój urok, jest piękny, ale bez wojen" - pomyślał ze smutkiem. Wolno ruszył, na drugą stronę ulicy, by w parę minut potem, zastukać do znajomych drzwi, gdzie nie był prawie od dwóch lat. Wydawało mu się, że stukot jego serca był głośniejszy od jego pukania, że dlatego od razu otworzono. Zapomniał, że przez prawie wszystkie okna można było spojrzeć na ulicę. Tylko kuchenne wychodziło na podwórko.
Z ciotką przywitał się serdecznie z jej mężem całkiem po męsku, ale z serdecznym uśmiechem na ustach. Tak jakby nie było między nimi żadnej rozmowy. Zanim usiadł, jeszcze raz podszedł do siostry swojej matki i wyciągając pudełeczko podał, a właściwie wcisnął w jej wąskie szczupłe dłonie.
- To dla ciebie, ciociu - powiedział cicho. Wiedział, że często od matki pożyczała to cacko, że się jej podobało. - Przed śmiercią kazała ci to dać - skłamał. Nie kazała i nic nie mówiła. Umarła nagle, bez jednego słowa. Ciotka zrobiła obiad, i czekając na męża usiadła przy piecu, kryjąc głowę w dłoniach. Miała takie przyzwyczajenie i on jedząc ten obiad nie zwrócił na to uwagi.
- Jak umarła - usłyszał jej cichy głos, który przerwał jego wspomnienia. - Czy bardzo cierpiała? Pokręcił głową przecząco: - Nie, nic nie cierpiała. Nawet chyba nie wiedziała, co się z nią stało. Spadła z krzesła i nic więcej... Zrozumiała, że kłamał, że ona nic nie powiedziała, nic nie kazała przekazać.
Zrobił to dlatego, żeby miała po siostrze pamiątkę. Jakaż była mu wdzięczna za to co zrobił, ale jedynym jej podziękowaniem były łzy. Łzy radości, które zrosiły mu policzek, gdy po chwili przytuliła jego twarz do swojej. Nie umiała mu inaczej mu podziękować i on o tym wiedział, wiedzieli oboje.

Gdy wrócił było mu ciężko. Było mu ciężko, bo czuł, że ciotka boleje nad tym, że on jest w niemieckim mundurze i że wrócił do tego miasteczka, by załatwić swoje osobiste porachunki. Jej oczy to mówiły, a on ich unikał. Ale cóż innego mógł zrobić, jak jej wytłumaczyć, że wcale nie jest tak, że jest zupełnie inaczej. Gdyby nawet spróbował, czy by mu wierzyła. Na pewno nie, tak jak nie uwierzył mu Durkacz i zapewne nie uwierzyłaby mu Rajka. Czy miał prawo mieć do nich pretensje o to. Zapewne nie, skoro on sam czasem nie mógł uwierzyć, że uknuł taki spisek. Że go na coś takiego było stać. Teraz nie ma innego wyjścia, jak tylko robić to, co sobie postanowił. Tylko jak tego wszystkiego dokonać samemu, bez niczyjej pomocy?
Wiedział jednak, że musi być cierpliwy i że to wymaga czasu. A ten czas płynął, płynął tak szybko. Wojna zatracała poczucie czasu. Oszukiwała tych walczących na frontach i tych, co biernie brali w niej udział. Wszystkich, którzy musieli wtedy żyć.

Najważniejsze, że już nie toczyła się pod dyktando Adolfa Hitlera...

On w tym czasie, mimo swoich planów, zrobił bardzo mało, prawie nic. Jedno, co mu się udało, to nawiązać jakąś niewidzialną nić sympatii z rzeźnikiem Swobodą. On był prawie pewien, że Eryk mundur niemieckiego żołnierza założył by spełnić to, o czym sam tylko wiedział. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale wiedzieli, że mogą na sobie polegać.

Kolejna zima wojennego zatracenia ludzkich istnień, przyniosła Erykowi mniej wojennego czasu, którego część poświęcał dla „zwycięzców", część na to, by nie wpaść. Robił to z rozwagą i pełną - jak mu się zdawało - tajemnicą.
Ruszyła polska partyzantka, a tutaj do nich z Kampinosu nie było aż tak daleko.
Wiedział, że wcześniej czy później i w tych lasach zacznie się coś dziać. Te lasy ciągnęły się kilometrami i wcześniej czy później będą ostoją dla niejednego oddziału.
Przez cały ten czas ani razu nie zapytał Durkacza o Rajkę, czy Mossów. Chodź czasem tęsknił za jej widokiem, powstrzymywał się od rozmowy na ich temat. Bał się, że wszystko może zepsuć, że tym może wzbudzić u leśniczego podejrzenia. A tego nie chciał. Nie wiedział, że taka obojętność z jego strony zaczyna tamtemu ciążyć, po prostu nie wiedział, jak się do tego odnieść.

Wybawienie z kłopotu przyszło z całkiem nieoczekiwanej strony. Pewnej, zimowej mroźnej nocy obudziło ich szczekanie psów, ale szczekanie tak radosne, że nie mieli oboje złudzeń. To musiał być Robert. I rzeczywiście to był on. Nawet nie zdążył zapukać w okiennice, gdy matka z narzuconym na plecy kocem, na pół bosa wybiegła przed dom. W chwilę potem przyglądała się synowi, który jakoś zmężniał i spoważniał. Nie przyszedł sam. Był z kolegą, który przypominał raczej jakiegoś zapaśnika, a jeszcze bardziej rzymskiego gladiatora, niż zwykłego, normalnego człowieka. Jego dobrotliwa, ogromna twarz cały czas kipiała uśmiechem i radością. Był to okaz chodzącej wesołości i humoru. Patrząc na niego nie można było po prostu uwierzyć, że tacy ludzie istnieją na świecie i mogą w nim egzystować. Tacy ludzie nie

umieją zabić nawet muchy, a co dopiero patrzeć na to, co działo się wokoło nich. Było to jednak złudzenie, bo ten z pozoru dobrotliwy olbrzym miał już na swoim sumieniu kilka ludzkich istnień i jeśli jakiś zabłąkany pocisk nie przerwie jego życia, on pozbawi tego życia jeszcze wielu, bardzo wielu Niemców. Gdy zbliżał się świt, zeszli do ziemianek. Nie było zbyt bezpiecznie przebywać w mieszkaniu i taką wersję podtrzymywał Robert, bo nie mógł się już doczekać spotkania z Rajką. Czy było to spotkanie takie jakie sobie wymarzył, pozostało jego tajemnicą. W każdym razie, gdy o zmierzchu wrócili do mieszkania, matka zauważyła zmianę w oczach syna. Tylko ona była w stanie to spostrzec. Nikt inny nie zajrzał tak głęboko w serce pierworodnego, nawet ojciec. Teraz rozmowa, tak jak i poprzedniej nocy, potoczyła się wokół osoby Eryka. Z tego co mówił ojciec, Robert mógł wnioskować, że tamten w swoim powrocie ma jakiś cel ale jaki, tego mógł się dowiedzieć tylko po osobistej rozmowie. Ojciec nie był do tego za bardzo przekonany, nie był też przekonany jego kolega, tylko że Robert nauczył się stawiać na swoim. Bądź co bądź był dowódcą dość sporego oddziału i musiał umieć podejmować decyzje. Taką podjął teraz i nie było odwołania. Ojciec miał saniami jechać po Eryka, a oni w lesie na nich zaczekać. Gdzieś po godzinie wrócił sam. Eryka nie było. Został wezwany do L... na jakąś naradę i nie wiadomo było kiedy wróci. Nie za bardzo wiedział jak się ma zachować, ale zostawił wiadomość by po powrocie przyjechał do leśniczówki. Nie mogli tak długo czekać, ale nie mieli też innego wyjścia, jeśli chcieli wiedzieć, co w trawie piszczy. Postanowili zaczekać i nie czekali długo. Już w godzinę po naradzie od strony duktu, dobiegł warkot jadącego motocykla. Cichł i wzmagał się, aż zaczął być już całkiem wyraźny, równy. Przyjechał sam i nie był zdziwiony, gdy nikt nie wyszedł go witać. Gdy wszedł do mieszkania, potwierdziło się jego przypuszczenie.   Wrócił Robert.   Nie był specjalnie zaskoczony jego widokiem, ani widokiem kogoś, kogo nie znał. Nigdy przedtem też nie widział takiego olbrzyma, z tak dobrotliwym wejrzeniem fiołkowych oczu. Nie krył też swojej ciekawości, prawie natarczywie przyglądając się obcemu. Z pewnością był okazem, którego nieczęsto można spotkać na co dzień.

Nastąpiło zwykłe przywitanie, jakby ich rozłąka trwała wakacyjną przerwę w nauce. Może tylko Robert silniej ścisnął dłoń Eryka, ale nie po to, by okazać swoją siłę, ale była to maleńka doza serdeczności. A może też po widzeniu się z Rajka nie widział w nim rywala. Zresztą pamiętał, co sobie przyrzekł i nie zamierzał tego zmieniać.
Eryk odwzajemnił uścisk w podobny sposób i to jak gdyby przełamało pierwsze lody i nieufność. Nieufność, która przecież była normalnością.

Obaj nie wie dzieli, czego po sobie mogą się spodziewać, a Eryk uznał, że wreszcie nadszedł czas aby porozmawiać. Albo mu uwierzą, albo nie. Pierwszy też rozpoczął rozmowę chociaż zdawał sobie sprawę, że musi być bardzo przekonujący. Przekonująco szczery i takim zamierzał być. Nie była to właściwie rozmowa. To było coś w rodzaju małej spowiedzi kogoś, kto chce odpokutować za grzechy ojca. Pokazać, że jabłko od jabłoni może upaść bardzo daleko, że nie przesiąknie zgnilizną samego drzewa. Dlatego robił wszystko, by wrócić tutaj do tego miasteczka, naprawić pierwsze zło, którego dokonał ojciec. On uważał, że był to winien i ludziom i temu miasteczku, w którym się urodził i wychował. Zdawał sobie sprawę, że nie ma wielkich możliwości. Nie było tu żadnych, ważnych punktów strategicznych, lotnisk czy szlaków komunikacyjnych. Ale były lasy i on wiedział, że wcześniej czy później w tych lasach zawiąże się ruch oporu i to na dużą skalę. Tutaj, jako ktoś w niemieckim mundurze, obdarzony ogromnym zaufaniem swoich władz, mógł dużo zdziałać i chciał tego.
Pozostawała jeszcze tylko kwestia zaufania do jego osoby...
- Może przez ślepą wiarę mojego ojca, na samym początku czułem się Niemcem. Ale moja matka otworzyła mi oczy, a przede wszystkim serce. I jeśli nawet na początku wierzyłem w Hitlera, w jego górnolotne plany, szybko zrozumiałem, że to utopia. Że to co on robi, to klęska dla całego niemieckiego narodu. Przez wieki nikt nie zapomni zła, które wyrządza Hitler i jemu podobni. Szybko zrozumiałem, że ja nie mogę przyłożyć do tego ręki, że należę do kraju, w którym się urodziłem. Mało tego mogę was zapewnić, że wielu, Niemców nie wierzy w führera i ja takich znam osobiście. Czy mi uwierzycie czy nie, to już inna sprawa, tylko proszę, zastanówcie się, czy bym przez ten czas, odkąd tu jestem, nie odkrył ukrywających się naszych miasteczkowych Żydów. Gdybym, był tym Niemcem - prawdziwym nazistą, żadna Rajka nie zatrzymałaby mnie od znalezienia kryjówki. Takich Rajek mogę mieć na kopy. Pan, panie Durkacz, albo już by nie żył, albo razem z tymi, których pan ukrywa, zginęlibyście w obozie.

Wstał i podchodząc do pokrytego gałązkami mrozu okna chwilę, patrzył ponad te gałązki. Dostrzegał obsypany śniegiem las, iskrzący, migoczący tysiącami światełek i jasne, bezchmurne niebo.
- Może tym wyznaniem, zasłużyłem sobie chociaż na zobaczenie jej - nie powiedział kogo, ale wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Jego dłonie schowane głęboko w kieszeniach spodni, zacisnęły się w nerwowym skurczu.
- Chyba tak... - głos Roberta był cichy i doszedł do niego prawie w postaci szeptu. - Chodź pokażę ci wejście. Dalej sam trafisz. Nie musisz

się spieszyć - zawiesił głos, a Eryk poczuł na plecach ciarki.
Czy mi nie uwierzyli, czy po wyjściu zabiorą mnie z sobą, a potem... Nie to chyba nie możliwe - pomyślał.
- Nie bój się - Robert stanął na przeciw niego. - Nie musisz się przecież niczego bać, skoro w swoim sercu odnalazłeś polskość. Czy to z pomocą matki czy bez ważne, że ją masz. Idź - pchnął go lekko. - Ja już się z nią widziałem... - ostatnie słowa wymówił z lekką goryczą.
Szybko dodał, by zatrzeć tę smutną nutkę jego głosu.
- Uściskaj ją tak mocno, żeby ją zabolało. Chyba ci pozwoli, przecież to dzięki tobie mogą spokojnie się ukrywać - mnie jakoś trzymała na dystans - uśmiechnął się - żartuję.
Rajka, która dopiero co wróciła od Mossów z ich ziemianki, słysząc szuranie w wąskim przejściu, była pewna, że to tylko Robert.
Gdy w słabym świetle zarysowana się postać Eryka, po prostu skamieniała. Nie dlatego, że było to nagłe pojawienie, o którym nikt ją nie uprzedził, ale przeraził ją jego mundur. Pierwsze co jej przyszło na myśl to to, że wszystko się wydało, a on przyszedł po nią. Pamiętała, że Durkacz nie za bardzo wierzył, w jego nawrócenie. Ciągle się wahał.
To, że wrócił wiedziała od samego początku, bo leśniczy nie ukrywał tego przed nią, tak samo jak to, że wcześniej czy później nastąpi spotkanie. Nie wiedział tylko, w jakich okolicznościach. Teraz było to tak nagłe, niespodziewane, że dalej stała jak posag. Serce najpierw jak gdyby się zatrzymało, by za chwilę łomotać jakby chciała się urwać. On też stał patrząc na jej przestrach i bał się odezwać, by tego jej strachu nie zwiększyć, by za chwilę nie upadła zemdlona.

- Rajka... - przemógł się wreszcie i zamilkł.
Nie mógł znaleźć właściwych słów, by zmniejszyć jej strach, strach przed nim i mundurem.
- Nie bój się, nic się nie stało... - chciał podejść bliżej, ale ona zrobiła krok do tyłu.
Spostrzegł w jej szeroko rozwartych oczach, prawie obłęd, ogromny lęk.
Cofnął się pod drzwi i oparł o nie.
- Nie przyszedłem po ciebie, tylko do ciebie - teraz jego głos był stanowczy, głośny. - Nie masz się czego bać. Chciałem cię zobaczyć. Nie jestem tutaj po to, by was pozbawić, tej ciężkiej wolności, jaką jest przebywanie tutaj. Chcę wam pomóc - patrzył jak powoli, bardzo powoli się uspakaja. Jej oddech powracał do normy i stawał się spokojniejszy. Napięte mięśnie zwiotczały, stały się kruche i by nie upaść, musiała usiąść. Teraz podszedł, ale nie na tyle blisko, by znów nie poczuła się zagrożona. Przysiadł przy stole, na samym końcu ławki, nie bardzo wiedząc jak zareaguje. A ona dalej patrzyła na jego mundur z jakimiś odznaczeniami, na których się nie znała, ale które też wzbudzały w niej strach bo wiedziała, że odznaczeń nie dają za nic. Że trzeba na nie zasłużyć...

Upłynęło dużo czasu nim zaczęli spokojnie rozmawiać, na tyle spokojnie, że rozumiała, co do niej mówi, sama prawie się nie odzywając. W każdym razie wiedziała jedno, że teraz jest, są zależni tylko od niego. Jeśli tylko będzie chciał nagle zmienić zdanie, nic już ich nie uratuje. Zbyt dobrze pamiętała słowa ojca:
- „Niemiec zawsze pozostanie Niemcem, żeby nie wiadomo co obiecywał!" - te słowa zostały jej życiową dewizą i przynajmniej na razie nic nie było wstanie tego zmienić. Nawet, gdyby ukląkł przy niej i przysięgał swoją lojalność. Jej miłość do niego zgasła z chwilą, gdy zobaczyła ten mundur.
Znał na tyle ludzi i znał na tyle ją, by nie mieć złudzeń, że jeśli udało mu się, przekonać tamtych, to jej mu się nie udało. Najpierw ogarnęła go złość na nią, a potem litość. Litość do samego siebie. Wstał. Chwilę patrzył na nią w milczeniu i odwracając się podszedł do wyjścia.
- Poczekaj chwilkę - jej głos był błagalny, prawie płaczący.
Podeszła i prawie dotykając go swoimi piersiami, położyła mu dłoń na ramieniu.
- To wszystko przez ten mundur - próbowała jakoś się wytłumaczyć.
- I wszystko stało się to tak nagle. Musisz, trochę poczekać, a wszystko się ułoży - ostatnie słowa nie były już błaganiem o zrozumienie, a on był pewien, że nic się już nie ułoży.
Dla niej zawsze pozostanie Niemcem synem tego, który ją uderzył, a on nie pospieszył jej z pomocą. A teraz nagle, chce być świętym, oczekuje zrozumienia.
Uśmiechnął się blado.
- Przecież nie wierzysz w to, co mówisz. Ty już nie jesteś tą samą, zakochaną Rajką, a ja tym samym tęskniącym za tobą Erykiem. Zmieniliśmy się oboje. Chociaż może to nie my się zmieniliśmy, zmieniła nas wojna i upływ czasu. Ale czy to znaczy, że nie mogę być takim jakim chcę?!
Będę takim, i czy będziesz mi wierzyła czy nie, pozostanę takim samym. Nawet gdybym miał przepłacić to życiem. Jeśli nawet nie, to i tak nic się nie zmieni. Kiedyś i tak zrozumiesz, że się myliłaś. Jedno wiedz: dokąd ja w miasteczku będę komendantem, a mam zamiar być nim do końca wojny, nic wam nie grozi. Śmielej możecie zażywać świeżego powietrza.

Powoli zdjął jej rękę ze swojego ramienia, potem wbrew samemu sobie, delikatnie pocałował ją w usta. Spodziewała się tego, ale nie zrobiła nic, by mu to uniemożliwić. Nie żeby tego chciała, ale dlatego, że on teraz był

ich panem życia i śmierci. Gdyby tylko zażądał, zrobiłaby dużo więcej. Nawet była pewna, że kiedyś zrobi to na pewno. Myśl, że Niemiec zawsze pozostanie Niemcem, ciągle kołatała w jej głowie, nie widziała powodu, by ten Niemiec nie zażądał kiedyś zapłaty. Kiedyś zrobiłaby to z ochotą, teraz tę ochotę musiałyby udawać i zapewne kiedyś to zrobi. Kiedy, zależy to tylko od niego. Ona się podda, bo nie będzie miała innego wyjścia. Teraz ją uratuje, a może tak być, że przez swoje poświęcenie uratuje tych, co poświęcili się dla niej.

Jeszcze długo po jego wyjściu czuła smak pocałunku na swoich ustach, pocałunku z zapachem tytoniu i słabego aromatu koniaku. Nic poza tym. Co prawda nie znała zapachu koniaku, ale znała zapach zwykłej wódki. A ten różnił się od tamtego.
Robert spod okna obserwował Eryka, by wyczytać z jego zachowania jak przebiegało spotkanie. Nic z tego. Twarz tamtego nie wykazywała żadnych uczuć, ani zadowolenia, ani czegoś w rodzaju rozczarowania. Nic. Po prostu nic. Tak, jakby w ogóle nie było żadnego spotkania. Wyglądał tak, jakby dopiero co wrócił z przechadzki. A Robert musiał przyznać, że tamten w skrywania swoich uczuć jest mistrzem, a takiego mistrza trzeba szanować, bo może być godnym przeciwnikiem.

Teraz rozmowa stoczyła się już na sprawy czysto wojenne i uzgodniwszy swoje poglądy, rozstali się. Eryk pierwszy się pożegnał, by tamci nie pomyśleli, że chce znać ich kierunek odjazdu. Nie chciał. To, co osiągnął, wystarczyło mu. Wystarczyło to, że choć odrobinę mu wierzą. Teraz już wiedział, że jego wielki Hitler będzie miał przeciwnika w swoich szeregach. Już miał, tylko uśpionego, bo nie miał komu zaoferować swoich usług. Teraz już miał i nie zamierzał z tego nie skorzystać. Jeśli ma być szargane ich nazwisko, to przynajmniej niech nie będzie szargane jego imię. On ma na imię Eryk, ojciec Kurt. Müllerowie...
Ta sama krew, a jakże inni ludzie. Od rozstania z Robertem, wizyty Eryka w leśniczówce spadły prawie do zera.

Tamten dobrze rozumował, że jeśli wszystkie ich akcje w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od leśniczówki będą udane, Niemcy zaczną coś podejrzewać. Gestapo wcześniej czy później zainteresuje się Erykiem i jego kontaktami. Po nitce dojdą do kłębka i wtedy nie uratuje leśniczówki. Tę lukę zapełnił teraz rzeźnik Swoboda. Tak do końca nie było wiadomo, kto kogo wciągnął do współpracy. Eryk jego, czy on Eryka. Tak czy inaczej skrzynkę kontaktową przyjął na siebie Swoboda. Zwykł mawiać, że sto szczwanych lisów, to dopiero jeden jego palec i nie zna takiej ilości, by mogły jego wyprowadzić w pole. Od trzydziestu lat, w tym miasteczku zdradza żonę, a ta nie może go na tym przyłapać!
Jeśli będzie miał taki sam wigor, nie złapie go i przez następnych trzydzieści. On to właśnie dwa, trzy razy w miesiącu dostarczał leśniczemu, wędliny i mięso. Czasem nawet częściej. Ale to już zależało od „apetytu" tego ostatniego...

★★★★★

Jakoś pod koniec roku czterdziestego czwartego, Eryk zaczął podejrzewać, że Gestapo zaczyna wokół niego węszyć. Za dużo było w tym terenie, udanych stuprocentowo akcji partyzanckich!
Gdy w październiku bez uprzedzenia przysłano nowego komendanta, już wiedział, że to tylko kwestia czasu, kiedy nastąpi jego aresztowanie. Teraz pierwszy raz w życiu poczuł strach. Ten strach był tym prawdziwszy, że znał metody Gestapo i wiedział, że ich metod przesłuchania mało kto wytrzymuje. A on siebie nie był tak pewien i jedno, co mógł w tej sytuacji zrobić, to dać znać Swobodzie. Potem tylko czekać i mieć nadzieję, że Robert znajdzie jakieś wyjście. Tylko, jakie? Nigdy o tym nie rozmawiali, bo z dnia na dzień wydawało się, że Hitler coraz mniej kąsa i że nie ma już siły, by zrobić coś wielkiego. To była prawda. Na coś wielkiego nie było go już stać, ale na jednostki miał, jeszcze sposoby i swoich, ślepo zaufanych ludzi. Ci co by się nie stało, gotowi byli do końca stać przy nim.

Robert nie zdążył. Piętnastego grudnia w urodziny Eryka, Gestapo zabrało go w biały dzień do Ł... Chociaż się tego spodziewał, był zaskoczony ich brutalnością i tym, że aresztowało go w biały dzień. Dotychczas, Gestapo robiło to cicho i w nocy. Zwłaszcza, gdy chodziło o ludzi, którzy zdradzili. Chodziło o to, by nie pokazywać, że w środku tego całego, dotąd bez zarzutu działającego systemu, wkrada się rozkład. Że prawie już nikt nie wierzy we wspaniałe, ostateczne, niemieckie zwycięstwo...

To aresztowanie było dla niego zagadkowe, mało przekonywujące. Nie miał jednak złudzeń. Widział przez zakratowane okna furgonetki, że jechali do L... Znał tę drogę, bo jako chłopiec uczęszczał nią do szkoły. W miasteczku były tylko cztery klasy. By się uczyć dalej, należało dojeżdżać do L. lub znaleźć sobie tam stancję.
Jak na ironię losu, Gestapo mieściło się w szkole, którą ukończył z wynikiem dobrym a teraz ponownie miał być w niej więźniem.
Tylko, że teraz nie mógł nawet marzyć o tym, by wyskoczyć na wagary. Tutaj miał jedynie dwa wyjścia: pierwsze, to w najlepszym wypadku:

- obóz koncentracyjny, a drugie - śmierć w piwnicznej katowni.
To drugie było pewniejsze.

Zamknęli go pojedynczej celi z jednym, małym okienkiem, i o ile dobrze pamiętał, był tu skład rupieci woźnego. To okienko wychodziło na plac, gdzie mieli zajęcia wychowania fizycznego i gdzie grali w piłkę. Dalej, za boiskiem, była rakarnia, a jeszcze dalej pola i las. Kiedy przyniesiono mu obiad, był jeszcze bardziej zdziwiony. Gestapo w takie gierki się nie bawiło. Dotychczas w Gestapo, obiadem dla zaresztowanych była pała, śniadaniem i kolacją też, po kilkanaście pał. Bito tak długo, dopóki delikwent, nie zaczynał mówić, albo po prostu konał, nie wytrzymując wymyślnych tortur.
Gdy przyniesiono kolację i zapytano czy ma jakieś życzenie, spojrzał na młodego podoficera tak, jakby ten kpił z niego.
- Dlaczego pan porucznik jest taki zdziwiony? - spojrzał do tyłu. - Z tego, co wiem, był pan komendantem żandarmerii! Czy nie widzi pan, że wszyscy wyżsi oficerowie mają pełne strachu spodnie? Ci z Gestapo też - dodał ciszej. - Może nie wszyscy, ale ci nasi na pewno - puścił perskie oko i szybko zamknął drzwi.

Eryk zamyślił się. Gdzieś od wiosny było już wiadomo, że Hitler ledwo zipie, ale informacja o cudownej broni, o której krzyczał i którą obiecywał, wyższych rangą fanatyków, trzymała jeszcze przy nim. Jeszcze wierzyli, jeszcze butnie podnosili głowy i coraz więcej ludzi posyłali na niepotrzebną śmierć. Kominy krematoriów dymiły cały czas. Karuzela przemocy jeszcze się kręciła. Tylko co mądrzejsi wyskakiwali z jej coraz wolniejszego pędu i jeśli zdążyli, zaszywali się gdzie tylko mogli. Bo jeśli nie, to albo ginęli za zdradę w piecach krematoryjnych, albo patrzyli w otwory karabinów, wymierzone w ich piersi. Czyżby jemu był sądzony podobny los? Teraz, gdy upadek Hitlera był na wyciągnięcie ręki, on musiał odejść „ze swoim Führerem", któremu tak długo służył, może za długo. Może powinien iść do oddziału Roberta, gdy czuł, że Gestapo się nim interesuje. Może zbyt długo przeciągał strunę, która w końcu zerwała się, a on musiał przyjąć jej brzęczące uderzenie.

Może jednak za dużo tego gdybania...

Nie zdążył jeszcze dokładnie przełknąć całkiem smacznej kolacji, gdy klucz w zamku zazgrzytał tym samym, nienaoliwionym stęknięciem. W drzwiach stanął ten sam podoficer.
- Panie poruczniku, czy to już koniec wojny. Upadek wielkich Niemiec!
Żołnierz wszedł kawałek do środka, przymykając za sobą obite blachą drzwi. - Nie mam dużo czasu, potrzebuję natychmiastowej odpowiedzi - szepnął. - To, co Panu zaproponuję, wymaga natychmiastowej decyzji! - Jeszcze bardziej wysunął się do przodu, ale tylko na tyle, na ile pozwoliła mu ręka, która trzymała klamkę.
- Jest szansa na ucieczkę. Pan, ja i kolega, który ma teraz wartę. Obaj mamy dość wojaczki i Hitlera, pan tutaj chyba zna trochę okolice...

Jego pytające spojrzenie było natarczywe, ale nie ostre. Raczej błagalne. Więc to tak, pomyślał. Nie chcą mieć ze mną kłopotu. Lepiej zaimprowizować ucieczkę i po prostu zastrzelić. Klęska już blisko, więc boją się, że mogą nie zdążyć mnie wywieźć gdzieś do obozu...
- Nie, dziękuję. Nie jestem winny i myślę, że to wszystko się wyjaśni.
Jego słowa nie były jakoś przekonywujące. Nawet oczy mówiły coś innego.
- Gówno prawda! - podoficer uśmiechnął się cwaniacko. - Gdyby tak było, nie byłoby tutaj pana. I nie jest to prowokacja, a jeśli pan tak sądzi, to i tak nic pan nie ryzykuje... Zastrzelą pana bez żadnych przesłuchań. Na razie nie mają czasu, bo palą wszystko co nie powinno wpaść w ręce Rosjan. Gdy się z tym uporają, wezmą się i za pana. - Dobra - ustąpił nagle. - Ma pan porucznik pół godziny do namysłu... w każdym razie przeszmugluję panu płaszcz i czapkę...

Eryk zdecydował się w jednej chwili, zaraz po wyjściu podoficera. Jeśli to prowokacja, a na to wyglądała, nie będzie musiał patrzeć w otwór pistoletu lub karabinu... Dostanie serię w najmniej oczekiwanej chwili, bo nawet nie będą krzyczeć, by się zatrzymał i to była lepsza perspektywa.
Nie minęło pół godziny, gdy podoficer wrócił z czapką i płaszczem.
- Niech pan to schowa pod koc, gdyby czasem kogoś przyniosło.
Nie pytał nawet czy się zgadza. Wyczytał to w jego oczach. One zdradzały podjętą decyzję.
- Przyjdę po pana przed północą i proszę nie spać! - Sięgnął za pasek od spodni i podał mu polskiego „Visa". - Wziąłem, co mi wpadło w ręce. Chyba od jakiegoś partyzanta... - rzucił przymykając drzwi, bo nagle usłyszał, że ktoś, schodzi po schodach.
Obaj zamarli w oczekiwaniu, ale ten ktoś poszedł w kierunku klozetu, sapiąc przy tym niemiłosiernie. Po paru minutach wracał już ostrym krokiem, stukając butami o betonową podłogę. Odnosiło się wrażenie, że wyraźnie mu się spieszyło.
Gdy wszystko ucichło podoficer po cichu ruszył w kierunku drzwi. Tam zatrzymał się i w milczeniu stuknął palcem w szkiełko zegarka, przypominając godzinę, na którą Eryk powinien być gotowy.

I był, chociaż coraz bardziej ta ucieczka pachniała mu prowokacją. Powziął jednak decyzję i nie zamierzał jej zmieniać. Jeśli miała być to prowokacja, nie było sensu odkładać śmierci na później. I tak się jej nie uniknie. Tylko... no tak, czemu to wcześniej nie przyszło mu do głowy. To mogła być prowokacja, tylko w zupełnie innym sensie. Tu chodziło o ułatwienie mu ucieczki, aby zabrał ze sobą dwóch żołnierzy, którzy rzekomo mają dość wojny... Gdzie więc mogą iść? No, tylko tam, gdzie są partyzanci! Swoją ucieczką ma wskazać im do nich drogę, zaprowadzić grzeczniutko. Jak po sznureczku. To była ta cała prowokacja „gestapowski majstersztyk”. Sięgnął po „Visa" i sprawdził jego magazynek. Brakowało dwóch nabojów. Pomyślał przez chwilę... Albo brakowało ich przedtem, albo celowo je wyciągnięto. Tak czy inaczej, ta wersja była najbardziej prawdopodobna i jej postanowił się trzymać. Wiedział, że do żadnego partyzanckiego oddziału ich nie zaprowadzi, bo żadnego nie zna. A do leśniczego tym bardziej, zaprowadzi ich tam, gdzie Gestapo nawet nie pomyśli, że odważyłby się tam iść. Wróci na żandarmerię, gdzie dotychczas był komendantem. Po prostu powie, że to była prowokacja nowego dowódcy i zamkną go razem z swoimi uciekinierami. Jego żołnierze mu uwierzą, pójdą za nim, gdzie będzie chciał, nawet do lasu. To młodzi chłopcy, którzy od początku mieli Hitlera głęboko w dupie...
Zapalił się do tego planu tak bardzo, że czas dłużył mu się, jak czekanie za niepunktualną kochanką. Nie było jeszcze północy, gdy podoficer, cicho jak kot, wszedł do jego celi.
Nawet klucz jakby im sprzyjał i nie zamęczał swym przeraźliwym zgrzytem. Nie zaskrzypiały zawiasy, gdy wychodzili. Żołnierz nie poprowadził go schodami na górę ku wyjściu, tylko w kierunku kotłowni. Zrozumiał, że drzwi, które wychodziły na dziedziniec, albo były otwarte, albo miał do nich klucz. Okazało się, że ani jedno, ani drugie. Podoficer najprawdopodobniej w cywilu był złodziejem. Miał wytrychy, a to świadczyło, że od dawna był na to przygotowany. Otwarcie drzwi i okratowania od strony dziedzińca nie zajęło mu więcej, niż dwie, trzy minuty. Zaraz na zewnątrz natknęli się na wartownika, który najwyraźniej czekał podenerwowany i trząsł się niesamowicie. Być może był to efekt panującego zimna, albo strachu. Była jeszcze trzecia możliwość, że idealnie grał swoją rolę, ale nigdy się tego nie dowiedział. Eryk bez namysłu skierował się ku rakarni, gdzie w odległości około dwóch kilometrów zaczynały się lasy. Tylko nie one były jego celem. Postanowił skryć się w nich do rana, by zorientować się, co Gestapo zrobi z tym fantem i wieczorem z nich wyjść. Potem, szerokim łukiem dostać się do miasteczka i zrealizować swój, może nawet trochę głupi plan...

Rakarnia była opuszczona, ale chyba od niedawna, bo odór, jaki od niej szedł był może już mniejszy, ale na tyle intensywny, że czuć go było na odległość dwustu, trzystu metrów.
Ulokowali się w jakiejś niezamkniętej komórce i trzęsąc się z zimna, czekali. Obaj żołnierze nie byli zbyt rozmowni i albo wierzyli porucznikowi, który jako miejscowy znał okolice, albo mieli swoje plany. Wartownik miał ze sobą karabin, o który oparł się siedząc na jakiejś skrzyni i lekko bujał się na niej, raz do przodu i raz tyłu. Sprawiało to wrażenie modlącego się Żyda przy ścianie płaczu. Nie wiadomo tylko, czemu zaczęło to Eryka drażnić i to coraz bardziej. Zmienił pozycję, by nie patrzeć na tamtego, nie widzieć jego nerwowego bujania się w tę i z powrotem. Siedzieli już z godzinę i Eryk zdawał sobie sprawę, że w tym bezruchu, na tym kilkudziesięcio-stopniowym mrozie, długo nie wytrzymają. Wiedział, że musi podjąć jakąś decyzję...

Nagle, gdzieś od strony miasta zaczęła się wściekła strzelanina. Była tak niespodziewana, jak piorun w bezchmurne niebo. Słychać było strzały z broni maszynowej i wybuchy granatów. Gdy wyjrzeli nie było wątpliwości, że ten cały harmider dochodzi od strony szkoły, tylko co tam się działo, nie mieli zielonego pojęcia. Cały ten rwetes trwał z górą dziesięć minut, potem umilkł tak nagle, jak się rozpoczął, a w górę wystrzelił słup ognia. Najpierw był wysoki, cienki, by za chwilę wybuchnąć jęzorami płomieni. Nie mieli wątpliwości. Podpalono szkołę. Po chwili ogień objął chyba skład opału, bo błysnął jaśniejszymi płomieniami, rozjaśniając śpiące miasteczko, nagle wyrwane z nerwowego snu okupacji.

Eryk nie miał już wątpliwości, czyja to była sprawka i miał cichą nadzieję, że to wszystko z jego powodu, że to Robert przyszedł mu z pomocą. Trochę spóźnioną, ale jednak. Teraz musiał zmienić swój plan. Jeśli to była prowokacja, spaliła na panewce. Wiedział, że od strony Gestapo już nic mu nie grozi, przynajmniej na razie. Dopóki z Cz... nie ściągną posiłków, a to potrwa z cały dzień. Do tego czasu on już będzie daleko. Gdyby nie ci dwaj żołnierze, mógłby ukryć się w leśniczówce, a tak - za duże ryzyko. A gdyby tak... Ta myśl miała powodzenie, jeśli jego przewidywania są słuszne... Po raz pierwszy spojrzał na żołnierzy badawczo, z namysłem. Dałby dużo, żeby wiedzieć, co myślą.
- Myślę - odezwał się - że możecie wracać! - Już na nich nie patrzył.
- W tym bałaganie, który tam teraz panuje nie połapią się, że chcieliście wiać. Ja nie wracam.
Zapanowało milczenie. Żołnierze nie patrzyli ani na siebie, ani na niego. Byli wpatrzeni w płonącą szkołę.

- My też nie wracamy - odezwali się prawie jednocześnie. - Nie mamy po co - wartownik zamachnął się trzymanym karabinem, który zatoczył jakiś nienaturalny łuk i spadł z trzaskiem, uderzając w jakieś porzucone wiadra.
Przeraźliwy dźwięk blachy rozległ się w ciszy nocy, kłując bębenki uszu. Znów zapanowała cisza, a oni wpatrzeni w niego, czekali na to, co powie. Zdawali sobie sprawę, że mają małe szanse bez niego. Nie znają ani ludzi, ani okolicy. Do tego mają na sobie niemieckie mundury i słabo znają polski język.
- Dobrze - zdecydował się. - Zabiorę was, tylko jak coś kręcicie... - nie dokończył. Miał jeszcze ochotę zapytać ich, czy nie była to prowokacja ze strony Gestapo, ale zrezygnował. Jeśli nawet, to i tak nie powiedzą mu prawdy. Za bardzo się boją. Za bardzo pełne strachu spodnie, jak jeszcze parę godzin temu wyrażał się podoficer o swoich przełożonych. Oni teraz mieli tego strachu może jeszcze więcej.
Ruszyli. Ciemny las wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Mroczna ściana drzew odbijała się od białego śniegu, sprawiając złudne zbliżenie odległości, która dopiero po chwili była naturalna. Przystanęli spoceni, pokonując zaspy śniegu zalegającego na polu. Świszczące oddechy zmęczenia rozlegały się w ciszy lasu, jakby stado niedźwiedzi wracało z potańcówki. To skojarzenie rozśmieszyło Eryka, ale w chwilę potem cała trójka zamarła w bezruchu. Głośne, nie wiadomo skąd dochodzące słowa:
„ręce do góry!", na moment ich zamroziły, chociaż w takiej chwili mogły być wybawieniem. Teraz w lasach, partyzantka działała prawie bezkarnie. Żaden mały oddział niemieckiego wojska, nie ośmieliłby się zapuścić w głąb niedużego nawet lasu.

Dużych oddziałów, już nie było. Wielkiego Führera nie było na nich stać. Teraz na froncie walczyły prawie dzieci i one miały tę, walącą się na głowę Hitlera wojnę - wygrać.

Tylko, że to były już przedśmiertne skurcze - agonia, której już nic nie było w stanie zatrzymać. Żadna cudowna broń, ani dziesięciu führerów razem wziętych. Koniec był tak bliski, jak koniec tej zimy. Jeśliby ktoś bardzo się starał, być może jego nozdrza poczułyby powiew wiosny. Ale już żadne wysiłki Hitlera nie mogły powstrzymać nadchodzącej klęski.
Zawiązano im oczy i pośród parskania koni, cichych rozmów, powieziono ich na saniach w kierunku, którego nawet Eryk nie był w stanie odkryć. Zatracili poczucie czasu, bo chodź okryto ich chłopskim kożuchami, mróz dawał się im we znaki i po jakimś czasie więcej dbali o to, by im było cieplej, niż jak długo jadą. Gdy stanęli, głosy jakby się zwiększyły i teraz rozlegały ze wszystkich możliwych kierunków. Można było wnioskować, że są o krok od obozu lub nawet w samym jego środku. Po chwili zdjęto im szczelne opaski z oczu i wtedy mogli stwierdzić, że znajdują się na dużej polanie, na której ledwo iskrzyły się ogniska. Albo je dogaszano, albo nie chciano, by były widoczne i pozwalano im tylko się żarzyć.
Eryk od razu poznał ogromnego młodzieńca, którego widział już w leśniczówce. Tamten też go poznał, ale po jego twarzy nic nie można było wyczytać, pozostała obojętna. Zmieniała się dopiero po chwili rozmowy z kimś, kto coś długo mu opowiadał. Jego twarz nagle stężała i zbladła. Przysiadł na pieńku wpatrując się w jeńców. W tej chwili, to nie był olbrzym o dobrodusznym wyrazie twarzy. To był strzępek olbrzyma. Jakoś dziwnie skurczył się i zmalał, a zwisające, prawie do ziemi ręce, wyglądały jak przyszyte.
Upłynęła długa chwila, gdy się przemógł, zebrał do kupy całą swoją posturę i siłę. Może jeszcze nie był tym samym, co kilkanaście minut przedtem, ale znów biła z niego stanowczość i energia. Wolno podszedł do wozu, przy którym stali i chwilę przyglądał im się w milczeniu. Gdy się odezwał w jego głosie nie było cienia łagodności. Był twardy, dudniący, jak koła pędzącego ekspresu...
- Kazał cię ratować i to było jego zgubą. Szedł po ciebie, gdy natknęli się na patrol żandarmerii. Dostał kulę w łokieć i by nie opóźniać marszu został u ojca, by czekać na ciebie, gdy cię odbiją. Nie wiem jak to się stało, ale gdy wracali potem po potyczce z żandarmami, część poszła by go zabrać. Zastali zgliszcza spalonej leśniczówki i troje zastrzelonych na podwórku ludzi. On, ojciec i matka. Nie wiem, co z Żydami. Zaraz wyślę tam ludzi. Tamci nie mogli czekać, bali się zasadzki.

Dopiero teraz spojrzał na dwóch podoficerów.
- Skąd oni tutaj? - patrzył na żołnierzy z nieukrywana nienawiścią, jakby to oni byli całą przyczyna tej wojny. Nie czekał na odpowiedź, tylko odszedł do odchodzących grupek ludzi, idących zapewnie do leśniczówki.

Gdy wrócili było już południe. Nie wrócili sami, przyprowadzili Żydów, których Niemcy nie znaleźli. Zastrzelonych pochowali po lewej stronie mostu, zaraz przy zaczynającej się grobli.

Eryk te słowa i to miejsce dokładnie sobie utrwalił. Wiedział, że tam wróci, że wróci oddać hołd tym co mu uwierzyli



E P I L O G

Czerwony Volkswagen „garbus" zatrzymał się na ryneczku miasteczka, niedaleko pomnika Marii Konopnickiej. Z samochodu wyszedł przystojny, siwiejący mężczyzna i dwie kobiety. Jedna z nich nieco starsza, ale obie zdradzały semickie rysy twarzy.

- Eryk, patrz apteka! - Starsza nie kryła zdziwienia. - Dokładnie w tym samym miejscu, co przed wojną. W takim razie i nasz dom i fabryka też chyba stoją?

Fabryka stała tak jak dawniej i tak samo stukała czółenkami krosien jak przeszło pięćdziesiąt lat temu. Nie było jednak domu i nie było topoli. Nie było też bożnicy i nie było większości drewnianych domków całego uroku tego miasta. Tej przedwojennej wieży Babel.

- Esterka, chodź za fabrykę, nad rzeczkę, gdzieśmy się bawiły - starsza pociągnęła ją za rękę. - Zobaczymy, co się tam zmieniło.
- Dużo chyba nie, ale Icka na pewno tam nie zastaniecie - mężczyzna zaśmiał się cicho i zapalając papierosa poszedł za nimi.

Stali wpatrując się w nurt rzeki, może teraz nieco szerszej. Po tylu latach pamięć mogła zawodzić, ale była to na pewno ta rzeka i ta sam łąka. Wrócili i chociaż nikt nic nie mówił, cała trójka wiedziała, że pozostała najważniejszą częścią ich odwiedzin i że oni się po prostu boją. Boją się tego, że tak jak tutaj wszystko się zmieniło i oni mogą nawet nie odnaleźć spalonej leśniczówki.
Leśny dukt był prawie ten sam, tylko drzewa były starsze o pół wieku, a rzekę przecinał mały mostek. Tylko już nie ten drewniany, ten był betonowy. Za nim w miejscu, gdzie stała leśniczówka, pagórkowaty teren porastały wysokie trawy. Tylko ten, co wiedział, że kiedyś tu stała wiedział, że była w tym miejscu, gdzie wysokie trawy kryją dawno wygasłe zgliszcza...

Kobiety chodziły w kółko szukając choć jednego znajomego szczegółu. Na próżno, mężczyzna pozostał w tyle i gdy kobiety odeszły kilka kroków zszedł z mostu w kierunku grobli. Nie mogło być pomyłki. To było tutaj...





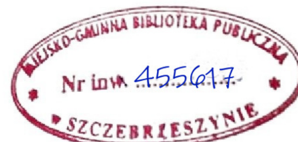
...Trzy, pochylone starością, drewniane krzyże... Pochylały się tak, jak gdyby chciały się złączyć z tym po środku. Ten stał jeszcze w miarę prosto, a dwa po bokach, pochylały się ku niemu. Nie było już żadnych tabliczek i nie wiadomo było, kto tu może być pochowany. Mężczyzna ukląkł i patrząc na środkowy krzyż powiedział:
- Nie wiem skąd wiem, ale wiem, że leżysz tutaj tylko dlatego, bym ja żył.
Pomodlił się głośno, a potem, zerwane bukiety polnych kwiatów, położył na groby.
- Mogłem przywieźć kwiaty miastowe, ale wśród tych czulibyście się źle. Najlepiej pchną te dzikie, łąkowe. Te, które mieliście na co dzień.
Spojrzał na ogromne stawy porośnięte teraz trzciną... Trzciną, która każdego dnia i każdej nocy śpiewała kołysankę wieczności tym, którzy tutaj spoczywali.
- Eryk, my na drugi rok przyjedziemy tutaj postawić im pomnik. Oni nie mogą tak leżeć w zapomnieniu. My jesteśmy im to winni.
- Tak, jesteśmy - mężczyzna otarł płynące po policzkach łzy.
- Na pewno to zrobimy. By ludzie i Bóg o nich nie zapomnieli.

Zachodzące, wieczorne słońce ze smutkiem patrzyło na odjeżdżających ludzi, a potem swoje błyszczące promienie położyło na leżących, tuląc ich swym ciepłem.

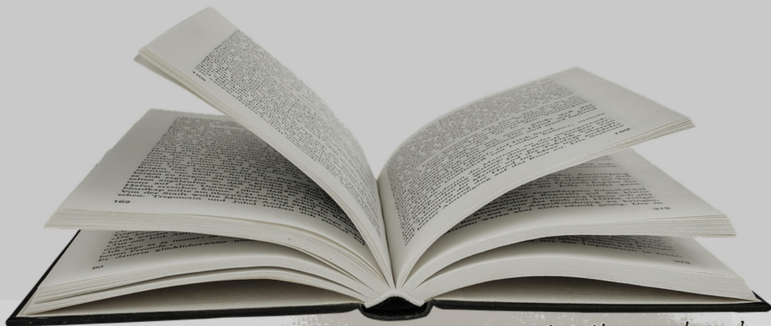
To były ostatnie, ciepłe dni gorącego lata, takiego samego jak tamto w trzydziestym dziewiątym, ale wtedy nie zdawali sobie sprawy, że tak naprawdę, jest to ich ostatnie takie lato...

K O N I E C





Posłowie...



Powieść Zdzisława Bistuły "Ostatnie lato", to książka o walorach historycznych. Jej akcja dzieje się w okresie poprzedzającym II wojnę światową, jak i w najtrudniejszych momentach tej najstraszliwszej z wojen. Przez jej pryzmat autor ukazuje pogmatwane losy swoich bohaterów. Opisane w powieści środowisko małomiasteczkowe jest tyglem kulturowym i narodowościowym, gdzie zaszłości, fobie i zbyt duże przywiązanie do własnych przekonań doprowadzają w zasadzie do samozagłady bohaterów. Choć niektórym z nich udaje się wyjść z wojennej zawieruchy zwycięsko, to jednak okaleczenie, jakiego doznali, jest zbyt wielkie, aby mogli normalnie funkcjonować w nowym świecie. Język książki, choć nieco archaiczny, nadaje jej wymiaru autentyczności i jest ważnym głosem w procesie globalizacji współczesnego świata. To przestroga przed tym, do czego może doprowadzić ludzkość pozbawiona uczuć, bądź jeśli w te uczucia wierzy zbyt mocno.

Andrzej Dębkowski





Zdzisław Bistuła

(1943 - 2015)



DIGITAL
Library